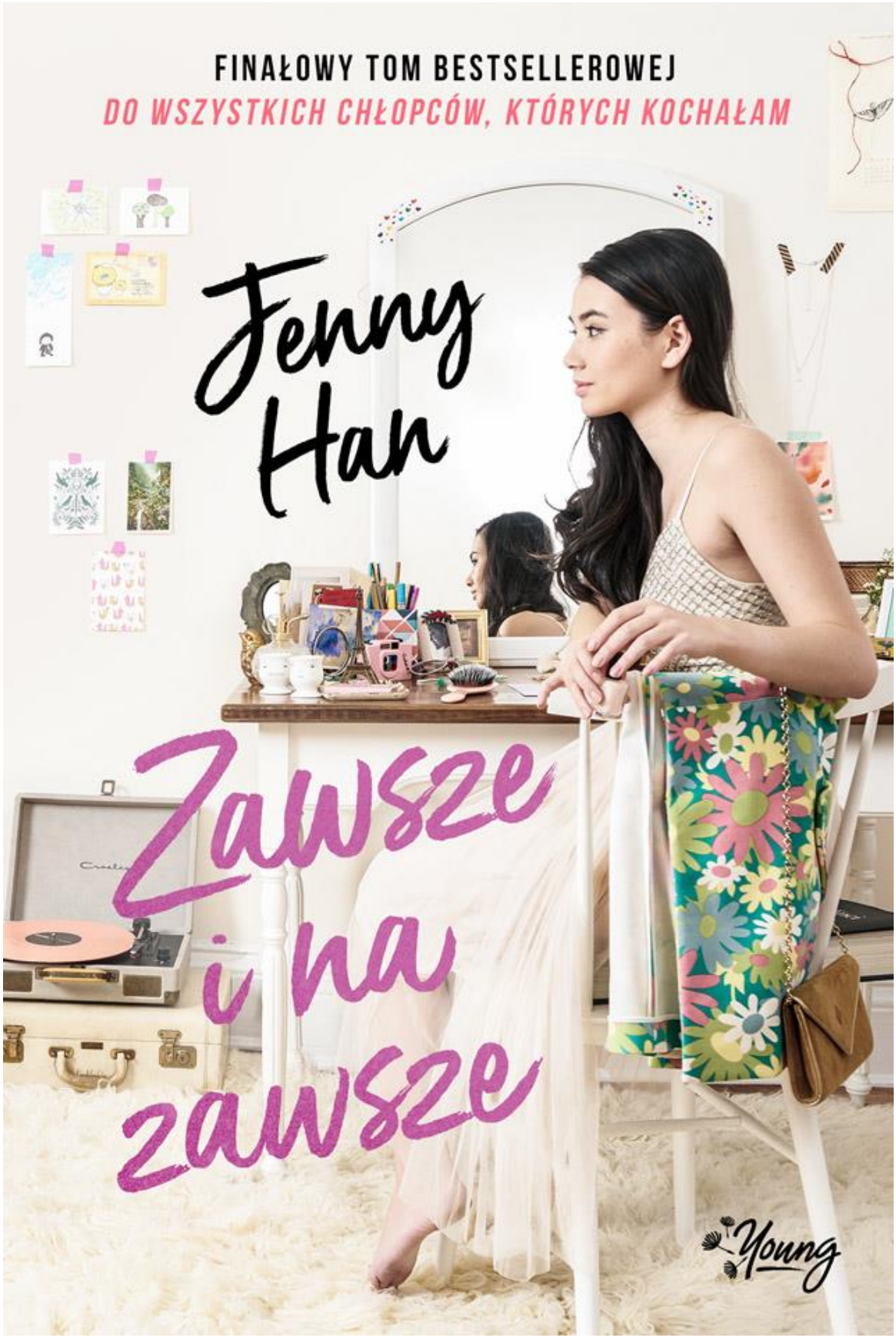
FINAŁOWY TOM BESTSELLEROWEJ

DO WSZYSTKICH CHŁOPCÓW, KTÓRYCH KOCHAŁAM



Jenny Han

Zawsze i na zawsze

Young

Jenny Han

Zawsze i na zawsze

PRZEŁOŻYŁA
Matylda Biernacka

Young



Dla moich drogich czytelników.
Ta książka powstała
z myślą o Was.

Teraz oto niespodzianie jakiś zakręt.
Nie wiem, co się poza nim znajduje,
ale chcę wierzyć, że tylko dobre.

– L.M. Montgomery,
Ania z Zielonego Wzgórza
tłum. Rozalia Bernsteinowa

1

Lubię obserwować Petera, kiedy nie wie, że na niego patrzę. Lubię podziwiać tę prostą linię szczęki, łuk kości policzkowej. W jego twarzy jest jakaś otwartość, niewinność – pewien rodzaj dobroci. Ta dobroć właśnie najmocniej chwyta mnie za serce.

Jest piątkowy wieczór w domu Gabe'a Rivery po meczu lacrosse. Nasza szkoła zwyciężyła, więc wszyscy są w doskonałych humorach, zwłaszcza Peter, który wykonał decydujące uderzenie. Gra na drugim końcu pokoju w pokera z kumplami z drużyny. Siedzi na odchylonym krześle, oparty plecami o ścianę. Włosy ma jeszcze wilgotne od prysznica po meczu. Ja zajmuję miejsce na kanapie z moimi przyjaciółmi, Lucasem Krapfem i Pammy Subkoff, którzy wertują najnowszy numer „Teen Vouge'a", dyskutując, czy Pammy powinna sobie zrobić grzywkę czy nie.

– Jak myślisz, Laro Jean? – pyta Pammy, przeczesując palcami marchewkowe włosy.

Pammy jest nową znajomą – poznałam ją dlatego, że spotyka się z przyjacielem Petera, Darrellem. Ma buzię lalki, okrągłą jak tortownica i oprószoną, podobnie jak ramiona, piegami.

– Hmm, myślę, że grzywka to poważna decyzja, której nie należy podejmować pod wpływem impulsu. W zależności od tego, jak szybko rosną ci włosy, możesz ją potem odhodowywać rok albo i dłużej. Ale jeśli myślisz o niej poważnie, poczekaj do jesieni, bo ani się obejrzysz, będzie lato, a grzywka latem się lepi, przetłuszcza i daje w kość…

Moje spojrzenie dryfuje znów w kierunku Petera, ten podnosi wzrok, dostrzega, że na niego patrzę, i unosi brwi pytająco. Uśmiecham się tylko i kręcę głową.

– Więc nie ścinać grzywki?

Telefon wibruje w mojej torebce. To Peter.

Chcesz już iść?

Nie.

To czemu się we mnie wpatrujesz?

Bo miałam na to ochotę.

Lucas czyta mi przez ramię. Odpycham go, a on kręci głową i mówi:

– Naprawdę piszecie do siebie esemesy, kiedy dzieli was zaledwie parę metrów?

Pammy marszczy nos i rzuca:

– Jakie to urocze.

Właśnie mam im odpowiedzieć, kiedy podnoszę oczy i widzę, że Peter zmierza stanowczo w moją stronę.

– Pora zabrać moją dziewczynę do domu – mówi.

– Która godzina? – pytam. – Już tak późno?

Peter zgarnia mnie z kanapy i podaje mi kurtkę. Potem, ciągnąc mnie za rękę, prowadzi przez salon Gabe'a. Rzucam okiem przez ramię, macham i wołam:

– Pa, Lucas! Pa, Pammy! Tak między nami, uważam, że wyglądałabyś z grzywką świetnie! Czemu idziesz tak szybko? – pytam, kiedy Peter prowadzi mnie przez trawnik na ulicę, gdzie zaparkował samochód.

Zatrzymuje się przy wozie, przyciąga mnie do siebie i całuje, a wszystko to jednym

płynnym ruchem.

– Nie mogę skoncentrować się na kartach, kiedy tak się na mnie gapisz, Covey.

– Przepraszam… – zaczynam, ale on znów mnie całuje, mocno przyciskając dłonie do moich pleców.

W samochodzie rzucam okiem na deskę rozdzielczą i widzę, że jest dopiero północ.

– Mam jeszcze godzinę, zanim będę musiała wrócić do domu. Co robimy? – pytam.

Ze wszystkich znanych mi osób jako jedyna mam ustaloną porę powrotów. Kiedy zegar wybija pierwszą w nocy, zamieniam się w dynię. Wszyscy już do tego przywykli: grzeczna dziewczyn(k)a Petera Kavinsky'ego, która musi być w domu na pierwszą. Nigdy nie przeszkadzała mi ta zasada. Bo przecież nie tracę znowu niczego aż tak fantastycznego – i co mówi stare powiedzenie? Po drugiej w nocy nie zdarza się nic dobrego. Chyba że akurat lubisz patrzeć, jak ludzie godzinami grają w picie na czas. Ja nie. Nie, zdecydowanie wolę siedzieć we flanelowej piżamie z kubkiem herbaty na dobranoc i książką. Dziękuję bardzo.

– Jedźmy do ciebie. Chcę wejść, przywitać się z twoim tatą i chwilę posiedzieć. Moglibyśmy dokończyć oglądanie *Obcego*.

Pracujemy z Peterem nad listą filmową, która składa się z moich wyborów (moje ulubione filmy, których Peter nie widział), jego wyborów (jego ulubione filmy, których ja nie widziałam) i filmów, których żadne z nas nie widziało. *Obcy* to wybór Petera, i to całkiem niezły. I chociaż dawno temu Peter twierdził, że nie lubi komedii romantycznych, bardzo podobała mu się *Bezsenność w Seattle*, co przyjęłam z ulgą, bo nie mam pojęcia, jak mogłabym być z kimś, kto nie lubi *Bezsenności w Seattle*.

– Nie wracajmy jeszcze – mówię. – Pojedźmy gdzieś.

Peter zastanawia się przez chwilę, stukając palcami o kierownicę, a potem oznajmia:

– Wiem, gdzie możemy pojechać.

– Gdzie?

– Poczekaj, to zobaczysz – mówi i spuszcza szybę, a rześkie wieczorne powietrze wypełnia samochód.

Odchylam się w fotelu. Ulice są puste, światła w większości domów zgaszone.

– Niech zgadnę. Jedziemy do baru, bo masz ochotę na naleśniki z jagodami.

– Pudło.

– Hmm. Za późno na Starbucksa, Biscuit Soul Food też jest zamknięta.

– Ej, nie tylko jedzenie mi w głowie – protestuje, po czym dodaje: − Zostały w pudełku jakieś ciastka?

– Wszystkie poszły, ale być może zostało parę w domu, o ile Kitty ich nie zjadła.

Wystawiam rękę przez okno i pozwalam jej zwisać swobodnie. Nie zostało już wiele takich wieczorów, kiedy jest na tyle chłodno, że potrzeba kurtki.

Zerkam kątem oka na profil Petera. Czasem wciąż nie mogę uwierzyć, że jest mój. Najprzystojniejszy z przystojnych jest mój, tylko mój.

– Co? – pyta.

– Nic – odpowiadam.

Dziesięć minut później wjeżdżamy na kampus Uniwersytetu Wirginii, tyle że nikt nie nazywa go kampusem. Mówią na niego Teren. Peter parkuje przy krawężniku. Cicho tu jak na piątkowy wieczór w miasteczku studenckim, ale trwa teraz przerwa wiosenna, więc mnóstwo studentów wyjechało.

Przechodzimy przez trawnik, trzymając się za ręce, kiedy nagle ogarnia mnie panika. Zatrzymuję się w pół kroku i pytam:

– Ej, nie myślisz, że przychodzenie tu, zanim się jeszcze dostałam, może przynieść mi

pecha?

Peter się śmieje.

– To nie ślub. Nie wychodzisz za UW.

– Łatwo ci mówić, ciebie już przyjęli.

W zeszłym roku Peter zobowiązał się ustnie względem drużyny lacrosse UW, a na jesieni złożył podanie we wcześniejszym terminie. Jak w przypadku większości sportowców miał zapewnione miejsce, o ile jego oceny nie ulegną pogorszeniu. Kiedy w styczniu otrzymał oficjalne potwierdzenie, jego mama urządziła dla niego przyjęcie, a ja upiekłam ciasto z żółtym lukrowym napisem: „Oddaję swój talent UW".

Peter ciągnie mnie za rękę i mówi:

– Daj spokój, Covey. Jesteśmy kowalami własnego losu. Poza tym byliśmy tu już dwa miesiące temu w Miller Center.

Uspokajam się.

– A, tak.

Ruszamy dalej przez trawnik. Już wiem, dokąd idziemy. Do Rotundy, żeby posiedzieć sobie na schodach. Rotundę zaprojektował Thomas Jefferson, założyciel uczelni, wzorując ją na Panteonie wraz z białymi kolumnami i wielką kopułą sklepienia. Peter w stylu Rocky'ego wbiega na schody i siada z impetem. Ja siadam poniżej, odchylam się i opieram o jego nogi.

– Wiedziałeś – zaczynam – że jedną z rzeczy, które nadają UW wyjątkowy charakter, jest to, że w centrum szkoły, tu, wewnątrz Rotundy, znajduje się biblioteka, a nie kościół? To dlatego, że Jefferson wierzył w rozdział edukacji i Kościoła.

– Przeczytałaś o tym w informatorze? – żartuje sobie Peter, całując mnie w policzek.

– Dowiedziałam się tego podczas zeszłorocznego zwiedzania – odpowiadam sennie.

– Nie mówiłaś, że byłaś tu na wycieczce. Czemu się na nią wybrałaś, skoro jesteś stąd? Byłaś tu setki razy!

Ma rację, byłam tu setki razy – gdy dorastałam, przychodziłam tu z rodziną. Kiedy mama jeszcze żyła, przyjeżdżaliśmy tu na występy grupy muzycznej Hullabahoos, bo mama uwielbiała śpiew *a cappella*. Zrobiliśmy sobie rodzinne zdjęcie na trawniku. W słoneczne dni przychodziliśmy tu po kościele na piknik.

Odwracam się, żeby spojrzeć na Petera.

– Wzięłam udział w zwiedzaniu, bo chciałam się dowiedzieć wszystkiego na temat UW! Rzeczy, o których nie mogłam wiedzieć z samego faktu, że mieszkam w pobliżu. Na przykład wiedziałeś, w którym roku uniwersytet zaczął przyjmować kobiety?

Drapie się po karku.

– Hmm… Nie wiem. Kiedy założono szkołę? Na początku osiemnastego wieku? No to w 1920?

– Nie. W 1970. – Obracam się z powrotem i patrzę prosto przed siebie, na teren uniwersytetu. – Po stu pięćdziesięciu latach.

– Wow. Szaleństwo. Dobra, opowiedz coś jeszcze o UW – mówi zaintrygowany.

– UW to jedyna uczelnia w Stanach znajdująca się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO – zaczynam.

– Nieważne, nie opowiadaj mi już o UW – mówi Peter, a ja wymierzam mu strzał w kolano. – Opowiedz mi coś innego. Powiedz mi, na co czekasz najbardziej, kiedy myślisz o studiowaniu tu.

– Ty pierwszy. Na co cieszysz się najbardziej?

Bez chwili wahania Peter odpiera:

– Proste. Streaking z tobą po tutejszych trawnikach.

– *Na to* cieszysz się najbardziej ze wszystkiego? Na bieganie nago? – I szybko dodaję: − Nawiasem mówiąc, w życiu się na to nie zgodzę.

Śmieje się.

– To tradycja UW. Myślałem, że interesują cię tutejsze zwyczaje.

– Peter!

– Żartuję. – Pochyla się i obejmuje moje ramiona, wtulając nos w mój kark, tak jak lubi. – Twoja kolej.

Pozwalam sobie przez chwilę pomarzyć. Jeśli się dostanę, to czego nie będę się mogła doczekać? Jest tyle rzeczy, że nie dałabym rady ich wymienić. Cieszę się na gofry jedzone co dzień z Peterem na śniadanie w stołówce. Na wspólne zjazdy na sankach ze wzgórza O-Hill, kiedy spadnie śnieg. Na pikniki, kiedy będzie ciepło. Na całonocne rozmowy, po których będziemy się budzili i nadal rozmawiali. Na późnonocne pranie i spontaniczne wycieczki. Na… wszystko. Wreszcie mówię:

– Nie chcę zapeszać.

– Daj spokój!

– Dobra, dobra… Chyba najbardziej cieszę się… że będę mogła przesiadywać, ile dusza zapragnie, w sali McGregora.

Ludzie nazywają ją salą Harry'ego Pottera z powodu dywanów, kandelabrów, skórzanych foteli i portretów na ścianach. Regały sięgają od podłogi po sam sufit, a wszystkie książki znajdują się za metalowymi kratami, chronione jak drogocenne przedmioty, którymi rzeczywiście są. To pokój z innej epoki. Traktuje się go z szacunkiem – niemal nabożeństwem. W któreś wakacje – musiałam mieć pięć albo sześć lat, bo Kitty jeszcze nie było na świecie – mama robiła kurs na UW i uczyła się w sali McGregora. Ja i Margot kolorowałyśmy albo czytałyśmy. Mama nazywała ten pokój magiczną biblioteką, bo nigdy się tam z Margot nie kłóciłyśmy. Obie siedziałyśmy cicho jak mysz pod miotłą – w taki podziw wprawiały nas te wszystkie książki i uczący się studenci.

Peter wygląda na zawiedzionego. Pewnie spodziewał się, że wymienię coś związanego z nim. Z nami. Ale z jakiegoś powodu chcę zachować te nadzieje wyłącznie dla siebie.

– Możesz chodzić ze mną do sali McGregora – mówię. – Ale musisz obiecać, że będziesz cicho.

– Laro Jean, tylko ty możesz cieszyć się na myśl o przesiadywaniu w bibliotece – stwierdza czule Peter.

Właściwie to gdyby oceniać po samych zdjęciach na Pintereście, jestem pewna, że mnóstwo osób cieszyłoby się na myśl o przesiadywaniu w tak pięknej bibliotece – ale nie osoby z otoczenia Petera. Uważa mnie za dziwadło. Nie zamierzam uświadamiać go, że wcale nie jestem aż taka dziwna, że tak naprawdę masa ludzi lubi siedzieć w domu, piec ciasteczka, robić scrapbooki i przesiadywać w bibliotece. Większość z nich zapewne jest po pięćdziesiątce, ale co z tego. Podoba mi się sposób, w jaki Peter na mnie patrzy: jakbym była leśną nimfą, na którą natrafił pewnego dnia i zabrał do domu, żeby ją przy sobie zatrzymać.

Peter wyciąga telefon z kieszeni bluzy.

– Wpół do pierwszej. Powinniśmy się wkrótce zbierać.

– Już? – Wzdycham.

Lubię tu siedzieć późnym wieczorem. Mam wtedy wrażenie, że całe to miejsce należy do nas.

W głębi duszy zawsze wiedziałam, że wybiorę UW. Nigdy nie myślałam, że pójdę gdzie indziej, nawet się nad tym nie zastanawiałam. Zamierzałam złożyć papiery we wcześniejszym terminie, jak Peter, ale pani Duvall, pedagog, odradziła mi to posunięcie. Powiedziała, że lepiej

poczekać, by mogli zobaczyć moje oceny semestralne z ostatniej klasy. Zdaniem pani Duvall zawsze najlepiej składać podanie w szczytowej formie.

Ostatecznie więc złożyłam dokumenty do pięciu szkół. Z początku rozważałam tylko UW, najbardziej wymagający i zaledwie kwadrans od domu, Kolegium Wilhelma i Marii, drugą uczelnię, na którą ciężko się dostać, i drugą w kolejności moich wyborów (dwie godziny od domu), Uniwersytet w Richmond oraz Jamesa Madisona, oba zaledwie godzinę od domu, które zremisowały na trzecim miejscu. Wszystkie stanowe. Ale pani Duvall nalegała, żebym aplikowała na przynajmniej jeden pozastanowy, na wszelki wypadek, żeby mieć wybór – więc złożyłam papiery na Uniwersytet Północnej Karoliny w Chapel Hill. Bardzo trudno dostać się na uczelnię pozastanową, ale wybrałam tę, bo przypominała UW. Miała mocny program nauk humanistycznych i nie była zbyt daleko, leżała wystarczająco blisko, żeby w każdej chwili przyjechać do domu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Ale gdybym miała wybór, i tak wybrałabym UW. Nigdy nie chciałam wyjeżdżać daleko od domu. Nie jestem taka jak moja starsza siostra. Wyjazd był jej marzeniem. Zawsze chciała podbić świat. A ja chciałam domu i dla mnie UW to dom, i właśnie dlatego jego miarą mierzyłam wszystkie pozostałe uczelnie. Kampus jak z bajki, wszystko jak z bajki. I oczywiście Peter.

Siedzimy jeszcze chwilę, opowiadam Peterowi kolejne ciekawostki na temat UW, a on się nabija, że tak wiele wiem o tej uczelni. Potem mnie odwozi. Dochodzi pierwsza, kiedy zajeżdżamy pod dom. Na dole nie palą się żadne światła, ale w pokoju taty się świeci. Nigdy nie kładzie się spać, dopóki nie wrócę. Właśnie mam wysiąść, kiedy Peter wyciąga rękę i mnie powstrzymuje.

– Pocałuj mnie na dobranoc – mówi.

Śmieję się.

– Peter! Muszę iść.

Uparcie zamyka oczy i czeka, więc pochylam się i całuję go pospiesznie w usta.

– Proszę. Zadowolony?

– Nie.

Całuje mnie ponownie, jakbyśmy mieli mnóstwo czasu, i mówi:

– A co by było, gdybym wrócił, jak już wszyscy pójdą spać, spędził u ciebie noc i wyszedł bardzo wcześnie rano? Przed świtem?

– Nie możesz, więc się nie dowiemy – odpowiadam z uśmiechem.

– Ale co by było gdyby?

– Tata by mnie zabił.

– Wcale nie.

– Zabiłby ciebie.

– Wcale nie.

– Wcale nie – przytakuję. – Ale byłby mną zawiedziony. I zły na ciebie.

– Tylko gdyby nas nakrył – mówi Peter, ale bez przekonania.

On też nie podejmie takiego ryzyka. Zbyt mu zależy, żeby mieć u taty dobre notowania.

– Wiesz, na co cieszę się najbardziej? – Ciągnie mnie za warkocz, a potem dodaje: − Że nie będziemy musieli się żegnać wieczorem. Nie znoszę tego.

– Ja też – mówię.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy na studiach.

– Ja też – przyznaję, a potem całuję go jeszcze raz, po czym wyskakuję z auta i pędzę do domu.

Po drodze zerkam na księżyc, na wszystkie gwiazdy, które przykrywają niebo niczym koc, i wypowiadam życzenie: „Dobry Boże, pozwól mi, proszę, dostać się na UW”.

2

Oprószyć perukę Marii różowym czy złotym brokatem?

Przysuwam wydmuszkę do komputera, żeby Margot mogła ją obejrzeć. Zafarbowałam skorupkę na blady turkus i wykleiłam podobizną Marii Antoniny.

– Pokaż bliżej – mówi Margot, mrużąc oczy.

Jest w piżamie, a na twarzy ma maseczkę. Włosy urosły jej za ramiona, co oznacza, że pewnie wkrótce je obetnie. Mam przeczucie, że już zawsze będzie nosiła krótkie. Naprawdę świetnie w nich wygląda.

W Szkocji jest wieczór, a tu jeszcze popołudnie. Dzieli nas pięć godzin i ponad pięć i pół tysiąca kilometrów. Ona siedzi w pokoju w akademiku, a ja przy naszym kuchennym stole, otoczona wydmuszkami, miseczkami z barwnikami, kamykami, naklejkami i puchatymi białymi piórkami z ozdób bożonarodzeniowych, które robiłam parę lat temu. Margot dotrzymuje mi towarzystwa, w czasie gdy ja kończę zdobienie jajek.

– Chyba zrobię jej perłową obwódkę, gdyby miało to pomóc ci w podjęciu decyzji – mówię.

– W takim razie różowy – mówi, poprawiając maseczkę. – Będzie wyrazistszy.

– Też tak myślałam.

Zabieram się do przyklejania brokatu pędzelkiem do cieni. Wczorajszy wieczór spędziłam na wydmuchiwaniu jajek ze skorupek. To miała być wspólna zabawa z Kitty, jak za dawnych czasów, ale mnie olała, kiedy Madeline Klinger zaprosiła ją do siebie. Zaproszenie od Madeline Klinger to rzadka, doniosła chwila, więc oczywiście nie mogłam mieć tego Kitty za złe.

– Już niedługo się dowiesz, prawda?

– Jakoś w tym miesiącu.

Zaczynam układać perełki w rzędzie. Część mnie chciałaby, żeby już było po wszystkim, ale część cieszy się z tego okresu niepewności, z wciąż istniejącej nadziei.

– Dostaniesz się – mówi Margot, jakby stwierdzała fakt.

Całe moje otoczenie uważa, że przyjęcie mnie na uniwersytet jest przesądzone. Peter, Kitty, Margot, tata. Moja pedagog, pani Duvall. Nigdy nie odważyłabym się powiedzieć tego na głos, żeby nie zapeszyć, ale ja sama chyba też tak sądzę. Ciężko pracowałam: podniosłam wyniki testów o dwieście punktów. Oceny mam niemal tak dobre, jak miała Margot, a ona się dostała. Zrobiłam wszystko, co trzeba, ale czy to wystarczy? W tej chwili mogę jedynie czekać i mieć nadzieję. I mieć nadzieję, nadzieję.

W połowie przyklejania na gorąco małej białej kokardki na czubku wydmuszki zamieram i rzucam siostrze podejrzliwe spojrzenie.

– Chwileczkę. Jeśli się dostanę, to będziesz mnie próbowała przekonać do pójścia gdzie indziej, żebym mogła rozwinąć skrzydła?

Margot się śmieje, a maseczka zsuwa jej się z twarzy. Poprawiając ją, mówi:

– Nie. Wierzę, że wiesz, co dla ciebie najlepsze.

Widzę, że mówi szczerze. Jej słowa stają się rzeczywistością. Ja też sobie wierzę. Wierzę, że kiedy nadejdzie pora, będę wiedziała, co jest najlepsze. A dla mnie najlepszy jest UW. Wiem o tym.

– Powiem tylko, żebyś znalazła własnych przyjaciół. Peter będzie miał mnóstwo znajomych z powodu lacrosse, ale ludzie, z którymi się będzie przyjaźnił, to niekoniecznie ci,

których ty sama byś wybrała. Więc znajdź własnych przyjaciół. Znajdź swoich ludzi. UW jest duży.

– Dobrze – obiecuję.

– I dołącz do stowarzyszenia Azjatów. Jedna rzecz, jakiej mi brakuje tutaj, w innym kraju, to grupa azjatycko--amerykańska. To ważne, żeby na studiach nie zapominać o swoim pochodzeniu. Jak Tim.

– Jaki Tim?

– Tim Monahan z mojej klasy.

– A, *Tim* – mówię.

Tim Monahan jest Koreańczykiem i został adoptowany. Do naszej szkoły nie chodzi zbyt wielu Azjatów, więc wszyscy wszystkich znamy, przynajmniej z widzenia.

– W liceum nigdy nie trzymał się z Azjatami, a potem wyjechał na studia i poznał mnóstwo Koreańczyków, a teraz chyba przewodzi azjatyckiemu bractwu.

– Wow!

– Cieszę się, że korporacje studenckie nie są w Wielkiej Brytanii popularne. Nie zamierzasz do żadnej wstąpić, prawda? – Po czym szybko dodaje: − Nie oceniam!

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Ale Peter pewnie wstąpi do bractwa.

– On też o niczym nie wspominał… − Mimo że nie wspominał, bez trudu wyobrażałam go sobie w zrzeszeniu.

– Słyszałam, że jest ciężko, jeśli twój chłopak należy do bractwa, a ty nie. Chodzi o imprezy i takie tam, że łatwiej, jeśli przyjaźnisz się z dziewczynami należącymi do zrzeszenia. Nie wiem. Cała sprawa wydaje mi się idiotyczna, ale może warto spróbować. Słyszałam, że w zrzeszeniach dziewczyny lubią rękodzieło. – Porusza żartobliwie brwiami.

– A skoro o tym mowa. – Pokazuję jej wydmuszkę. – Tadam!

Margot przybliża twarz do ekranu, żeby się przyjrzeć.

– Powinnaś zająć się profesjonalnie zdobieniem wydmuszek! Pokaż pozostałe.

Podnoszę cały karton z pisankami. Mam tuzin wydmuszek: bladoróżowe zdobione neonoworóżową tasiemką, jaskrawoniebieskie, cytrynowe, liliowe z suszonymi kwiatami lawendy. Dobrze, że miałam ją do czego zużyć. Wiele miesięcy temu kupiłam woreczek lawendy do crème brûlée i tylko leżał niepotrzebnie w spiżarni.

– Co zamierzasz z nimi zrobić? – pyta Margot.

– Zabiorę je do Belleview, żeby mogli nimi ozdobić recepcję. Tam zawsze jest tak ponuro i szpitalnie.

Margot opiera się o poduszki.

– Jak się mają wszyscy w Belleview?

– W porządku. Byłam tak zajęta podaniami na studia i sprawami związanymi z ostatnim rokiem w szkole, że nie mogłam zaglądać tam tak często jak dawniej. Teraz, kiedy już nie pracuję tam oficjalnie, dużo trudniej znaleźć czas. – Obracam w dłoni pisankę. – Tę chyba podaruję Stormy. Jest bardzo w jej stylu. – Odkładam Marię Antoninę na stojak, żeby wyschła, biorę liliowe jajko i zaczynam przyklejać do niego różnobarwne kamyki. – Od tej pory zamierzam ich częściej odwiedzać.

– To trudne – zgadza się Margot. – Jak przyjadę na przerwę wiosenną, pojedziemy tam razem. Chcę przedstawić Stormy Raviego.

Margot od pół roku chodzi z Ravim. Jego rodzice pochodzą z Indii, ale urodził się w Londynie, więc jego akcent jest tak elegancki, jak to tylko możliwe. Kiedy poznałam go przez Skype'a, powiedziałam: „Mówisz jak książę William", a on się roześmiał i odparł: „A jakże".

Jest dwa lata starszy od Margot i może dlatego, że jest starszy, a może dlatego, że jest Anglikiem, sprawia szalenie arystokratyczne wrażenie, przez co zupełnie nie przypomina Josha. Nie żeby był snobem, ale jest zdecydowanie inny. Bardziej obyty, pewnie z racji życia w wielkim mieście, chodzenia do teatru, kiedy przyjdzie mu na to ochota, i spotykania dygnitarzy i tym podobnych, bo jego matka jest dyplomatką. Kiedy powiedziałam o tym Margot, roześmiała się i stwierdziła, że po prostu jeszcze go nie poznałam, ale Ravi jest tak naprawdę kompletnym dziwakiem, wcale nie tak wytwornym ani tak „książęcym". „Niech nie zmyli cię akcent", powiedziała. Przyjedzie z Ravim do domu na przerwę wiosenną, więc pewnie wkrótce przekonam się na własne oczy. Plan jest taki, że Ravi ma zatrzymać się u nas na dwie noce, a potem polecieć do Teksasu, żeby zobaczyć się z rodziną. Margot zostanie z nami do końca tygodnia.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam na żywo – mówię, a ona uśmiecha się promiennie.

– Będziesz nim zachwycona.

Z pewnością. Lubię wszystko to, co lubi Margot. Na szczęście teraz, kiedy Margot poznała lepiej Petera, widzi, jak bardzo jest wyjątkowy. Kiedy przyjadą z Ravim, będziemy mogli spędzić czas we czwórkę na prawdziwej randce w dwie pary.

Jesteśmy z moją siostrą jednocześnie zakochane i możemy się tym ze sobą dzielić. Ależ to wspaniałe!

3

Następnego ranka maluję usta krwistoczerwoną szminką, w której lubi mnie Stormy, zbieram pisanki do białego koszyka z wikliny i jadę do Belleview. Zatrzymuję się przy recepcji, żeby zostawić wydmuszki i pogadać przez chwilę z Shanice. Pytam, co słychać, a ona mówi, że mają dwóch nowych wolontariuszy, obu z UW, dzięki czemu czuję znacznie mniejsze wyrzuty sumienia, że nie zaglądam tu tak często.

Żegnam się z Shanice, po czym ruszam z pisanką do Stormy. Otwiera mi w kimonie o barwie persymony i pasującej szmince i woła:

– Lara Jean! – Chwyta mnie w ramiona, marudząc: − Przyglądasz się moim odrostom, prawda? Wiem, że powinnam zafarbować włosy.

– Prawie nie widać – zapewniam ją.

Zachwyca się Marią Antoniną. Mówi, że nie może się doczekać, żeby pokazać ją Alicii Ito, swojej przyjaciółce i rywalce.

– Dla Alicii też taką przyniosłaś? – pyta.

– Tylko dla ciebie – odpowiadam, a jej blade oczy promienieją.

Siadamy na kanapie, a ona kiwa na mnie palcem i mówi:

– Musisz być po uszy zadurzona w tym swoim młodzieńcu, bo nie starcza ci czasu, żeby mnie odwiedzić.

– Przepraszam. Wysłałam już podania na studia i będę częściej przychodzić – mówię ze skruchą.

– Pff!

Kiedy Stormy jest w takim nastroju, najlepiej omamić ją pochlebstwami.

– Robię tylko to, co mi kazałaś, Stormy.

Przechyla głowę.

– A co ci kazałam?

– Żebym często chodziła na randki i miała mnóstwo przygód tak jak ty.

Zaciska swoje pomarańczowoczerwone usta, próbując pohamować uśmiech.

– To była bardzo dobra rada. Słuchaj dalej Stormy, a będziesz na właściwej drodze. A teraz opowiedz mi jakieś pikantne kawałki.

Śmieję się.

– Moje życie nie jest pikantne.

Cmoka z niezadowoleniem.

– Nie czekają cię jakieś tańce? Kiedy macie bal?

– Dopiero w maju.

– A masz sukienkę?

– Jeszcze nie.

– Lepiej się z tym pospiesz. Nie chcesz, kochana, żeby jakaś inna panna włożyła twoją sukienkę.

Przygląda się badawczo mojej twarzy.

– Przy twojej karnacji powinnaś postawić na różową. – Potem jej oczy rozbłyskują i pstryka palcami. – À propos! Mam coś dla ciebie.

Podskakuje i idzie do sypialni, skąd wraca z aksamitnym pudełeczkiem na pierścionek.

Otwieram je i wydaję z siebie okrzyk. To jej pierścionek z różowym brylantem! Ten od weterana, który stracił na wojnie nogę.

– Nie mogę tego przyjąć, Stormy.

– Ależ musisz. Będzie ci z nim do twarzy.

Powoli wyjmuję go z pudełka i wkładam na lewą rękę. Jak połyskuje!

– Jest piękny! Ale naprawdę nie powinnam…

– Należy do ciebie, skarbie. – Mruga do mnie. – Dam ci radę, Laro Jean. Nigdy nie mów „nie", kiedy tak naprawdę chcesz powiedzieć „tak".

– W takim razie: tak! Dziękuję, Stormy! Obiecuję, że będę o niego dbała.

Całuje mnie w policzek.

– Wiem, kochanie.

Po powrocie do domu umieszczam go na wszelki wypadek w pudełku z biżuterią.

Później tego samego dnia siedzę w kuchni z Kitty i Peterem, czekając, aż ostygną ciasteczka z kawałkami czekolady. Przez ostatnich kilka tygodni podjęłam się misji udoskonalenia przepisu, a Peter i Kitty towarzyszyli mi wiernie w tej podróży. Kitty woli płaskie chrupkie ciasteczka, a Peter lubi mieć w co wbić zęby. Mój ideał to kombinacja obydwu powyższych. Pożywne, ale delikatne. Jasnobrązowe, nie mdłe w kolorze czy w smaku. Nieco wyrośnięte, ale bez przesady. Takich ciasteczek właśnie poszukuję.

Przeczytałam wszystkie posty na blogach, obejrzałam zdjęcia ciastek z białym cukrem kontra mieszanką białego i brązowego, z sodą oczyszczoną kontra proszkiem do pieczenia, laską wanilii kontra ekstraktem wanilinowym, połamanymi, pociętymi i posiekanymi tabliczkami czekolady. Próbowałam zamrażania w kulkach, rozpłaszczania ciastek denkiem szklanki, żeby powstawał równomierny placuszek. Mroziłam ciasto w wałku, a potem kroiłam na plasterki. Odmierzałam, a potem mroziłam. Mroziłam, a potem odmierzałam. A mimo to ciastka wciąż zbyt mocno rosły.

Tym razem użyłam zdecydowanie mniej sody, ale ciastka są nadal lekko puchate, a ja mam ochotę wyrzucić całą partię za to, że nie są doskonałe. Oczywiście tego nie zrobię – szkoda dobrych składników. Mówię natomiast do Kitty:

– Nie wspominałaś przypadkiem, że wpadłaś w zeszłym tygodniu w tarapaty, bo gadałaś podczas czytania po cichu? – Kiwa głową. – Zanieś je swojej nauczycielce i powiedz, że je upiekłaś i że przepraszasz.

Kończą mi się osoby, którym mogę ofiarować swoje ciastka. Dałam już porcję listonoszowi, kierowcy szkolnego autobusu Kitty, pielęgniarkom w szpitalu taty.

– Co zrobisz, kiedy odkryjesz najlepszy przepis? – pyta Kitty z ustami pełnymi ciastek.

– No, o co w tym wszystkim chodzi? – mówi Peter. – No wiesz, kogo obchodzi, czy ciastko z czekoladą jest osiem procent lepsze? Ciastko to ciastko.

– Będę czerpała przyjemność z wiedzy, że posiadam przepis na doskonałe ciasteczka z kawałkami czekolady. Przekażę go następnemu pokoleniu dziewczyn Song.

– Albo chłopców – mówi Kitty.

– Albo chłopców – przytakuję, a potem dodaję: − Idź na górę i przynieś mi słój na te ciastka. I wstążkę.

Peter pyta:

– Przyniesiesz parę jutro do szkoły?

– Zobaczymy – mówię, bo chcę zobaczyć, jak robi tę obrażoną minę, którą tak uwielbiam. Robi ją, a ja wyciągam rękę i klepię go po policzku. – Dzieciuch z ciebie.

– I to ci się podoba – mówi, podkradając kolejne ciastko. – Włączmy film. Obiecałem mamie, że wpadnę do sklepu i pomogę jej poprzestawiać jakieś meble.

Mama Petera jest właścicielką sklepu z antykami Linden & White i Peter pomaga jej tyle, ile może.

Dzisiejszy film z naszej listy to *Romeo i Julia*, wersja z 1996 roku z Leonardem DiCaprio i Claire Danes. Kitty widziała go już kilkanaście razy, ja oglądałam fragmenty, a Peter nie znał go wcale.

Kitty zwleka na dół swoją poduchę do siedzenia i usadawia się obok na podłodze z paczką popcornu z mikrofali. Nasz złocisty terier Jamie Fox-Pickle natychmiast zalega koło niej, niewątpliwie w nadziei na spadające okruchy. Peter i ja siedzimy na kanapie, przytuleni pod kocem z owczej wełny, który Margot przysłała ze Szkocji.

Od chwili kiedy Leo pojawia się na ekranie w granatowym garniturze, dostaję palpitacji. Przypomina anioła, pięknego, zranionego anioła.

– Co on się tak spina? – pyta Peter, sięgając w dół, żeby podkraść garść popcornu Kitty. – Nie jest jakimś księciem czy kimś?

– Nie jest księciem – mówię. – Jest po prostu bogaty. A jego rodzina ma duże wpływy w mieście.

– To facet moich marzeń – mówi Kitty zaborczo.

– Ale już wyrósł – mówię, nie odrywając oczu od ekranu. – Jest w zasadzie w wieku taty. – Mimo to…

– Chwileczkę, sądziłem, że to *ja* jestem facetem twoich marzeń – mówi Peter.

Nie do mnie, do Kitty. Wie, że moim nie jest. Facetem moich marzeń jest Gilbert Blythe z *Ani z Zielonego Wzgórza*. Przystojny, lojalny, bystry.

– Fuuj – mówi Kitty. – Jesteś dla mnie jak starszy brat.

Peter wygląda na prawdziwie zranionego, więc klepię go po ramieniu.

– Nie sądzisz, że trochę z niego chudzielec? – Nie daje za wygraną.

Uciszam go.

Krzyżuje ramiona na piersi.

– Nie rozumiem, czemu wy możecie gadać w trakcie filmu, a mnie się ucisza. To jest do bani.

– To nasz dom – mówi Kitty.

– Twoja siostra ucisza mnie również w moim domu!

Jednomyślnie go ignorujemy.

W sztuce Romeo i Julia mają zaledwie trzynaście lat. W filmie mają raczej siedemnaście czy osiemnaście. Ale wciąż są nastolatkami. Skąd wiedzieli, że są sobie pisani? Jedno spojrzenie przez akwarium w łazience wystarczyło? Wiedzieli, że to miłość, dla której warto umrzeć? Bo wiedzieli. Wierzyli w to. Różnica chyba polega na tym, że w tamtych czasach ludzie pobierali się znacznie wcześniej niż teraz. Realnie rzecz biorąc, „dopóki śmierć nas nie rozłączy" oznaczało pewnie jakieś piętnaście–dwadzieścia lat, bo ludzie nie żyli wtedy aż tak długo.

Kiedy jednak ich oczy spotykają się przez ściany akwarium… kiedy Romeo wspina się na jej balkon i wyznaje miłość… Nic na to nie poradzę. Ja też w to wierzę. Chociaż wiem, że prawie się nie znali, że ich historia kończy się, zanim się tak naprawdę zaczęła, a prawdziwa relacja mieści się w codzienności, w wyborze, by ze sobą być mimo wszelkich przeciwności. A jednak myślę, że by im się udało, gdyby tylko przeżyli. Na napisach końcowych łzy płyną mi po policzkach i nawet Peter wygląda na zasmuconego, ale wolna od sentymentów, suchooka Kitty podskakuje tylko i mówi, że zabiera Jamiego Fox-Pikle'a na zewnątrz, żeby się wysiusiał. Wychodzą, a tymczasem ja wciąż tonę na kanapie w emocjach, ocierając łzy z oczu.

– Mieli takie fajne słodkanie – mówię schrypniętym głosem.

– Co to jest słodkanie?

Peter leży na boku, a głowę ma wspartą na łokciu. Wygląda tak uroczo, że mogłabym wytarmosić go za policzki, ale powstrzymuję się przed powiedzeniem tego na głos. Już i tak ma

wielkie ego.

– Słodkanie to pierwsze spotkanie bohaterów, które zawsze przebiega w czarujący sposób. Dzięki temu wiadomo, że skończą razem. Im bardziej urzekające, tym lepiej.

– Jak w *Terminatorze*, kiedy Reese ratuje Sarah Connor przed Terminatorem i mówi: „Chodź ze mną, jeśli chcesz żyć". Niesamowity tekst.

– No, to chyba słodkanie, technicznie rzecz biorąc… Ale myślałam raczej o czymś w rodzaju *Ich nocy*. Musimy go dodać do naszej listy.

– Kolorowy czy czarno-biały?

– Czarno-biały.

Peter jęczy i opada z powrotem na poduszkę.

– Trochę szkoda, że my nie mieliśmy słodkania – myślę głośno.

– Wskoczyłaś na mnie na szkolnym korytarzu. Uważam, że to dość słodkie.

– Ale już się znaliśmy, więc to się właściwie nie liczy. – Marszczę brwi. – Nawet nie pamiętamy, jak się poznaliśmy. Jakie to smutne.

– Ja pamiętam, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

– Nie-e. Kłamczuch!

– Ej, to, że ty czegoś nie pamiętasz, nie oznacza, że ja też nie. Pamiętam mnóstwo rzeczy.

– Dobra, to jak się poznaliśmy? – Rzucam mu wyzwanie.

Jestem pewna, że to, co padnie z jego ust, będzie kłamstwem.

Peter otwiera usta, a potem gwałtownie je zamyka.

– Nie powiem ci.

– Widzisz! Nie potrafisz niczego wymyślić.

– Nie, nie zasługujesz, żeby się dowiedzieć, bo mi nie wierzysz.

Przewracam oczami.

– Wciskasz kit.

Wyłączam film i idziemy z Peterem posiedzieć na werandzie i wypić mrożoną herbatę, którą przyrządziłam poprzedniego wieczoru. Na dworze jest chłodno. Powietrze jest wciąż na tyle rześkie, żeby było jasne, że wiosna jeszcze w pełni nie nastała, ale wkrótce nadejdzie. Rosnący przed domem dereń właśnie zaczyna kwitnąć. Wieje przyjemny wiaterek. Mogłabym chyba siedzieć tu całe popołudnie i patrzeć, jak gałęzie gną się i kołyszą, a liście tańczą.

Mamy jeszcze chwilę, zanim będzie musiał pojechać pomóc mamie. Pojechałabym razem z nim, przypilnowała kasy, w czasie gdy on przestawiałby meble, ale ostatnio kiedy mnie ze sobą zabrał, jego mama nie była zadowolona i powiedziała, że jej sklep to miejsce interesów, nie „schadzek nastolatków". Mama Petera nie okazuje mi niechęci i chyba jej do mnie nie czuje – ale nadal nie wybaczyła mi, że zerwałam z Peterem w zeszłym roku. Jest dla mnie miła, ale mi nie ufa, jest ostrożna. Coś w stylu: pożyjemy, zobaczymy. „Pożyjemy, zobaczymy, kiedy znów zranisz mojego syna". Zawsze sobie wyobrażałam, że z mamą mojego pierwszego chłopaka będzie mnie łączyć wspaniała więź w stylu Iny Garten. Będziemy razem gotować obiady, pić herbatę, czuć do siebie sympatię i grać w scrabble w deszczowe popołudnia.

– O czym myślisz? – pyta Peter. – Masz ten wyraz twarzy…

Przygryzam dolną wargę.

– Szkoda, że twoja mama nie lubi mnie trochę bardziej.

– Lubi cię.

– Peterze. – Rzucam mu spojrzenie.

– Naprawdę! Gdyby cię nie lubiła, to nie zapraszałaby cię na obiad.

– Zaprasza mnie na obiad, bo chce się zobaczyć z tobą, nie ze mną.

– Nieprawda.

Widzę, że taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy, ale jest w niej ziarnko prawdy i on o tym wie.

– Chciałaby, żebyśmy zerwali, zanim pójdziemy na studia – wypalam.

– Podobnie jak twoja siostra.

– Ha! A więc przyznajesz, że twoja mama chce, żebyśmy zerwali. – Tryumfuję.

Nie wiem, czemu odczuwam zwycięstwo. Ta myśl jest przygnębiająca, nawet jeśli się tego spodziewałam.

– Uważa, że poważne relacje w młodym wieku to zły pomysł. To nie ma nic wspólnego z tobą. Powiedziałem jej: „To, że nie wyszło tobie i tacie, nie znaczy, że z nami będzie tak samo". Nie jestem taki jak mój ojciec. A ty nie przypominasz mojej matki.

Rodzice Petera rozwiedli się, kiedy byliśmy w szóstej klasie. Jego tata mieszka jakieś pół godziny stąd ze swoją nową żoną i dwoma małymi synkami. Peter nie mówi zbyt wiele o ojcu. Rzadko w ogóle o nim wspomina, ale w tym roku ni z tego, ni z owego jego tata podjął próbę odzyskania kontaktu – zaprosił go na mecz koszykówki, do domu na kolację. Do tej pory Peter był nieugięty.

– Czy twój tata jest z wyglądu podobny do ciebie? – pytam. – To znaczy: czy ty jesteś podobny do niego?

– No. Wszyscy tak zawsze twierdzili – mówi ponuro.

Kładę mu głowę na ramieniu.

– W takim razie musi być bardzo przystojny.

– Pewnie był, swego czasu – zgadza się. – Przerosłem go już.

To coś, co mamy z Peterem wspólnego – on ma tylko mamę, ja mam tylko tatę. Peter uważa, że mnie dostała się lepsza wersja historii, bo straciłam mamę, która mnie kochała, a nie tatę, który żyje, tylko jest dupkiem. To jego słowa, nie moje. Po części się z nim zgadzam, bo mam wiele dobrych wspomnień o mamie, a on nie ma prawie żadnych wspomnień o tacie.

Uwielbiałam po kąpieli siedzieć przed nią po turecku i oglądać telewizję, podczas gdy ona wyczesywała mi z włosów kołtuny. Pamiętam, że Margot nie znosiła siedzieć nieruchomo, ale mnie to nie przeszkadzało. Ten rodzaj wspomnień lubię najbardziej: raczej odczucie niż konkretne wydarzenie. Ślad wspomnienia, zamazany na brzegach, rozmyty i wcale nie wyjątkowy, zlewający się w jedną chwilę. Inne wspomnienie tego rodzaju mam z czasów, kiedy odwoziłyśmy Margot na lekcje fortepianu, a mama i ja jadłyśmy potajemnie lodowe desery na parkingu McDonald's. Z karmelem i sosem truskawkowym. Przekładała mi swoje orzeszki, żebym miała więcej. Spytałam kiedyś, czemu nie lubi orzeszków w deserze, a ona odparła, że lubi, ale ja je *uwielbiam*. A ona mnie kocha.

Mimo wszystkich dobrych wspomnień, których za nic bym nie oddała, wiem, że nawet gdyby moja mama miała być okropna, wolałabym, żeby była tu ze mną, niż żeby jej nie było. Mam nadzieję, że któregoś dnia Peter poczuje to samo względem swojego taty.

– A teraz o czym myślisz? – pyta Peter.

– O mamie – mówię.

Peter odstawia szklankę, przeciąga się i kładzie mi głowę na kolanach. Podnosi na mnie wzrok i mówi:

– Szkoda, że jej nie poznałem.

– Bardzo by cię polubiła – mówię, głaszcząc jego włosy. Pytam niepewnie: − Myślisz, że mogłabym kiedyś poznać twojego tatę?

Jego twarz pochmurnieje i żałuję, że poruszyłam ten temat.

– Nie chcesz go poznawać – mówi. – Nie jest tego wart. – Potem wtula się we mnie jeszcze bardziej. – Ej, może w tym roku powinniśmy się przebrać na halloween za Romea i Julię.

Ludzie na UW robią megastroje.

Opieram się o filar. Zmienia temat, zdaję sobie z tego sprawę, ale dostosowuję się.

– Przebralibyśmy się za wersję Leo i Claire.

– No. – Ciągnie mnie za warkocz. – Będę twoim rycerzem w lśniącej zbroi.

Dotykam jego włosów.

– A rozważyłbyś zapuszczenie trochę dłuższych włosów? I może… przefarbowanie ich na blond? W przeciwnym razie ludzie pomyślą, że jesteś zwykłym rycerzem.

Peter śmieje się tak bardzo, że chyba nie słyszy reszty zdania.

– O matko, Covey. Skąd bierzesz ten swój humor?

– Żartowałam! – W połowie. – Ale wiesz, że kostiumy traktuję poważnie. Po co się wysilać, jeśli robi się coś na pół gwizdka?

– Dobra, mógłbym pewnie włożyć perukę, ale niczego nie obiecuję. To nasze pierwsze halloween na uczelni.

– Już spędzałam halloween na UW.

Pierwszej jesieni, kiedy Margot dostała prawo jazdy, zabrałyśmy Kitty na „cukierek albo psikus" na trawnikach uczelni. Była tamtego roku przebrana za Batmana. Zastanawiam się, czy chciałaby to powtórzyć.

– Wreszcie będziemy mogli chodzić na imprezy halloweenowe UW. Pełnoprawnie, bez konieczności wkradania się. W drugiej klasie wywalili nas z Gabe'em z imprezy i to była najbardziej upokarzająca chwila w moim życiu.

Patrzę na niego z zaskoczeniem.

– Ty? Ty nigdy nie czujesz się upokorzony.

– Ale tamtego dnia byłem. Usiłowałem pogadać z jedną dziewczyną przebraną za Kleopatrę, a starsze chłopaki zawołały: „Zabieraj stąd swój tyłek, szczeniaku". I wszyscy się roześmiali. Dupki.

Pochylam się i całuję go w oba policzki.

– Ja bym się nigdy nie roześmiała.

– Ty śmiejesz się ze mnie cały czas – mówi.

Unosi głowę, przyciąga moją twarz bliżej i całujemy się do góry nogami, w stylu Spidermana.

– Lubisz, kiedy się z ciebie nabijam – mówię, a on z uśmiechem wzrusza ramionami.

4

Nadszedł tydzień czwartoklasistów, podczas którego każdy dzień ma jakiś motyw przewodni. Dzisiejszy to szkolna atmosfera, mam na sobie bluzę drużyny Petera i warkoczyki ze wstążkami w kolorach szkoły, bladoniebieskim i białym. Peter pomalował pół twarzy na niebiesko, pół na biało. Kiedy przyjechał po mnie dziś rano, aż krzyknęłam na jego widok.

Reszta tygodnia wygląda następująco: wtorek lata siedemdziesiąte, środa piżama, czwartek postaci (dzień, na który z niecierpliwością czekam), w piątek wyjeżdżamy na wycieczkę. Wybieraliśmy między Nowym Jorkiem a Disney Worldem i wygrał Nowy Jork. Jedziemy wynajętym autokarem na trzydniowy weekend. Doskonały moment na tego typu wycieczkę, bo wszyscy dostają świra w oczekiwaniu na odpowiedzi z uczelni i przyda się nam coś, co odwróci naszą uwagę. Oprócz tych, którzy złożyli podania we wcześniejszym terminie i już wiedzą, gdzie idą, jak Peter czy Lucas Krapf, przyjęty na Sarah Lawrence. Większość klasy nie wyjeżdża do innego stanu. Jak powtarza nasza pedagog, pani Duvall: po co mieszkać w Wirginii, jeśli nie korzysta się z tutejszych świetnych szkół? To miłe, że tak wielu z nas tu pozostanie, że nie rozpierzchamy się po całym świecie.

W porze lunchu, kiedy wchodzimy z Peterem do stołówki, grupa *a cappella* wyśpiewuje serenadę do dziewczyny z pierwszej klasy na melodię *Will You Still Love Me Tomorrow?*, ale ze słowami „Chodź na bal ze mną, Gino". Zatrzymujemy się, żeby posłuchać, a potem ustawiamy się w kolejce po jedzenie. Bal odbędzie się dopiero za kilka miesięcy, ale czas zaproszeń rozpoczął się już na dobre. Do tej pory najbardziej efektowne odbyło się w zeszłym tygodniu, kiedy Steve Bledell włamał się do systemu ogłoszeń i zamienił wydarzenia dnia na „Czy pójdziesz ze mną na bal, Liz?". Informatycy dwa dni głowili się, jak to naprawić. Dziś rano Darrell napełnił szafkę Pammy czerwonymi różami, a na drzwiczkach ułożył z płatków napis: „BAL?". Woźny zrobił mu za to awanturę, ale zdjęcia na Instagramie Pammy wyglądały imponująco. Nie wiem, co planuje Peter. Nie jest mistrzem romantycznych gestów.

Kiedy stoimy w kolejce, Peter sięga po brownie, a ja mówię:

– Nie, przyniosłam ciastka.

Cieszy się.

– Mogę dostać jedno od razu? – pyta.

Wyjmuję pojemnik z plecaka i Peter bierze ciastko.

– Nie dzielmy się nimi z nikim – mówi.

– Za późno – mówię, bo właśnie zobaczyli nas znajomi.

Podchodzimy do stolika, a Darrell wyśpiewuje:

– Jej ciastka przyciągają wszystkich chłopaków.

Stawiam pojemnik na stoliku, a chłopcy się o niego biją, podkradając ciastka i pochłaniając je jak jakieś trolle.

Pammy udaje się dorwać jedno i mówi:

– Ale z was zwierzęta.

Darrell odrzuca głowę do tyłu i wydaje zwierzęce odgłosy, a ona chichocze.

– Są przepyszne – jęczy Gabe, zlizując z palców czekoladę.

Skromnie mówię:

– Są w porządku. Dobre, ale nie przepyszne. Nie doskonałe. – Odłamuję kawałek z ciastka Petera. – Lepiej smakują prosto z pieca.

– Przyjdziesz do mnie i upieczesz mi ciasteczka, żebym wiedział, jak smakują prosto

z pieca?

Gabe wgryza się w kolejne i przymyka oczy w ekstazie. Peter podprowadza następne.

– Przestań wyjadać wszystkie ciastka mojej dziewczyny! – woła.

Nawet po roku wciąż przeszywa mnie dreszcz, kiedy słyszę, jak mówi o mnie „moja dziewczyna".

– Jak będziesz je ciągle jadł, to urośnie ci tłusty bandzioch – mówi Darrell.

Peter bierze kęs ciastka, unosi podkoszulek i klepie się po brzuchu.

– Kaloryferek, skarbie.

– Szczęściara z ciebie, Large – kwituje Gabe.

Darrell kręci głową.

– Niee, to Kavinsky jest szczęściarzem.

Peter patrzy mi w oczy i mruga, aż serce mi szybciej bije.

Mam przeczucie, że kiedy będę w wieku Stormy, to właśnie te zwykłe chwile będę wspominać: pochylona głowa Petera wgryzającego się w ciasteczko z kawałkami czekolady, słońce wpadające przez okno stołówki i odbijające się od jego brązowych włosów, spojrzenia Petera.

Po lekcjach Peter ma trening, a ja siedzę na trybunach i odrabiam zadanie. Ze wszystkich zawodników tylko Peter idzie na uczelnię należącą do pierwszej dywizji i trener White już płacze, jak będzie wyglądała drużyna, kiedy go zabraknie. Nie znam się na szczegółach rozgrywek, ale wiem, kiedy wiwatować i kiedy buczeć. Po prostu lubię patrzeć, jak Peter gra. Sądzi, że każdy jego strzał będzie celny, i zwykle tak się dzieje.

Tata i pani Rothschild są oficjalnie parą od sierpnia zeszłego roku. Kitty jest wniebowzięta i na każdym kroku przypisuje sobie zasługi.

– To wszystko jest częścią mojego wielkiego planu – chełpi się.

Trzeba jej to oddać. Dziewczyna ma dar widzenia. W końcu to ona połączyła nas wbrew wszelkim przeciwnościom z powrotem z Peterem, a teraz jesteśmy w sobie zakochani.

Jak na to, że nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego, pani Rothschild i tata są zdumiewająco udaną parą. (Znów podobnie jak ja i Peter). Sąsiedztwo ma kolosalne znaczenie. Dwoje samotnych sąsiadów, Netflix, parę psów, butelka białego wina. Moim zdaniem to urocze. Tata ma znacznie pełniejsze życie, odkąd pojawiła się w nim pani Rothschild. Chodzą w różne miejsca razem, uprawiają najprawdziwszy sport. Na przykład w sobotę rano, zanim któraś z nas się obudziła, poszli na wycieczkę, żeby obejrzeć wschód słońca. Nigdy nie widziałam, żeby tata chodził na wycieczki, ale czuje się w tym jak ryba w wodzie. Wychodzą razem na kolacje, odwiedzają winiarnie, spotykają się z przyjaciółmi pani Rothschild. Tata wciąż lubi zostać w domu i obejrzeć film dokumentalny, wiadomo, ale jego świat znacznie się przy niej poszerzył. Jest znacznie mniej samotny, choć nie zdawałam sobie sprawy, że taki był przez te osiem długich lat od śmierci mamy. Ale musiał być, skoro teraz jest pełen energii i skory do działania. Pani Rothschild jada u nas przynajmniej parę razy w tygodniu, aż dziwnie jest, kiedy nie siedzi przy kuchennym stole z tym swoim chrapliwym śmiechem i kieliszkiem białego wina stojącym obok szklanki piwa taty.

Tego wieczoru po kolacji, kiedy wyjęłam ciastka i lody na deser, tata powiedział:

– Kolejne?

I oboje wymienili znaczące spojrzenia. Rozsmarowując łyżeczką lody waniliowe na ciastku, tata stwierdził:

– Ostatnio bardzo dużo pieczesz. Pewnie denerwujesz się oczekiwaniem na listy z uczelni.

– To nie ma z tym nic wspólnego – mówię. – Usiłuję tylko udoskonalić mój przepis na

ciasteczka z kawałkami czekolady. Bądźcie wdzięczni, ludzie.

Tata zaczyna:

– Wiesz, czytałem o badaniu, które wykazało, że pieczenie może mieć działanie terapeutyczne. Ma to coś wspólnego z powtarzalnym odmierzaniem składników i kreatywnością. Psycholodzy nazywają to aktywacją behawioralną.

– Ważne, żeby działało – mówi pani Rothschild, odłamując kawałek ciastka i wrzucając go sobie do ust. – Ja chodzę do SoulCycle, tam odnajduję wewnętrzną równowagę.

Gdyby była tu Margot, przewróciłaby oczami. Pani Rothschild zmusiła mnie raz, żebym z nią poszła: ciągle traciłam rytm i bezskutecznie usiłowałam go odzyskać.

– Laro Jean, musisz znów się ze mną wybrać. Mamy nowego świetnego instruktora, który puszcza muzykę w stylu Motown. Spodoba ci się.

– Kiedy mogę z wami iść, Tree? – pyta Kitty.

Tak zaczęła nazywać panią Rothschild. Ja wciąż myślę o niej jako o pani Rothschild i czasem mi się to wyrwie, ale próbuję mówić do niej Trina, kiedy tylko sobie przypomnę.

– Możesz pójść, kiedy skończysz dwanaście lat – odpowiada. – Taki jest regulamin SoulCycle.

Trudno uwierzyć, że Kitty ma już jedenaście lat. Kitty ma jedenaście, a ja skończę w maju osiemnaście. Czas tak szybko ucieka. Spoglądam ponad stołem na tatę, który z pełnym smutku uśmiechem patrzy na Kitty, a potem przenosi wzrok na mnie. Wiem, że myśli o tym samym.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Laro Jean, „don't you worry 'bout a thing"* – śpiewa tata swoim najlepszym głosem Steviego Wondera, aż wszystkie jęczymy. Pogryzając swoją prowizoryczną kanapkę lodową, mówi: − Ciężko pracowałaś, wszystko będzie tak, jak ma być.

– Nie ma opcji, żeby UW odrzucił twoje podanie – dodaje pani Rothschild.

– Odpukać w niemalowane – mówi Kitty, stukając knykciami w stół kuchenny, a do mnie: − Ty też odpukaj.

Posłusznie stukam w stół.

– Co to w ogóle ma symbolizować?

Tata się ożywia.

– Uważa się, że zwyczaj ma źródła w greckiej mitologii. Zgodnie z mitami Greków w drzewach mieszkały driady, a ludzie prosili je o ochronę. Stąd pukanie w drewno: dodatkowa ochrona, żeby nie kusić losu.

Teraz to pani Rothschild, Kitty i ja wymieniamy spojrzenia. Stary nudziarz z tego taty, a pani Rothschild zdaje się przy nim taka młoda, choć wcale nie jest od niej wiele starszy. Ale wszystko się układa.

Nie mogę tej nocy zasnąć, więc leżę w łóżku i przebiegam po raz kolejny myślami przez zajęcia dodatkowe. Najmocniejsze to Belleview i staż w bibliotece w zeszłe wakacje. Moje wyniki testów są wyższe niż średnia UW. Margot dostała się, mając zaledwie czterdzieści punktów więcej niż ja. Z egzaminu z rozszerzonej historii otrzymałam pięć. Znam ludzi, którzy dostali się na UW ze słabszym wynikiem.

Miałam nadzieję, że esej trochę mnie wyróżni. Napisałam o mamie i siostrach, i o tym, jak ona na nas wpłynęła – za życia i kiedy jej zabrakło. Pani Duvall powiedziała, że to najlepszy tekst, jaki czytała od lat, ale pani Duvall zawsze miała słabość do dziewczyn Song, więc kto tam wie.

Przewracam się z boku na bok przez kolejne parę minut, aż wreszcie odrzucam kołdrę i podnoszę się z łóżka. Schodzę na dół i zaczynam odmierzać składniki na ciasteczka

z kawałkami czekolady.

* Słowa piosenki Steviego Wondera *Don't You Worry 'Bout a Thing* („O nic się nie martw") [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

5

Jest czwartek, dzień postaci, dzień, na który czekałam cały tydzień. Spędziliśmy z Peterem długie godziny na dyskusjach. Ja miałam mocne argumenty za Alexandrem Hamiltonem i Elizą Schuyler, ale musiałam się wycofać, kiedy zdałam sobie sprawę, ile kosztowałoby wypożyczenie od ręki kostiumów w stylu kolonialnym. Przebrania dla par lubiłam chyba w związku najbardziej. Poza całowaniem się, darmowym transportem i samym Peterem.

Chciał przebrać się za Spidermana, a mnie ubrać w rudą perukę Mary Jane Watson, głównie dlatego, że już miał kostium – i dlatego, że jest bardzo umięśniony dzięki uprawianiu sportu, więc czemu nie dać ludziom tego, co chcą? Jego słowa, nie moje.

Ostatecznie zdecydowaliśmy się na Tylera Durdena i Marlę Singer z *Podziemnego kręgu*. Pomysł był właściwie autorstwa mojej przyjaciółki Chris. Gdy oglądałam ten film z nią i Kitty, Chris powiedziała: „Powinniście z Kavinskym przebrać się za tych psycholi". Stwierdziła, że to miałoby w sobie element zaskoczenia – przynajmniej w moim przypadku. Z początku się opierałam, bo Marla nie jest Azjatką, a ja mam swoją zasadę wyłącznie azjatyckich kostiumów, ale potem mama Petera znalazła dla niego na wyprzedaży kurtkę z czerwonej skóry, więc na tym stanęło. Co do mojego kostiumu to pani Rothschild pożyczyła mi ubrania z własnej garderoby, bo była młoda w latach dziewięćdziesiątych.

Tego ranka pani Rothschild wpada przed pracą, żeby pomóc mi się przygotować. Siedzę przy kuchennym stole w jej czarnej halce, kurtce ze sztucznego moheru i peruce, którą Kitty z przyjemnością czochra dla uzyskania szalonego efektu, jakbym wstała prosto z łóżka. Odganiam jej pełne pianki dłonie, a ona powtarza:

– Ale o to w tym chodzi.

– Masz szczęście, że tak wszystko chomikuję – mówi pani Rothschild, popijając kawę z termosu.

Sięga do torby i rzuca mi parę bardzo wysokich czarnych koturnów.

– Kiedy miałam dwadzieścia parę lat, uwielbiałam Halloween. Byłam królową przebierańców. Twoja kolej na przejęcie korony, Laro Jean.

– Wciąż możesz być królową – mówię jej.

– Nie, przebieranki to zabawa dla młodych. Gdybym włożyła teraz strój seksownego Sherlocka Holmesa, wyglądałabym na desperatkę. – A do Kitty mówi: − Jak myślisz? Trochę więcej grafitowego cienia do powiek, prawda?

– Nie przesadzajmy – mówię. – To mimo wszystko szkoła.

– Przebieranie się polega na przesadzaniu – rzuca pani Rothschild beztrosko. – Zrób mnóstwo zdjęć, kiedy już dotrzesz do szkoły. Prześlij mi je, żebym mogła pokazać koleżankom z pracy. Spodobają im się… Rany, skoro o pracy mowa, która godzina?

Pani Rothschild jest zawsze spóźniona, co doprowadza tatę do szału, bo on jest zawsze dziesięć minut przed czasem. A jednak!

Kiedy Peter po mnie przyjeżdża, wybiegam z domu, otwieram drzwi od strony pasażera i krzyczę na jego widok. Ma blond włosy!

– O matko! – piszczę, dotykając ich. – Utleniłeś je?

Uśmiecha się zadowolony z siebie.

– Farba w sprayu. Mama mi kupiła. Będę mógł użyć jej ponownie, kiedy przebierzemy się za Romea i Julię na halloween. – Lustruje mój kostium. – Podobają mi się te buty. Wyglądasz seksownie.

Czuję, jak zaczynają mi płonąć policzki.

– Siedź cicho.

Ruszając tyłem spod domu, zerka znów na mnie i mówi:

– Ale taka jest prawda.

Szturcham go.

– Mam nadzieję, że ludzie rozpoznają, kim jestem.

– Już ja się o to postaram – zapewnia mnie.

I tak też się dzieje. Kiedy idziemy korytarzem, Peter puszcza głośno *Where Is My Mind* Pixies z telefonu i ludzie nas oklaskują. Nikt nie pyta, czy jestem jakąś postacią z mangi.

Po szkole leżymy z Peterem na kanapie, jego stopy zwisają poza krawędzią. Wciąż ma na sobie kostium, ale ja przebrałam się w zwykłe ubranie.

– Zawsze masz urocze skarpetki – mówi, unosząc moją prawą stopę.

Te są szare w białe groszki i żółte głowy niedźwiedzi.

– Moja cioteczna babka przysyła mi je z Korei. W Korei można dostać najbardziej urocze rzeczy – mówię z dumą.

– Możesz poprosić, żeby mnie też takie przysłała? Nie w misie, ale może na przykład w tygrysy. Tygrysy są fajne.

– Masz za duże stopy na tak urocze skarpetki. Przebiłbyś się przez nie palcami na wylot. Wiesz co, założę się, że udałoby się znaleźć jakieś pasujące na ciebie w… hmm, zoo. – Peter siada i zaczyna mnie łaskotać, a ja wykrztuszam: − Założę się, że… pandy i goryle muszą… ogrzewać jakoś stopy… zimą. Może mają też takie usuwające przykre zapachy. – Wybucham śmiechem. – Przes… tań mnie łaskotać!

– To przestań się wyzłośliwiać na temat moich stóp!

Wcisnęłam rękę pod jego ramię i zaciekle go łaskoczę. Jednak tym sposobem naraziłam się na kolejne ataki.

Krzyczę:

– Dobra, dobra, rozejm!

Przerywa, a ja udaję, że przerywam, ale ukradkiem łaskoczę go pod pachą, a on wydaje z siebie niepodobny do Petera wysoki pisk.

– Powiedziałaś „rozejm”! – rzuca oskarżycielskim tonem.

Oboje kiwamy głowami i kładziemy się bez tchu na wznak.

– Naprawdę uważasz, że śmierdzą mi stopy?

Nie. Uwielbiam jego zapach po meczu lacrosse – pot, trawa i on. Ale lubię się z nim droczyć, żeby zobaczyć ten niepewny wyraz, który na ułamek sekundy pojawia się na jego twarzy.

– No, w dni meczu… − mówię.

A Peter przypuszcza na mnie kolejny atak, siłujemy się i śmiejemy, kiedy wraca Kitty, niosąc tacę z kanapką z serem i szklanką soku pomarańczowego.

– Przenieście się na górę – mówi, siadając na podłodze. – To miejsce publiczne.

Wyplątuję się i rzucam jej gniewne spojrzenie.

– Nie robimy niczego intymnego, Katherine.

– Twoja siostra twierdzi, że śmierdzą mi nogi – mówi Peter, wystawiając stopy w jej kierunku. – Kłamie, prawda?

Odpycha go szturchnięciem łokcia.

– Nie będę wąchać twoich stóp. – Wzdryga się. – Jesteście obleśni.

Wydaję z siebie okrzyk i rzucam w nią poduszką. Wciąga gwałtownie powietrze.

– Masz szczęście, że nie strąciłaś mojego soku! Tata cię zabije, jeśli znów pobrudzisz

dywan. – I dodaje znacząco: − Pamiętasz chyba incydent ze zmywaczem do paznokci?

Peter mierzwi moje włosy.

– Niezdarna Lara Jean.

Odpycham go.

– Nie jestem niezdarna. To ty ostatnio potknąłeś się o własne nogi, próbując dostać się do pizzy u Gabe'a.

Kitty wybucha śmiechem, a Peter rzuca w nią poduszką.

– Przestańcie się przeciwko mnie zmawiać! – krzyczy Peter.

– Zostajesz na kolację? – pyta Kitty, kiedy jej śmiech cichnie.

– Nie mogę. Mama robi kotlety z kurczaka.

Kitty robi wielkie oczy.

– Szczęściarz. Laro Jean, a my co mamy?

– Odmrażam właśnie pierś kurczaka – mówię.

Krzywi się, a ja dodaję:

– Jeśli ci się nie podoba, to może sama nauczysz się gotować. Kiedy zacznę studia, nie będę już wam gotować.

– Ta, jasne. Pewnie będziesz tu co wieczór. – Odwraca się do Petera. – Mogę zjeść kolację u ciebie?

– Pewnie – mówi. – Obie możecie.

Kitty zaczyna wiwatować, a ja ją uciszam.

– Nie możemy, bo tata musiałby jeść sam. Pani Rothschild ma dziś trening w SoulCycle.

Kitty odgryza kęs kanapki z serem.

– W takim razie zrobię sobie kolejną kanapkę. Nie chcę w kółko jeść sflaczałego od mrożenia kurczaka.

Siadam gwałtownie do pionu.

– Kitty, przygotuję coś innego, jeśli jutro rano zapleciesz mi warkocze. Chcę mieć wyjątkową fryzurę do Nowego Jorku.

Nigdy wcześniej nie byłam w Nowym Jorku. W ostatnie wakacje urządziliśmy w domu głosowanie i ja wybrałam Nowy Jork, ale zostałam przegłosowana na rzecz Meksyku.

Kitty chciała jeść rybne taco i pływać w oceanie, a Margot chciała zwiedzić pozostałości cywilizacji Majów i mieć okazję, żeby poćwiczyć hiszpański. Ostatecznie dobrze się stało, że mnie przegłosowali. W życiu nie widziałam tak niebieskiej wody.

– Uczeszę cię, tylko jeśli zostanie mi czas po uczesaniu siebie – mówi Kitty i to chyba najlepsza odpowiedź, na jaką mogłam liczyć.

Jest świetna w robieniu fryzur.

– Kto będzie mi plótł warkocze, kiedy będę na studiach? – zastanawiam się.

– Ja – odpowiada Peter pewnym siebie tonem.

– Nie wiesz jak – rzucam kpiąco.

– Mała mnie nauczy. Prawda, mała?

– Nie za darmo – mówi Kitty.

Prowadzą negocjacje i wreszcie ustalają, że Peter zabierze Kitty z przyjaciółkami do kina w któreś sobotnie popołudnie. I w ten właśnie sposób ląduję po turecku na podłodze, a Kitty siedzi z Peterem na kanapie i demonstruje splatanie francuza, podczas gdy Peter nagrywa to na telefon.

– Teraz twoja kolej – mówi Kitty.

Ciągle wypada mu kosmyk i zaczyna się frustrować.

– Masz mnóstwo włosów, Laro Jean.

– Jeśli nie potrafisz zrobić francuza, to nauczę cię czegoś prostszego – mówi Kitty, a w jej głosie pobrzmiewa wyraźnie słyszalna pogarda.

Peter też ją słyszy.

– Nie, nauczę się. Daj mi chwilkę. Wprawię się tak, jak w innych francuskich aktywnościach. – Puszcza do mnie oczko.

Obie z Kitty krzyczymy na niego.

– Nie mów tak przy mojej siostrze! – Szturcham go w pierś.

– Żartowałem!

– Poza tym wcale nie jesteś aż *taki* dobry we francuskich pocałunkach. – Chociaż tak naprawdę jest.

Peter rzuca mi spojrzenie pod tytułem: „Kogo chcesz nabrać?", a ja wzruszam ramionami, bo kogo ja chcę nabrać?

Później odprowadzam Petera do samochodu. Zatrzymuje się przy drzwiach od strony pasażera i pyta:

– Z iloma chłopakami się całowałaś?

– Z trzema. Z tobą, Johnem Ambrose'em McClarenem… − rzucam pospiesznie jego imię, jakbym zdzierała plaster, ale Peter i tak ma czas, żeby się wykrzywić. – I z kuzynem Allie Feldman.

– Tym, który ma zeza?

– Tak. Ma na imię Ross. Wydawał mi się słodki. Zrobiliśmy to, kiedy nocowałam u Allie. Pocałowałam go z powodu rzuconego wyzwania. Ale chciałam tego.

Posyła mi pytające spojrzenie.

– A więc ja, John i kuzyn Allie.

– Mhm.

– Zapominasz o kimś, Covey.

– O kim?

– Sandersonie!

Macham ręką.

– Oj, to się nie liczy.

– Ross, kuzyn Allie Feldman, którego pocałowałaś z powodu wyzwania, się liczy, ale *Josh*, z którym w zasadzie mnie zdradziłaś, już nie? – Peter kiwa na mnie palcem. – Nie-e. Nie idę na to.

Szturcham go.

– Nie byliśmy wtedy razem i dobrze o tym wiesz!

– Detal, ale niech ci będzie. – Patrzy na mnie z ukosa. – Twoja liczba jest wyższa od mojej, wiesz? Ja całowałem się tylko z Gen, Jamilą i z tobą.

– A co z dziewczyną, którą poznałeś z kuzynami w Myrtle Beach? Angeliną?

Na jego twarzy pojawia się dziwny wyraz.

– A tak. Skąd o niej wiesz?

– Wszystkim się tym chwaliłeś!

To było lato przed siódmą klasą. Pamiętam, jak Genevieve wściekała się, że jakaś inna dziewczyna pocałowała Petera przed nią. Usiłowałyśmy odszukać Angelinę w internecie, ale nie miałyśmy zbyt wielu informacji na jej temat. Tylko imię.

– Czyli całowałeś się z czterema dziewczynami i robiłeś z nimi znacznie więcej, Peterze.

– Dobra!

Ciągnę dalej:

– Jesteś jedynym chłopakiem, z którym się *tak naprawdę* całowałam. I byłeś pierwszy.

Pierwszy pocałunek, pierwszy chłopak, pierwsze wszystko! Dostałeś ode mnie tyle pierwszych razów, a ja nie dostałam od ciebie żadnego.

– W zasadzie to niezupełnie prawda – mówi z zażenowaniem.

Mrużę oczy.

– Co masz na myśli?

– Nie było żadnej dziewczyny na plaży. Całą historyjkę zmyśliłem.

– Nie było Angeliny z dużym biustem?

– Nie twierdziłem, że miała duży biust!

– Owszem. Powiedziałeś tak Trevorowi.

– No dobra! Bosz. W ogóle to do ciebie nie dociera.

– Co do mnie nie dociera, Peterze?

Odchrząkuje.

– Tamtego dnia w piwnicy u McClarena. Ty też byłaś moim pierwszym pocałunkiem.

Natychmiast poważnieję.

– Tak?

– No.

Wpatruję się w niego.

– Czemu nigdy mi o tym nie powiedziałeś?

– Nie wiem. Chyba zapomniałem. Poza tym to żenada, że wymyśliłem sobie dziewczynę. Nie mów o tym nikomu!

Przepełnia mnie radosne zdumienie. Więc byłam pierwszym pocałunkiem Petera Kavinsky'ego. Ależ to cudowne!

Zarzucam mu ramiona na szyję i unoszę głowę w oczekiwaniu na mój pocałunek na dobranoc. Tuli swoją twarz do mojej i cieszę się, że ma gładkie policzki i prawie nie musi się golić. Przymykam oczy, wdycham jego zapach, czekam na pocałunek. A on cmoka mnie tylko w czoło.

– Dobranoc, Covey.

Otwieram gwałtownie oczy.

– Tylko tyle?

Rzuca bezczelnie:

– Powiedziałaś, że nie jestem taki dobry w całowaniu, pamiętasz?

– Żartowałam!

Mruga do mnie i wskakuje do samochodu. Patrzę, jak odjeżdża. Mimo całego roku razem to wszystko zdaje się takie nowe. Że kocham chłopaka, że on też mnie kocha. Mam wrażenie, że to niewiarygodne.

Nie wchodzę od razu do środka. Na wypadek gdyby wrócił. Z rękami na biodrach odczekuję całe dwadzieścia sekund, po czym odwracam się w kierunku schodków, a wtedy ulicą nadjeżdża na pełnym gazie z powrotem samochód i zatrzymuje się dokładnie przed naszym domem. Peter wystawia głowę przez okno:

– No dobra! – woła. – Potrenujmy.

Podbiegam do samochodu i przyciągam Petera za koszulkę, po czym przechylam głowę, a następnie odpycham go i biegnę roześmiana tyłem z włosami opadającymi mi na twarz.

– Covey! – woła.

– Na więcej nie zasłużyłeś! – odpowiadam rozbawiona. – Do zobaczenia jutro w autobusie!

Tego wieczoru, kiedy myjemy w łazience zęby, pytam Kitty:

– Jak bardzo będziesz za mną tęskniła, kiedy pójdę na studia, w skali od jednego do

dziesięciu? Ale szczerze.

– Za wcześnie na takie rozmowy – mówi, opłukując szczoteczkę.

– Odpowiedz.

– Cztery.

– Cztery! Powiedziałaś, że za Margot tęsknisz sześć i pół!

Kitty kręci głową.

– Laro Jean, czemu musisz zapamiętywać każdy szczegół? To niezdrowe.

– Mogłabyś przynajmniej udawać, że będziesz za mną tęsknić! – Wybucham. – Miałabyś tyle przyzwoitości.

– Margot wyjeżdżała na drugi koniec świata. Ty będziesz kwadrans od domu, więc nawet nie będę miała okazji za tobą zatęsknić.

– Ale jednak.

Przyciska dłonie do serca.

– Dobra. Co powiesz na to? Będzie mi ciebie tak brakowało, że co wieczór będę płakać!

Uśmiecham się.

– Teraz lepiej.

– Będę tak bardzo tęskniła, że zapragnę podciąć sobie żyły! – wykrzykuje jak wariatka.

– Katherine. Nie mów takich rzeczy!

– To przestań domagać się komplementów – mówi i idzie do łóżka, a ja zostaję i pakuję kosmetyczkę na wyjazd do Nowego Jorku.

Jeśli dostanę się na UW, chyba zostawię zestaw do makijażu, kremy i grzebienie w domu, żebym nie musiała ich za każdym razem pakować. Margot musiała dobrze się zastanowić, co bierze do Saint Andrews, bo Szkocja jest tak daleko, że nie może sobie pozwolić na zbyt częste odwiedziny. Ja pewnie spakuję tylko rzeczy na jesień i zimę, te na lato zostawię w domu, a potem je wymienię, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

6

Rano tata odwozi mnie do szkoły, gdzie czeka autokar.

– Zadzwoń, jak tylko zameldujesz się w pokoju – mówi, kiedy czekamy na światłach pod szkołą.

– Dobrze.

– Spakowałaś awaryjną dwudziestkę?

– Tak.

Wczoraj wieczorem tata dał mi banknot dwudziestodolarowy, żebym schowała go w sekretnej kieszonce kurtki, na wszelki wypadek. Mam też na zakupy jego kartę kredytową. Pani Rothschild pożyczyła mi maleńką parasolkę i power bank do telefonu.

Tata rzuca mi z ukosa spojrzenie i wzdycha.

– Wszystko będzie się teraz działo w takim tempie. Najpierw wycieczka ostatniej klasy, potem bal i koniec szkoły. Kwestia czasu, kiedy ty też znikniesz z domu.

– Wciąż masz Kitty – mówię. – Choć to prawda, że nie jest takim promykiem słońca jak ja. – Tata się śmieje. – Jeśli dostanę się na UW, będę często wpadać, więc o nic nie musisz się martwić.

Kończę śpiewnie jak Stevie Wonder.

W autokarze siedzę koło Petera. Chris siedzi z Lucasem. Myślałam, że ciężko będzie przekonać Chris, żeby pojechała na tę wycieczkę, i pewnie tak by było, gdyby wygrał Disney World. Ale ona też nigdy dotąd nie była w Nowym Jorku, więc ostatecznie zgodziła się bez większych oporów.

Jesteśmy w drodze od godziny, kiedy Peter wciąga wszystkich w grę „Nigdy przenigdy", w trakcie której ja udaję, że śpię, bo nigdy przenigdy nie robiłam prawie niczego w kwestii narkotyków ani seksu, a tylko to wszystkich interesuje. Na szczęście gra zamiera dość szybko, bo chyba jest znacznie mniej ekscytująca, kiedy nie uczestniczą w niej promile. Właśnie otwieram oczy, przeciągam się i „budzę", gdy Gabe proponuje „Prawdę czy wyzwanie" i żołądek ściska mi się w supełek.

Od czasu zeszłorocznego skandalu z nagraniem w jacuzzi czułam się skrępowana na myśl, co ludzie mogą sobie wyobrażać na temat tego, co robimy, a czego nie. W sprawach seksu. A „Prawda czy wyzwanie" jest znacznie gorsza niż „Nigdy przenigdy"! Z iloma osobami uprawiałaś seks? Czy byłaś kiedyś w trójkącie? Ile razy dziennie się masturbujesz? – ludzie zadają sobie tego typu pytania, a gdyby ktoś zadał je mnie, musiałabym powiedzieć, że jestem dziewicą, a w jakimś sensie to dużo bardziej ekstremalne niż jakakolwiek inna odpowiedź. Zwykle wymykam się do kuchni albo innego pomieszczenia, kiedy na imprezach zaczynają w to grać. Ale dziś nie mam gdzie się ukryć, bo jesteśmy w autokarze, i czuję się jak w pułapce.

Peter rzuca mi rozbawione spojrzenie. Wie, o czym myślę. Twierdzi, że nie obchodzi go, co myślą inni, ale wiem, że to nieprawda. Przeszłość potwierdza, że Petera istotnie obchodzi, co inni o nim myślą.

– Prawda albo wyzwanie – mówi Gabe do Lucasa.

Lucas bierze łyk napoju izotonicznego.

– Prawda.

– Czy kiedykolwiek uprawiałeś seks z kolesiem?

Całe moje ciało tężeje. Lucas jest gejem i to otwarcie, ale nie aż tak. Nie chce ciągle się przed wszystkimi tłumaczyć i właściwie czemu miałby to robić? Przecież to jego prywatna

sprawa.

Po krótkiej ciszy Lucas odpowiada:

– Nie. Czy to propozycja?

Wszyscy wybuchają śmiechem, a Lucas z lekkim uśmieszkiem na twarzy pociąga kolejny łyk napoju, ale widzę napięcie w jego karku i ramionach. Efekt uzbrojenia się na tego rodzaju pytania, gotowości do odbicia piłeczki, do uśmiechu, do zbycia żartem. Moje pytanie o dziewictwo to w porównaniu z tym pestka. Ale i tak nie mam ochoty na nie odpowiadać.

Modlę się, żeby Lucas wybrał mnie jako następną, bo wiem, że mnie oszczędzi. Ale Lucas musi nie dostrzegać błagalnych spojrzeń, które rzucam w jego kierunku, bo zamiast mnie wybiera Genevieve, która siedzi kilka rzędów dalej, wpatrzona w swój telefon. Spotyka się z chłopakiem ze swojego Kościoła, a on chodzi do innej szkoły, więc mało się ją widuje. Słyszałam od Chris, że jej rodzice się rozwiedli, a tata przeprowadził się do nowego mieszkania ze swoją dziewczyną. Że mama Genevieve przeszła załamanie i wymagała kilkudniowej hospitalizacji, ale teraz już jest lepiej, z czego się cieszę. Kiedy jej mama wróciła do domu, Peter wysłał żonkile. Głowiliśmy się, co napisać na karneciku – a wreszcie postawiliśmy na proste: „Zdrowia, Wendy. Uściski, Peter". Kwiaty były moim pomysłem i zrzuciłam się na nie, ale oczywiście nie podpisałam się pod życzeniami. Po prostu zawsze lubiłam Wendy. Zawsze była dla mnie miła. Wciąż na widok Genevieve czuję nerwowy ucisk w żołądku, ale nie tak mocny jak dawniej. Wiem, że już nigdy nie będziemy się przyjaźniły, i się z tym pogodziłam.

– Prawda albo wyzwanie, Gen – woła Lucas.

Genevieve podnosi wzrok. Odpowiada automatycznie:

– Wyzwanie.

Jasne, że wybiera wyzwanie. Można o niej powiedzieć wiele rzeczy, ale nie że jest tchórzliwa. Sama zrobiłabym wszystko, żeby nie odpowiadać na pytania o seks, więc pewnie też wybiorę wyzwanie.

Lucas rzuca Gen wyzwanie, żeby usiadła koło pana Jaina i położyła mu głowę na ramieniu.

– Tylko ma być wiarygodnie – mówi Lucas.

Wszyscy ryczą ze śmiechu. Widzę, że naprawdę nie ma na to ochoty, ale jak mówiłam, nie jest tchórzem.

Patrzymy, jak idzie między fotelami i zatrzymuje się przy rzędzie pana Jaina. Pan Jain jest nowy, uczy biologii. Jest raczej młody i przystojny. Nosi do szkoły wąskie dżinsy i koszule. Genevieve opada na siedzenie obok niego i widzę tylko tył jej głowy, kiedy z nim rozmawia. On się uśmiecha. Potem Gen przytula się do niego i kładzie głowę na jego ramieniu, a on podskakuje jak przerażony kot. Wszyscy się śmieją, a pan Jain odwraca się i kręci głową, czując ulgę, że to żart.

Genevieve wraca do nas tryumfalnie. Siada na swoim miejscu i rozgląda się po grupie. Nasze spojrzenia na moment się krzyżują i czuję ucisk w żołądku. Potem Gen odwraca wzrok.

– Prawda czy wyzwanie, Chrissy.

– Ta gra jest do bani – mówi Chris.

Gen wpatruje się w nią z wyzywająco uniesionymi brwiami, aż wreszcie Chris przewraca oczami i mówi:

– Obojętnie. Prawda.

Przy takiej konfrontacji trudno nie zauważyć, że są spokrewnione – kuzynki pierwszego stopnia od strony mamy.

Genevieve nie spieszy się z wymyśleniem pytania. A potem trafia szóstkę w totka.

– Czy w trzeciej klasie bawiłaś się w lekarza z naszym kuzynem Alexem? Nie kłam.

Wszyscy wykrzykują i gwiżdżą, a twarz Chris nabiera koloru jaskrawej czerwieni. Posyłam jej współczujące spojrzenie. Znam odpowiedź na to pytanie.

– Tak – mamrocze Chris, a wszyscy głośno się śmieją.

Na szczęście dla mnie mniej więcej w tej chwili pan Jain podnosi się i włącza DVD, więc gra umiera śmiercią naturalną i moja kolej wcale nie następuje. Chris się odwraca i mówi do mnie cicho:

– Wywinęłaś się.

– Jakbym nie wiedziała – szepczę, a Peter chichocze.

Niech sobie chichocze, ile chce, ale jestem pewna, że też czuje pewną ulgę. Nigdy nie powiedział tego głośno, ale przecież nie chce, żeby cała klasa maturalna wiedziała, że on i jego dziewczyna, z którą chodzi od roku – dłużej, jeśli wliczyć relację na niby – nigdy nie uprawiali seksu.

Prawie nikt z naszej klasy nie był w Nowym Jorku, więc wszystkim nam oczy trochę wychodzą z orbit. Chyba nigdy nie byłam w miejscu tak pełnym życia. To miasto ma własny puls. Nie mogę uwierzyć, ilu tu ludzi, jak tłoczno, jak wszyscy elegancko wyglądają. Jak… jak z miasta. Oprócz turystów takich jak my, rzecz jasna. Chris usiłuje udawać znudzoną i niewzruszoną, ale kiedy wsiadamy do metra, żeby dostać się do Empire State Building, nie chwyta poręczy i o mało się nie przewraca, kiedy gwałtownie się zatrzymujemy.

– Inaczej niż w DC – mruczy.

Z pewnością. Waszyngton to najbliższe Charlottesville duże miasto, ale i tak w porównaniu z Nowym Jorkiem jest tylko małą senną mieściną. Tak wiele można tu zobaczyć, tyle sklepów, w których chciałabym się zatrzymać. Wszyscy się dokądś spieszą. Wszyscy mają plany i umówione spotkania. Jakaś starsza pani krzyczy na Petera, że idzie wpatrzony w swój telefon, na co wszyscy wybuchają śmiechem i raz w życiu to Peter czuje się zawstydzony. To wszystko jest takie onieśmielające.

Kiedy docieramy do Empire State Building, zmuszam Petera, żeby zrobił sobie ze mną selfie przy windach. Na szczycie aż kręci mi się w głowie, tak wysoko jesteśmy. Pani Davenport mówi, żebym usiadła na chwilę z głową między nogami, co pomaga. Kiedy mdłości mijają, podnoszę się i szukam Petera, który zniknął gdzieś, choć go potrzebowałam.

Skręcam za róg i słyszę okrzyki Petera:

– Moment! Moment! Proszę pana!

Idzie za strażnikiem, który zbliża się do leżącego na ziemi czerwonego plecaka.

Strażnik pochyla się i go podnosi.

– Twój? – pyta.

– No, tak…

– Czemu zostawiłeś go na ziemi? – Otwiera plecak i wyciąga pluszowego misia.

Peter rozgląda się w panice dokoła.

– Mógłby go pan włożyć z powrotem do środka? Potrzebny mi jest do zaproszenia mojej dziewczyny na bal. To ma być niespodzianka.

Ochroniarz kręci głową. Mruczy coś pod nosem i znów zagląda do środka.

– Może pan ścisnąć misia.

– Nie będę ściskał żadnego misia – odpowiada strażnik.

Peter wyciąga rękę i ściska misia, a miś piszczy: „Pójdziesz ze mną na bal, Laro Jean?”. Zakrywam dłońmi usta z zachwytu.

Ochroniarz mówi surowo:

– Jesteś w Nowym Jorku, mały. Nie możesz tak po prostu zostawiać na ziemi plecaka, aż kogoś gdzieś zaprosisz.

– Nie gdzieś, tylko na bal – poprawia Peter, a strażnik rzuca mu gniewne spojrzenie. – Przepraszam. Mogę odzyskać misia? – Wtedy mnie zauważa. – Powiedz mu, że *Bezsenność w Seattle* to twój ulubiony film, Laro Jean!

Podbiegam.

– Proszę pana, to mój ulubiony film. Proszę go stąd nie wyrzucać.

Ochroniarz próbuje powstrzymać uśmiech.

– Nie zamierzałem go wyrzucać – mówi, a do Petera: − Następnym razem bardziej uważaj. W Nowym Jorku jesteśmy czujni. Jeśli coś widzimy, to reagujemy, łapiesz? To nie jakaś mała mieścina, z której przyjechaliście. To *Nowy Jork*. My się tu nie pieścimy.

Oboje z Peterem kiwamy głowami, a ochroniarz odchodzi. Kiedy tylko znika, patrzymy na siebie z Peterem i wybuchamy wariackim śmiechem.

– Ktoś doniósł na mój plecak! – mówi. – Zaproszenie na bal poszło się pieprzyć.

Wyjmuję z jego plecaka misia i przytulam do piersi. Jestem tak szczęśliwa, że nawet nie komentuję jego przekleństwa.

– Jest cudny.

– Miałaś wyjść zza rogu i zobaczyć pod teleskopem plecak. Potem miałaś wyjąć misia i go ścisnąć, i…

– Skąd miałabym wiedzieć, że trzeba go ścisnąć? – pytam.

Peter wyciąga z plecaka zmiętą kartkę. Jest na niej napisane: „Ściśnij mnie”.

– Odpadła, kiedy ochroniarz nim szarpnął. Widzisz? Wszystko przemyślałem.

Wszystko oprócz konsekwencji pozostawienia plecaka w miejscu publicznym w Nowym Jorku, ale co tam! Liczą się intencje, a intencje były supersłodkie. Ściskam misia, a on powtarza: „Pójdziesz ze mną na bal, Laro Jean?”.

– Tak, pójdę, Howardzie.

Howard to imię misia z *Bezsenności w Seattle*.

– Czemu odpowiadasz „tak” jemu, a nie mnie? – pyta Peter.

– Bo to on zapytał. – Unoszę brwi i czekam.

Przewróciwszy oczami, Peter mamrocze:

– Laro Jean, czy pójdziesz ze mną na bal? Rany, naprawdę wiele oczekujesz.

Wyciągam misia w jego stronę.

– Owszem, ale najpierw pocałuj Howarda.

– Covey. Nie. Za żadne skarby.

– Proszę! – Posyłam mu błagalne spojrzenie. – Tak jest w filmie.

Gdera, ale robi to na oczach wszystkich tam obecnych, dzięki czemu wiem, że jest mi całkowicie oddany.

W drodze powrotnej do hotelu w New Jersey Peter szepcze do mnie:

– Jak myślisz, wymkniemy się, jak już sprawdzą pokoje, i wrócimy do miasta?

To w znacznej mierze żart. Wie, że nie należę do osób wymykających się na wycieczkach szkolnych.

Robi wielkie oczy, kiedy odpowiadam:

– A jak się dostaniemy do miasta? Czy z New Jersey można zamówić taksówkę do Nowego Jorku?

Nie wierzę, że w ogóle to rozważam. To takie do mnie niepodobne. Pospiesznie dodaję:

– Nie, nie, nieważne. Nie możemy. Zgubilibyśmy się albo by nas napadli, odesłano by nas do domu, a potem byłabym wściekła, że nie zobaczyłam Central Parku i reszty.

Peter rzuca mi sceptyczne spojrzenie.

– Naprawdę myślisz, że Jain i Davenport odesłaliby nas do domu?

– Może nie, ale mogą kazać nam w ramach kary zostać cały dzień w hotelu, co byłoby jeszcze gorsze. Nie ryzykujmy. – A potem pytam: − A co byśmy robili?

Teraz już udaję, nie planuję tak naprawdę, ale Peter podejmuje zabawę.

– Moglibyśmy posłuchać muzyki na żywo albo obejrzeć jakiś komediowy show. Czasem słynni komicy mają występy niespodzianki.

– Chciałabym zobaczyć *Hamiltona*.

Kiedy jechaliśmy przez Times Square, oboje z Lucasem wyciągaliśmy szyje, żeby choć w przelocie zobaczyć afisz, ale nic z tego.

– Jutro chcę zjeść nowojorskiego bajgla i sprawdzić, jak się ma do bajgli Bodo.

Bajgle Bodo to legenda Charlottesville. Jesteśmy z nich strasznie dumni. Kładę głowę na jego ramieniu, ziewam i mówię:

– Chciałabym pójść do piekarni Levain, spróbować ich ciastek. Ponoć ich ciasteczka z czekoladą są niepowtarzalne. Chcę też zajrzeć do sklepu z czekoladą Jacques'a Torresa. Jego ciasteczka są niezrównane. Jest legendą…

Powieki mi opadają, a Peter głaszcze mnie po włosach. Zaczynam zasypiać, kiedy zdaję sobie sprawę, że rozplata moją koronę z warkoczy, które Kitty przypięła mi wsuwkami na czubku głowy. Otwieram gwałtownie oczy.

– Peter!

– Cii, śpij. Chcę coś poćwiczyć.

– Nigdy nie powtórzysz tego, co ona zrobiła.

– Pozwól, że spróbuję – mówi, zbierając wsuwki na jednej dłoni.

Kiedy dojeżdżamy do hotelu w New Jersey, mimo wysiłków moje warkocze są nierówne i luźne i nie chcą się trzymać upięte.

– Wyślę Kitty zdjęcie, żeby wiedziała, jakim kiepskim uczniem jesteś – mówię, zabierając rzeczy.

– Nie, nie rób tego – rzuca Peter szybko, co wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

Następny dzień jest zaskakująco wiosenny jak na marzec. Słońce świeci, a kwiaty właśnie zaczynają wypuszczać pączki. Czuję się, jakbym grała w *Masz wiadomość*, w scenie kiedy Kathleen Kelly idzie spotkać się z Joe Foxem w Riverside Parku. Bardzo chciałabym zobaczyć ogród, w którym się całowali w końcówce filmu, ale nasz przewodnik zabiera nas do Central Parku. Robimy z Chris zdjęcia mozaiki *Imagine* na Strawberry Fields, kiedy zdaję sobie sprawę, że Peter zniknął mi z pola widzenia. Pytam Gabe'a i Darrella, ale go nie widzieli. Piszę do niego, ale nie odpowiada. Mamy właśnie przemieścić się na Sheep Meadow na piknik i zaczynam wpadać w panikę, bo co będzie, jeśli pan Jain albo pani Davenport zauważą, że go nie ma? Podbiega do nas w chwili, gdy wyruszamy. Nie brakuje mu tchu, nie jest też ani trochę zaniepokojony, że omal nie został w tyle.

– Gdzie się podziewałeś? – pytam. – Prawie cię zostawiliśmy!

Tryumfalnie podnosi brązową torbę.

– Otwórz i zobacz!

Biorę od niego torebkę i zaglądam do środka. To ciasteczko z czekoladą z piekarni Levain, jeszcze ciepłe.

– O rany, Peterze! Jakie to miłe, że o mnie pomyślałeś. – Wspinam się na czubki palców i go ściskam, a potem odwracam się do Chris. – Prawda, że to miłe, Chris?

Peter jest kochany, ale nigdy aż tak. To już drugi romantyczny gest, więc dochodzę do wniosku, że powinnam go za to odpowiednio pochwalić, bo chłopak dobrze reaguje na wzmocnienie pozytywne.

Chris już zdążyła włożyć rękę do torby i wpycha sobie do ust kawałek ciastka.

– Bardzo miłe.

Sięga po kolejny kawałek, ale Peter wyrywa jej torebkę.

– Cholera, Chris! Niech Covey spróbuje choć kęs, zanim wszystko pożresz.

– To czemu kupiłeś tylko jedno?

– Bo jest ogromne! I kosztuje jakieś pięć dolców.

– Nie wierzę, że po nie dla mnie pobiegłeś – mówię. – Nie obawiałeś się, że się zgubisz?

– Nie – mówi z dumą. – Spojrzałem na mapę Google'a i poleciałem. Trochę się zgubiłem po powrocie do parku, ale ktoś mnie pokierował. Nowojorczycy są naprawdę życzliwi. Wszystkie te historie, że są niesympatyczni, to bujdy.

– To prawda. Wszystkie osoby, które spotkaliśmy, były naprawdę miłe. Poza tą starszą panią, która nakrzyczała na ciebie, że chodzisz wpatrzony w telefon – mówi Chris, żartując z Petera, który rzuca jej gniewne spojrzenie.

Biorę kęs ciastka. Ich wersja przypomina raczej babeczkę, jest bardziej zwarta i masywna. Cięższa. Nie smakuje jak ciastka z czekoladą, których do tej pory próbowałam.

– I? – pyta Peter. – Jaki werdykt?

– Wyjątkowe. Jedyne w swoim rodzaju.

Biorę kolejny kęs, kiedy podchodzi do nas pani Davenport i nas pospiesza, przyglądając się badawczo ciastku w mojej dłoni.

Nasz przewodnik nosi znak rozpoznawczy, który wygląda jak pochodnia Statuy Wolności, i podnosi go w górę, żeby przeprowadzić nas przez park. To dość żenujące, żałuję, że nie możemy po prostu sami zwiedzać miasta. Przewodnik ma kucyk i kamizelkę w kolorze khaki i uważam, że wygląda w tym tandetnie, ale pani Davenport chyba się podoba. Po Central Parku wsiadamy do metra jadącego do centrum i wysiadamy, żeby przespacerować się po moście Brooklińskim. Kiedy wszyscy ustawiają się w kolejce po lody z brooklińskiej fabryki, Peter i ja biegniemy do sklepu z czekoladą Jacques'a Torresa. Pomysł Petera. Oczywiście najpierw proszę panią Davenport o pozwolenie. Jest zajęta rozmową z przewodnikiem, więc odprawia nas machnięciem ręki. Czuję się taka dorosła, spacerując bez opieki ulicami Nowego Jorku. Kiedy docieramy do sklepu, jestem tak podekscytowana, że aż się cała trzęsę. Wreszcie spróbuję słynnych ciasteczek Jacques'a. Nadgryzam jedno. Jest płaskie, mięsiste, ciągnie się. Czekolada rozlała się na wierzchu i stężała! Masło i cukier smakują niemal jak karmelizowane. Boskie.

– Twoje są lepsze – mówi Peter z nieeleganckо pełnymi ustami, a ja go uciszam, rozglądając się dokoła, żeby sprawdzić, czy dziewczyna przy kasie przypadkiem tego nie usłyszała.

– Nie kłam – mówię.

– Nie kłamię!

Kłamie.

– Naprawdę nie wiem, czemu moje nie są takie jak jego – dodaję.

– To pewnie dzięki piecom przemysłowym.

Chyba będę musiała zaakceptować swoje niezupełnie idealne ciasteczka z kawałkami czekolady i zadowolić się tym, że są całkiem niezłe.

Wychodząc na zewnątrz, zauważam po przeciwnej stronie ulicy piekarnię o nazwie Almondine i kolejną na przeciwległym rogu o nazwie Ciasteczka dziewczyny. Nowy Jork rzeczywiście jest miastem wypieków.

Wracamy z Peterem do lodziarni, trzymając się za ręce. Wszyscy są na molo, siedzą na ławkach, jedzą lody i robią sobie selfie z panoramą Manhattanu w tle. Nowy Jork zaskakuje mnie swoją urodą.

Peter musi myśleć o tym samym, bo ściska moją dłoń i mówi:

– To miasto jest niesamowite.

– To prawda.

Śpię głęboko, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Budzę się gwałtownie. Na zewnątrz wciąż panuje mrok. Po drugiej stronie pokoju Chris nawet się nie porusza.

Potem słyszę zza drzwi głos Petera.

– Covey, to ja. Czy chcesz obejrzeć z dachu wschód słońca?

Wstaję z łóżka i otwieram drzwi, a za nimi stoi Peter w bluzie UW, trzymając styropianowy kubek kawy i drugi kubek ze zwisającym z niego sznureczkiem od herbaty.

– Która godzina?

– Piąta trzydzieści. Pospiesz się, idź po kurtkę.

– Dobra, daj mi dwie minuty – szepczę.

Biegnę do łazienki, myję zęby, a potem próbuję namacać w ciemnościach kurtkę.

– Nie mogę jej znaleźć!

– Możesz włożyć moją bluzę – proponuje od progu Peter.

Spod kołdry Chris warczy:

– Jeśli się nie zamkniecie, to słowo daję…

– Przepraszam – szepczę. – Chcesz z nami obejrzeć wschód słońca?

Peter rzuca mi niezadowolone spojrzenie, ale Chris nie wychyla nawet głowy spod kołdry, więc tego nie widzi.

– Nie. Wynoście się!

– Przepraszam, przepraszam – mówię i idę pospiesznie do wyjścia.

Jedziemy windą na górę, na dworze wciąż jest ciemno, ale zaczyna świtać. Miasto właśnie się budzi. Peter zrzuca z siebie bluzę, a ja podnoszę ręce do góry, żeby mógł mi ją wciągnąć przez głowę. Jest ciepła i pachnie płynem, którego używa jego mama.

Peter opiera się o murek, a potem patrzy ponad wodą na miasto.

– Wyobrażasz sobie nas mieszkających tu po studiach? Moglibyśmy zamieszkać w drapaczu chmur. Z portierem. I siłownią.

– Nie chcę mieszkać w wieżowcu. Chcę mieszkać w kamieniczce w West Village. Obok księgarni.

– Coś wymyślimy – mówi.

Też opieram się o murek. Nigdy nie wyobrażałam sobie życia w Nowym Jorku. Zanim tu przyjechałam, to miejsce wydawało mi się bardzo onieśmielające, dla twardzieli, którzy nie boją się wdać z kimś w bójkę w metrze albo dla facetów w garniakach, którzy pracują na Wall Street, albo artystów, którzy mieszkają w studiach na Soho. Ale teraz, kiedy tu już jestem, wcale nie jest strasznie, nie z Peterem u mojego boku. Zerkam na niego. Czy tak to wygląda? Zakochujesz się i już nic nie jest przerażające, a życie wydaje się pełne możliwości?

7

Podróż powrotna do Wirginii zajmuje sześć godzin, z których większość przesypiam. Kiedy zajeżdżamy na parking przed szkołą, jest już ciemno. Widzę zaparkowany samochód taty. Wszyscy mamy własne samochody i sami od dawna jeździmy, ale gdy wjeżdżamy na szkolny parking i widzimy czekających na nas rodziców, czujemy się, jakbyśmy znów byli w podstawówce i wracali z zielonej szkoły. To miłe uczucie. W drodze do domu kupujemy pizzę, wpada do nas pani Rothschild i wszyscy z tatą i Kitty jemy przed telewizorem.

Później się rozpakowuję, odrabiam resztę zadania, która mi została, rozmawiam z Peterem przez telefon, a potem szykuję się do spania. Ale całe wieki przewracam się z boku na bok. Może to przez to spanie w autobusie, a może dlatego, że w każdej chwili mogę dostać zawiadomienie z UW. Tak czy inaczej nie mogę spać, więc zakradam się na dół i zaczynam otwierać szuflady.

Co mogłabym upiec o tej porze, żeby nie wymagało czekania, aż masło zmięknie? To pytanie, które stale sobie zadaję. Pani Rothschild twierdzi, że powinniśmy po prostu zostawiać masło w maselniczce na zewnątrz tak jak ona, ale nie należymy do rodzin z gatunku masło-na-zewnątrz, a raczej masło-w-lodówce. Poza tym zbyt miękkie masło też nie jest dobre, a w Wirginii wiosną i latem szybko się topi.

Chyba mogłabym wreszcie spróbować upiec cynamonowe brownie, które sobie wymyśliłam. Przepis na brownie Katharine Hepburn plus szczypta cynamonu plus zawijas z cynamonowego serka na wierzchu.

Rozpuszczam czekoladę w kąpieli wodnej i już żałuję, że zaczęłam tak późno, kiedy do kuchni wchodzi cicho tata w szlafroku w kratę, który Margot dała mu w zeszłym roku na gwiazdkę.

– Też nie możesz spać? – pyta.

– Wypróbowuję nowy przepis. Chyba nazwę je brownemonki. Albo brown-demonki.

– Już widzę, jak jutro wstaniesz – mówi tata, masując sobie kark.

Ziewam.

– Wiesz, tak myślałam, że może zwolniłbyś mnie jutro z zajęć, trochę bym odespała, a potem zjedlibyśmy przyjemne, relaksujące śniadanie jak córka z ojcem. Mogę zrobić omlet z grzybami.

Śmieje się.

– Dobra, dobra. – Popycha mnie w stronę schodów. – Ja dokończę brown-demonki czy jak tam się zwą. A ty maszeruj do łóżka.

Znów ziewam.

– A zrobisz na wierzchu zawijaski z serka? – Tata wygląda na zaniepokojonego, więc mówię: − Nieważne. Dokończę ciasto i upiekę je jutro.

– Pomogę ci – mówi.

– Prawie skończyłam.

– To nic.

– Dobrze. Możesz odmierzyć ćwierć kubka mąki?

Tata kiwa głową i wyjmuje miarkę.

– To miarka na płyny. Potrzebujemy miarki do produktów suchych, żebyś mógł odmierzyć mąkę. – Wraca do szafki i wymienia kubek. Patrzę, jak nabiera mąkę, a potem ostrożnie wyrównuje ją nożem. – Bardzo dobrze.

– Uczę się od najlepszych – mówi.

Kiwam w jego stronę głową.

– Czemu jeszcze nie śpisz, tato?

– A. Chyba mam dużo spraw na głowie. – Odsypuje porcję do pojemnika z mąką, po czym zamiera i po chwili milczenia pyta: − Co myślisz o Trinie? Lubisz ją, prawda?

Zdejmuję z ognia garnek z czekoladą.

– Bardzo ją lubię. Chyba nawet kocham. A czy *ty* ją kochasz?

Tym razem tata nie waha się ani chwili.

– Kocham.

– To dobrze – mówię. – Cieszę się.

Wygląda, jakby mu ulżyło.

– Dobrze – odpowiada, a potem powtarza: − Dobrze.

Sprawy muszą przybierać poważny obrót, skoro zadaje mi takie pytanie. Zastanawiam się, czy myśli o zaproponowaniu jej, żeby się wprowadziła. Zanim zdążę o to zapytać, tata mówi:

– Nikt nigdy nie zajmie miejsca waszej mamy. Wiesz o tym, prawda?

– Oczywiście.

Czubkiem języka zlizuję z łyżki czekoladę. Jest gorąca, za gorąca. To dobrze, że znów kogoś kocha, że kogoś ma, prawdziwą partnerkę. Tak długo był sam, że już zaczęło się to wydawać normalne, ale tak będzie lepiej. Jest szczęśliwy, każdy by to zauważył. Od kiedy pani Rothschild się u nas pojawiła, nie umiem sobie wyobrazić, że znów miałoby jej tu nie być.

– Cieszę się, tato.

8

Cały ranek sprawdzam telefon, jak od tygodnia robi chyba każdy uczeń ostatniej klasy mojej szkoły. Poniedziałek minął bez słowa z UW, potem wtorek, potem środa. Dziś jest czwartek i wciąż nic. UW zawsze wysyła informacje o przyjęciu przed pierwszym kwietnia, a w zeszłym roku powiadomienia zamieszczono w trzecim tygodniu marca, więc naprawdę nadejdą lada dzień. To działa tak: w mediach społecznościowych piszą, żeby sprawdzić Uniwersytecki System Informacyjny, a potem logujesz się do niego i poznajesz wyrok.

Dawniej uczelnie wysyłały listy pocztą. Pani Duvall mówi, że czasem rodzice dzwonili do szkoły, kiedy pojawił się listonosz, a dzieciaki wskakiwały do samochodu i jechały do domu, najszybciej jak się dało. Jest coś romantycznego w oczekiwaniu na prawdziwy list, w oczekiwaniu na przeznaczenie.

Siedzę na zajęciach z francuskiego, ostatniej dziś lekcji, kiedy ktoś wykrzykuje:

– UW napisał tweeta! Są wyniki!

Madame Hunt mówi:

– *Calmez-vous, calmez-vous*.

Ale wszyscy się podnoszą, łapią telefony i nie zwracają na nią uwagi.

Oto chwila prawdy. Loguję się drżącymi rękami do systemu. Serce wali mi setki razy na minutę w oczekiwaniu na załadowanie strony.

Uniwersytet Wirginii otrzymał w tym roku

przeszło 30 000 podań. Komisja rekrutacyjna

przeanalizowała Pani podanie i szczegółowo

rozważyła Pani osiągnięcia naukowe, osobiste

oraz ponadprogramowe.

I choć podanie było bardzo mocne,

z przykrością zawiadamiamy…

To nie może być prawda. Śni mi się koszmar i zaraz się obudzę. Obudź się, obudź się, obudź się.

Słyszę wokół siebie niewyraźne głosy. Jakiś okrzyk radości dobiegający z korytarza. Potem dzwoni dzwonek i wszyscy wyskakują zza ławek i pędzą do drzwi. Madame Hunt mruczy pod nosem:

– Zwykle nie wysyłają informacji przed końcem zajęć.

Podnoszę wzrok, a ona przygląda mi się smutnym, pełnym współczucia wzrokiem. Wzrokiem mamy. To ten wzrok mnie rozkleja. Wszystko stracone. Boli mnie w klatce piersiowej, trudno mi oddychać. Wszystkie plany, wszystko, na co liczyłam, nic z tego się nie ziści. Nie będę przyjeżdżać na niedzielną kolację, robić wieczornych przepierek z Kitty, chodzić z Peterem na zajęcia, uczyć się całą noc w Clemons Library. Wszystko przepadło.

Nic nie pójdzie zgodnie z planem.

Patrzę znów na telefon i czytam ponownie słowa: „Z przykrością informujemy…”. Przestaję widzieć wyraźnie. A potem czytam raz jeszcze od początku. Nawet nie zapisali mnie na listę rezerwową. Nawet tyle.

Wstaję, biorę plecak i wychodzę z sali. Czuję wewnętrzną pustkę, a jednocześnie mam pełną świadomość, że moje serce pędzi, dudni mi w uszach. Jakby wszystkie części mnie się poruszały i kontynuowały funkcjonowanie, ale ja sama popadłam w całkowite odrętwienie. Nie dostałam się. Nie idę na UW. Nie chcą mnie tam.

Podchodzę do szafki, wciąż otępiała, kiedy niemal wpadam na Petera, który wychodzi zza rogu. Chwyta mnie.

– No i?

Jego oczy są błyszczące, radosne, wyczekujące.

Mój głos dobiega jakby z dużej odległości:

– Nie dostałam się.

Szczęka mu opada.

– Moment… co?

Czuję, jak w gardle rośnie mi gula.

– No.

– Nawet na listę rezerwową?

Kręcę głową.

– Kurwa.

Wypowiada to słowo na długim wydechu. Wygląda na zdumionego. Puszcza moją rękę. Widzę, że nie wie, co powiedzieć.

– Muszę iść – mówię, odwracając się od niego.

– Czekaj… pójdę z tobą!

– Nie. Masz dziś mecz wyjazdowy. Nie możesz go opuścić.

– Covey, gówno mnie to obchodzi.

– Nie, wolę zostać sama. Po prostu… zadzwonię później.

Wyciąga do mnie rękę, a ja się odsuwam i ruszam pospiesznie korytarzem. Woła za mną, ale się nie zatrzymuję. Muszę tylko dotrzeć do samochodu, a potem mogę się rozpłakać. Jeszcze nie teraz. Jakieś sto kroków, a potem jeszcze sto.

Wychodzę na parking, zanim popłyną łzy. Płaczę całą drogę do domu. Płaczę tak bardzo, że ledwo widzę i muszę zatrzymać się pod McDonald’s, żeby posiedzieć na parkingu i sobie popłakać. Zaczyna do mnie docierać, że to nie koszmar, to prawda i tej jesieni nie pójdę na UW z Peterem. Wszyscy będą tacy zawiedzeni. Wszyscy spodziewali się, że mnie przyjmą. Wszyscy tak myśleliśmy. Nie powinnam była robić takiego halo, że chcę iść akurat na tę uczelnię. Trzeba było zachować to dla siebie, nie pokazywać innym, jak mi na tym zależy. Teraz wszyscy będą się o mnie martwić i to będzie znacznie gorsze niż smutne matczyne spojrzenie madame Hunt.

Wracam do domu, zabieram telefon i idę do siebie na górę. Zdejmuję szkolny strój, wkładam piżamę, kładę się do łóżka i wpatruję się w telefon. Mam nieodebrane połączenia od taty, od Margot i od Petera. Otwieram Instagram i wszystkie nowe posty to zdjęcia reakcji znajomych na wiadomość, że dostali się na UW. Moja kuzynka Haven się dostała. Zamieściła zrzut z listu informującego o przyjęciu. Ale tam nie pójdzie. Idzie na Wellesley, który wybrała jako pierwszy. UW nawet jej nie obchodzi. Był tylko zabezpieczeniem. Na pewno uda współczucie, kiedy się dowie, że się nie dostałam, ale w środku poczuje utajoną wyższość. Emily Nussbaum się dostała. Zamieściła selfie w bluzie UW i czapeczce bejsbolowej. Rany, czy wszyscy się dostali? Sądziłam, że mam lepsze oceny od niej. Najwyraźniej nie.

Chwilę później słyszę otwierające się drzwi wejściowe i kroki Kitty wbiegającej na górę.

Otwiera gwałtownie drzwi do mojego pokoju, ale ja leżę na boku z zamkniętymi oczami i udaję, że śpię.

– Laro Jean? – szepcze.

Nie odpowiadam. Potrzebuję jeszcze chwili, zanim stanę twarzą w twarz z nią i tatą i powiem im, że mi się nie udało. Zaczynam oddychać głębiej, bardziej naturalnie, po czym słyszę, jak Kitty się wycofuje i zamyka za sobą cicho drzwi. Wkrótce zasypiam naprawdę.

Kiedy się budzę, na dworze panuje mrok. Przygnębiająco tak zasypiać, kiedy jest jasno, a budzić się w ciemnościach. Oczy mam zapuchnięte i piekące. Słyszę wodę płynącą z kuchennego kranu na dole i szczęk sztućców o naczynia. Schodzę po schodach i zatrzymuję się przed ostatnim stopniem.

– Nie dostałam się na UW – mówię.

Tata się odwraca. Ma podwinięte rękawy, ręce w mydlinach, a spojrzenie jeszcze smutniejsze niż madame Hunt. Ojcowskie spojrzenie. Zakręca kran, podchodzi do schodów, dźwiga mnie i obejmuje mocno ramionami. Ręce ma nadal mokre.

– Tak mi przykro, kochanie – mówi.

Znajdujemy się niemal na równej wysokości, bo wciąż stoję na stopniu. Koncentruję się, żeby się nie rozpłakać, ale kiedy mnie wreszcie puszcza, unosi moją brodę i przygląda się z troską mojej twarzy, a ja się rozklejam.

– Wiem, jak bardzo ci na tym zależało.

Przełykam łzy.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Odgarnia mi włosy z oczu.

– Wszystko się ułoży. Słowo.

– Ja tylko… nie chcę się z wami rozstawać.

Płaczę i nie mogę nic na to poradzić, łzy płyną po mojej twarzy. Tata ociera je, jak tylko się pojawią. Wygląda, jakby sam miał się rozpłakać, co jeszcze pogarsza moje samopoczucie. Zamierzałam przybrać dziarską minę, a tu proszę.

Obejmując mnie ramieniem, przyznaje:

– Egoistycznie cieszyłem się, że będziesz blisko domu. Ale, Laro Jean, i tak dostaniesz się do świetnej szkoły.

– Ale to nie będzie UW – szepczę.

Tata mnie przytula.

– Przykro mi – powtarza.

Siada koło mnie na schodach, wciąż mnie obejmując, kiedy do domu wraca Kitty ze spaceru z Jamiem Fox-Picklem. Patrzy na mnie, potem na tatę i upuszcza smycz Jamiego.

– Nie dostałaś się.

Ocieram twarz i próbuję wzruszyć ramionami.

– Nie. Ale to nic. Najwyraźniej nie to było mi pisane.

– Przykro mi, że się nie dostałaś – mówi cicho, patrząc na mnie z troską.

– Chodź, przytul mnie – mówię, i to właśnie robi.

Siedzimy we trójkę na schodach jeszcze przez dłuższą chwilę, tata obejmuje moje ramiona, Kitty trzyma dłoń na moim kolanie.

Tata przygotowuje mi kanapkę z indykiem, którą zjadam, a potem wracam na górę i kładę się z powrotem do łóżka, żeby znów zajrzeć do telefonu. Rozlega się pukanie w okno. To Peter, wciąż w stroju do lacrosse. Wyskakuję z łóżka i otwieram mu okno. Włazi do środka i przygląda się mojej twarzy, a potem mówi:

– Cześć, albinosku. – Tak właśnie nazywa mnie, kiedy widzi, że płakałam.

Wybucham śmiechem. To miłe móc się roześmiać. Próbuję się do niego przytulić, a on mówi:

– Nie chcesz się teraz do mnie przytulać. Nie wziąłem po meczu prysznica. Przyjechałem prosto do ciebie.

I tak go przytulam i jak dla mnie wcale brzydko nie pachnie.

– Czemu nie zadzwoniłeś do drzwi wejściowych? – Podnoszę na niego wzrok, obejmując go w pasie.

– Pomyślałem, że twojemu tacie może się nie spodobać, że przychodzę tak późno. Dobrze się czujesz?

– Tak jakby. – Puszczam go i siadam na łóżku, a on przy moim biurku. – Wcale nie.

– No, ja też nie. – Następuje długa cisza, a potem Peter ciągnie: − Czuję, że nie powiedziałem wcześniej tego, co powinienem był powiedzieć. Zaskoczyło mnie to. Nie sądziłem, że może do tego dojść.

Wbijam wzrok w pościel.

– Wiem. Ja też nie.

– To jest kompletnie do bani. Miałaś lepsze stopnie ode mnie. Cary się dostał, a ty jesteś od niego lepsza!

– Cóż, nie jestem w drużynie lacrosse ani golfa.

Staram się, żeby nie było słychać rozgoryczenia, ale to trudne. Wyjątkowo zdradziecka, malutka myśl wkrada się do mojej głowy – to nie fair, że Peter się dostał, a ja nie, skoro ja bardziej na to zasłużyłam. Ciężej na to pracowałam. Miałam lepsze stopnie, wyższe wyniki egzaminów.

– Pierdolić ich.

– Peter.

– Przepraszam. Chrzanić ich. – Wypuszcza powietrze. – To chore.

Automatycznie odpowiadam:

– To nie jest *chore*. W UW jest duża konkurencja. Nie jestem na nich zła. Tylko żałuję, że tam nie idę.

Kiwa głową.

– Tak, ja też.

Nagle dociera do nas z korytarza odgłos spuszczania wody i oboje zamieramy.

– Powinieneś już iść – szepczę.

Peter ściska mnie raz jeszcze, a potem wychodzi przez okno. Stoję tak i patrzę, jak biegnie ulicą do miejsca, w którym zaparkował samochód. Kiedy odjeżdża, sprawdzam telefon i widzę dwa nieodebrane połączenia od Margot, a potem esemesa o treści: „Tak mi przykro”.

I wtedy rozklejam się na nowo, bo wreszcie wszystko do mnie dociera.

9

Kiedy budzę się rano, jest to pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy. Że nie idę na UW, że nawet nie wiem, gdzie idę. Nigdy w życiu nie musiałam się o to martwić. Zawsze wiedziałam, gdzie jest moje miejsce: w domu.

Leżąc w łóżku, zaczynam w myślach sporządzać listę rzeczy, które mnie ominą, bo nie pójdę na uczelnię blisko domu. Ważne chwile.

Pierwszy okres Kitty. Tata jest ginekologiem, więc da sobie radę, ale czekałam na ten moment, żeby wygłosić przemowę na temat kobiecości, której Kitty by nie chciała słuchać. Może nie wydarzy się to przez kolejny rok czy dwa. Ale ja miałam pierwszą miesiączkę w wieku dwunastu lat, a Margot jedenastu, więc kto wie? Kiedy dostałam pierwszego okresu, Margot wyjaśniła mi wszystko na temat tamponów, jakich kiedy używać, i poradziła, żeby spać na brzuchu, kiedy skurcze są szczególnie mocne. Sprawiła, że poczułam się, jakbym dołączała do jakiegoś sekretnego klubu, klubu kobiet. Dzięki mojej siostrze żal z powodu dorastania nie był aż tak bolesny. Kitty zapewne nie będzie miała żadnej ze swoich starszych sióstr w pobliżu, ale ma panią Rothschild, a ona mieszka przecież naprzeciwko. Kitty tak bardzo przywiązała się do pani Rothschild, że szczerze mówiąc, pewnie i tak wolałaby z nią omówić tę kwestię. Nawet gdyby w przyszłości tata i pani Rothschild mieli ze sobą zerwać, to wiem, że ona nigdy nie zostawi Kitty samej. Zżyły się.

Przegapię też urodziny Kitty. Nigdy się nie zdarzyło, żeby nie było mnie w domu na jej urodziny. Będę musiała przypomnieć tacie, żeby kontynuował naszą tradycję transparentów urodzinowych.

Po raz pierwszy wszystkie dziewczyny Song będą żyły całkiem osobno. Nasza trójka pewnie już nigdy nie zamieszka razem w tym samym domu. Będziemy przyjeżdżać na wakacje i ferie, ale to nie będzie to samo. Nie będzie tak, jak było. Ale chyba już nie było, odkąd Margot wyjechała na studia. Tyle że można się do tego przyzwyczaić. Zanim się zorientujesz, to się dzieje, przyzwyczajasz się do tego, że wszystko jest inaczej, i z Kitty będzie dokładnie tak samo.

Przy śniadaniu zerkam na nią, zapamiętując każdy szczegół. Jej patyczakowate nogi, jej wystające kolana, to, jak ogląda telewizję z półuśmiechem na twarzy. Jeszcze tylko przez chwilę będzie taka mała. Przed wyjazdem powinnyśmy zrobić parę wyjątkowych rzeczy, tylko we dwie.

W czasie przerwy reklamowej przenosi na mnie wzrok.

– Czemu się na mnie gapisz?

– Bez powodu. Będę po prostu za wami tęskniła.

Kitty dopija, siorbiąc, resztkę mleka z płatków.

– Mogę dostać twój pokój?

– Co? Nie!

– No ale przecież nie będziesz tu mieszkała. Po co twój pokój ma stać pusty i się marnować?

– Czemu chcesz mój pokój, a nie Margot? Jej jest większy.

– Twój jest bliżej łazienki i ma lepsze światło – stwierdza praktycznie.

Nie znoszę zmian, a Kitty stawia im czoło z otwartą przyłbicą. Wychodzi im naprzeciw. To jej sposób, by sobie z nimi radzić.

– Będziesz za mną tęskniła, kiedy wyjadę, wiem o tym, więc przestań udawać, że nie będziesz – mówię.

– Zawsze się zastanawiałam, jak to jest być jedynaczką – mówi śpiewnie.

Kiedy marszczę brwi, dodaje pospiesznie:

– Tylko żartuję!

Wiem, że Kitty to Kitty, ale nie mogę nic poradzić na maleńkie ukłucie żalu. Czemu ktokolwiek miałby chcieć być jedynakiem? Co jest takiego wspaniałego w nieposiadaniu nikogo, kto mógłby ogrzać ci stopy w chłodny zimowy wieczór?

– Będziesz za mną tęskniła – mówię, bardziej do siebie niż do niej.

I tak mnie nie słyszy, reklamy się skończyły.

Dotarłszy do szkoły, idę prosto do gabinetu pani Duvall, żeby przekazać jej wieści. Gdy tylko dostrzega moją minę, mówi:

– Chodź, usiądź. – Po czym wstaje zza biurka i zamyka za mną drzwi. Siada na krześle obok mnie. – Mów.

Biorę głęboki oddech.

– Nie dostałam się na UW.

Wydawałoby się, że skoro nie mówię tego po raz pierwszy, będzie łatwiej wydusić z siebie te słowa, ale nie jest – jest wręcz gorzej.

Wzdycha głęboko.

– Jestem zaskoczona. Bardzo, bardzo zaskoczona. Twoje podanie było mocne, Laro Jean. Jesteś świetną uczennicą. Słyszałam co prawda, że w tym roku wpłynęło kilka tysięcy podań więcej niż w ubiegłych latach. Mimo to spodziewałabym się, że dostaniesz się przynajmniej na listę rezerwową.

W odpowiedzi udaje mi się jedynie wzruszyć lekko ramionami, bo nie ufam w tej chwili własnemu głosowi. Pani Duvall przysuwa się i mnie przytula.

– Słyszałam od pewnej osoby z działu przyjęć, że Wilhelm i Maria ogłoszą dziś decyzje, więc się na to przygotuj. Zawsze zostaje UKP i Richmond. Gdzie jeszcze składałaś papiery? Politechnika?

Kręcę głową.

– James Madison.

– Same świetne szkoły. Wszystko będzie dobrze, Laro Jean. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Nie mówię głośno tego, co myślę, czyli że obie nie miałyśmy też wątpliwości, że dostanę się na UW. Posyłam jej tylko słaby uśmiech.

Wychodzę i widzę stojącą przy szafkach Chris. Przekazuję jej wieści na temat UW, a ona mówi:

– Powinnaś pojechać ze mną do pracy na farmie w Kostaryce.

Opieram się w osłupieniu o ścianę i mówię:

– Ale… że co?

– Mówiłam ci o tym.

– Nie, nie wydaje mi się.

Wiedziałam, że Chris nie wybiera się na studia, że pójdzie najpierw do college'u, a potem zobaczy, co dalej. Nie ma odpowiednich stopni ani szczególnych chęci, prawdę mówiąc. Ale nie mówiła nic o Kostaryce.

– Robię sobie rok przerwy i wyjeżdżam pracować na farmie. Pracuje się tam jakieś pięć godzin dziennie i dają ci pokój i wyżywienie. Ekstra.

– Ale co ty wiesz o rolnictwie?

– Nic! To nie ma znaczenia. Musisz tylko chcieć pracować. Wszystkiego cię nauczą. Mogę też pracować w szkole surfingu w Nowej Zelandii albo nauczyć się robienia wina we Włoszech. W zasadzie mogę jechać, gdzie chcę. Czy to nie brzmi cudownie?

– Brzmi… − Próbuję się uśmiechnąć, ale twarz mi jakby ścierpła. – Czy twojej mamie to nie przeszkadza?

Chris skubie paznokieć kciuka.

– A co tam. Mam osiemnaście lat. Nie ma wyboru.

Posyłam jej powątpiewające spojrzenie. Mama Chris jest surowa. Trudno mi sobie wyobrazić, że nie będzie miała nic przeciwko takim planom.

– Powiedziałam jej, że to tylko na rok, potem wrócę i pójdę do dwuletniego college'u, a później przeniosę się do czteroletniego – przyznaje. – Ale kto wie, co się wydarzy? Rok to mnóstwo czasu. Może poślubię DJ-a albo dołączę do jakiegoś zespołu, albo wypuszczę własną linię bikini.

– To wszystko brzmi bardzo ekscytująco.

Chcę się cieszyć razem z nią, ale nie potrafię się na to zdobyć. Dobrze, że Chris ma się na co cieszyć, coś, czego nie będzie robić nikt inny z naszej klasy. Ale mam wrażenie, jakby świat wokół mnie przemieniał się w sposób, którego się nie spodziewałam, a ja chcę jedynie, żeby wszystko tkwiło w miejscu.

– Będziesz do mnie pisać? – pytam.

– Wszystko będę wrzucać na Snapchata.

– Nie mam tam konta, a poza tym to nie to samo. – Szturcham ją czubkiem buta. – Wyślij mi pocztówkę z każdego nowego miejsca, które odwiedzisz, proszę.

– Kto wie, czy będę w stanie wysłać list? Nie wiem, jak działa poczta w Kostaryce.

– Możesz spróbować.

– Spróbuję – zgadza się.

W tym roku nie widywałam Chris zbyt często. Dostała pracę jako kelnerka w Applebee i zaprzyjaźniła się blisko z koleżankami z pracy. Wszystkie są starsze, niektóre mają dzieci i same płacą rachunki. Jestem pewna, że Chris nie powiedziała żadnej z nich, że wciąż mieszka z mamą, która ją utrzymuje. Kiedy odwiedziłam ją w pracy w zeszłym miesiącu, jedna z kelnerek powiedziała, że liczy na zarobienie tego wieczora na czynsz, po czym spojrzała na Chris i dodała: „Wiesz, jak jest", a Chris przytaknęła, jakby wiedziała. Kiedy posłałam jej pytające spojrzenie, udała, że go nie widzi.

Rozbrzmiewa pierwszy dzwonek, więc ruszamy na lekcję.

– Kavinsky pewnie świruje, że nie dostałaś się na UW – mówi Chris, przyglądając się swojemu odbiciu w szklanych drzwiach, które mijamy. – Rozumiem, że będziecie w związku na odległość?

– Tak. – Ściska mnie w piersi. – Na to wygląda.

– Powinnaś mieć tam swoich ludzi, żeby trzymali rękę na pulsie – mówi. – No wiesz, takich szpiegów. Słyszałam, że Gillian McDougal chyba się dostała. Ona dla ciebie poszpieguje.

Patrzę na nią krzywo.

– Chris, ufam Peterowi.

– Wiem… nie o nim mówię! Mówię o przypadkowych laskach na jego terenie. Wpadających do jego pokoju. Powinnaś dać mu swoje zdjęcie, żeby dotrzymywało mu towarzystwa, jeśli wiesz, co mam na myśli. – Marszczy brwi. – Wiesz, co mam na myśli?

– Seksowne zdjęcie? Nie ma mowy! – Zaczynam się od niej odsuwać. – Słuchaj, muszę lecieć na lekcję.

Ostatnie, na co mam ochotę, to myśleć o Peterze i przypadkowych dziewczynach. Wciąż usiłuję pogodzić się z tym, że nie będziemy tej jesieni razem w UW.

Chris przewraca oczami.

– Wyluzuj. Nie mówię o rozbieranej fotce. Akurat tobie nigdy bym tego nie

zaproponowała. Mówię o zdjęciu *à la* pin-up, ale nie kiczowatym. Seksownym. Czymś, co Kavinsky mógłby powiesić w swoim pokoju.

– Czemu miałabym chcieć, żeby powiesił moje seksowne zdjęcie w swoim pokoju, gdzie wszyscy mogliby je zobaczyć?

Chris wyciąga rękę i wymierza mi pstryczka w czoło.

– Au! – Odpycham ją od siebie i pocieram miejsce, w które mnie pstryknęła. – To bolało!

– Zasłużyłaś za zadawanie takich głupich pytań. – Wzdycha. – Mówię o środkach zapobiegawczych. Twoje zdjęcie na ścianie to sposób na oznakowanie terytorium. Kavinsky to ciacho. Jest sportowcem. Sądzisz, że inne dziewczyny uszanują fakt, że jest w związku na odległość? – Przycisza głos i dodaje: − Ze świętoszkowatą dziewczyną?

Wydaję okrzyk, po czym rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nie słyszał.

– Chris! – syczę. – Mogłabyś przestać?

– Ja tylko próbuję ci pomóc! Musisz chronić swoją własność, Laro Jean. Jeśli ja poznam w Kostaryce jakiegoś przystojniaka z dziewczyną na odległość, z którą nawet nie sypiał… Nie sądzę, żebym potraktowała to szczególnie poważnie. – Wzrusza ramionami i robi minę pod tytułem przepraszam-ale-nie-przepraszam. – Powinnaś też oprawić to zdjęcie, żeby ludzie wiedzieli, że nie ma z tobą żartów. Ramka oznacza trwałość. Zdjęcie przylepione do ściany mówi: dziś jestem, jutro mnie nie ma.

W zamyśleniu przygryzam dolną wargę.

– Może zdjęcie, na którym piekę, w fartuszku…

– Bez niczego pod spodem? – Chris chichocze, a ja błyskawicznie pstrykam ją w czoło.

– Au!

– Spoważnij!

Dzwonek znów dzwoni, więc się rozstajemy. Nie wyobrażam sobie sprezentowania Peterowi seksownego zdjęcia, ale podsuwa mi to pewien pomysł: mogłabym dać mu zamiast tego scrapbook. Nasze najlepsze chwile. W ten sposób, kiedy za mną zatęskni, będzie mógł go sobie obejrzeć. I trzymać na biurku dla wszystkich „przypadkowych dziewczyn", które mogą się napatoczyć. Oczywiście nie wspomnę o tym pomyśle Chris – wyśmiałaby mnie i nazwała babcią Larą Jean. Ale wiem, że Peter będzie zachwycony.

10

Cały dzień jak na szpilkach wyczekuję wieści z Wilhelma i Marii. Cała skupiam się na telefonie w oczekiwaniu, aż zawibruje, aż dostanę tego maila. Na zajęciach rozszerzonych z angielskiego pan O'Bryan musi mnie trzykrotnie spytać o tradycję narracji niewolniczej w *Umiłowanej*.

Kiedy wreszcie telefon wibruje, okazuje się, że to Margot z pytaniem, czy już coś wiem, a potem Peter z pytaniem, czy już coś wiem. Ale nic z Wilhelma i Marii.

Później, kiedy między lekcjami jestem w łazience, znowu wibruje, a ja szybko się podnoszę, żeby zapiąć dżinsy i móc sprawdzić co to. Mail z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Chapel Hill informujący mnie o tym, że status mojego podania został zaktualizowany. Stoję w kabinie i choć naprawdę się nie spodziewam, żeby mnie przyjęli, to klikam na link i czekam z walącym sercem.

Lista rezerwowa.

Powinno mnie to ucieszyć, bo na tej uczelni jest duża konkurencja i lista rezerwowa to już coś, i cieszyłabym się… gdybym dostała się już na UW. A tak to kolejny cios prosto w brzuch. Co, jeśli nigdzie się nie dostanę? Co wtedy? Już widzę ciotkę Carrie i wujka Victora: „Biedna Lara Jean, nie dostała się na UW ani UKP. Jest zupełnie inna niż jej siostra. Margot zawsze osiąga to, co sobie zakłada".

Kiedy siadam przy stoliku w stołówce, Peter czeka już na mnie z przejętą miną.

– Masz już wyniki?

Siadam obok niego.

– Dostałam się na listę rezerwową UKP.

– O cholera. Cóż, w zasadzie nie przyjmują spoza stanu, chyba że jesteś koszykarzem. Szczerze mówiąc, samo dostanie się na listę rezerwową robi wrażenie.

– Pewnie tak – mówię.

– Chrzanić ich – odpowiada. – Kto by chciał tam studiować?

– Mnóstwo ludzi.

Odwijam kanapkę, ale nie mogę zdecydować się na kęs, mam tak ściśnięty żołądek.

Peter wzrusza pogardliwie ramionami. Zdaję sobie sprawę, że próbuje mnie pocieszyć, ale UKP to świetna uczelnia i oboje dobrze o tym wiemy. Nie ma co udawać, że jest inaczej.

Przez cały lunch apatycznie popijam wiśniową colę i przysłuchuję się rozmowie chłopaków na temat meczu, który rozgrywają za parę dni. W którymś momencie Peter na mnie zerka i ściska moje udo, dodając mi otuchy, ale nie potrafię zdobyć się na uśmiech w odpowiedzi.

Kiedy chłopaki zbierają się na siłownię, zostajemy sami z Peterem przy stoliku, a on pyta mnie z niepokojem:

– Nic nie zjesz?

– Nie jestem głodna – mówię.

Potem wzdycha i dodaje:

– To ty powinnaś iść na UW, nie ja.

I oto zdradziecka myśl, która wczorajszego wieczoru przyszła mi do głowy, że to ja zasługuję na tę uczelnię bardziej niż on, puf, rozchodzi się jak mgiełka perfum w powietrzu. Wiem, jak Peter ciężko pracował w drużynie lacrosse. Zasłużył na swoje miejsce. Nie powinien w ogóle tak myśleć. To nie w porządku.

– Nigdy więcej tak nie mów. Zapracowałeś sobie. Zasługujesz, żeby pójść na UW.

Ze zwieszoną głową odpowiada:

– Ale ty też. – A potem z błyskiem w oku podnosi gwałtownie głowę. – Pamiętasz Toneya Lewisa? – Kręcę głową. – Był w ostatniej klasie, kiedy my byliśmy w pierwszej. Studiował dwa lata w college'u stanowym, a na trzeci rok przeniósł się na UW! Założę się, że też mogłabyś tak zrobić, ale ty byłabyś w stanie przenieść się jeszcze szybciej, bo zamierzasz iść na pełne czteroletnie studia. Dostać się z przeniesienia jest milion razy łatwiej!

– Hmm, racja…

Nie przyszło mi do głowy, żeby się przenieść. Wciąż przyzwyczajam się do myśli, że nie idę na UW.

– Widzisz? Dobra, tej jesieni pójdziesz do Wilhelma i Marii albo do Richmond, albo tam, gdzie się dostaniesz, i będziemy w stałym kontakcie, a w przyszłym roku złożysz podanie o przeniesienie i będziesz ze mną na UW! Tam, gdzie twoje miejsce!

Zapala się we mnie iskierka nadziei.

– Naprawdę sądzisz, że tak łatwo będzie mi się dostać?

– Pewnie! Powinnaś była się dostać od początku! Wierz mi, Covey.

Kiwam powoli głową.

– Pewnie! Dobra. Dobra.

Peter oddycha z ulgą.

– Dobra. Mamy plan.

Podkradam frytkę z jego talerza. Od razu czuję, że wraca mi apetyt. Kiedy kradnę kolejną, mój telefon wibruje. Wyciągam go i sprawdzam – to mail z sekcji do spraw przyjęć Kolegium Wilhelma i Marii. Peter zagląda mi przez ramię, a potem patrzy na mnie z niepokojem. Noga mu podryguje, kiedy czekamy na załadowanie strony.

Mamy ogromną przyjemność zaproponować

Pani miejsce w Kolegium Wilhelma i Marii…

Zalewa mnie fala ulgi. Dzięki Bogu.

Peter podrywa się z krzesła, chwyta mnie za ramiona i obraca.

– Lara Jean właśnie dostała się do Wilhelma i Marii! – wykrzykuje do stolika i wszystkich, którzy słuchają.

Wszyscy przy naszym stoliku klaszczą.

– Widzisz? – tryumfuje Peter, ściskając mnie. – Mówiłem, że wszystko się ułoży.

Też go mocno ściskam. Przede wszystkim czuję ulgę. Ulgę, że się dostałam, ulgę, że mam plan.

– Jakoś sobie poradzimy, dopóki się nie przeniesiesz – mówi cicho, wtulając twarz w moją szyję. – To tylko dwie godziny drogi, nic takiego. Założę się, że twój tata pozwoli ci wziąć samochód. Przecież Kitty go jeszcze nie potrzebuje. Przejadę się z tobą parę razy, żebyś czuła się swobodnie. Wszystko będzie dobrze, Covey.

Kiwam głową.

Usiadłszy z powrotem, wysyłam wiadomość zbiorową do Margot, Kitty, pani Rothschild i taty.

Dostałam się do W&M!!!

Na wszelki wypadek dorzucam wykrzykniki, żeby zaznaczyć, jak bardzo się cieszę, i żeby wiedzieli, że już nie muszą mnie żałować, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Tata odpowiada serią emotikonów. Pani Rothschild pisze:

Tak trzymaj!!!!!

Margot pisze:
HURRRRRA!

Będziemy świętować na żywo w przyszłym tygodniu!

Po lunchu wpadam do gabinetu pani Duvall, żeby przekazać jej dobre nowiny. Jest uradowana.

– Wiem, że ta uczelnia była na drugim miejscu, ale pod wieloma względami może okazać się jeszcze lepsza niż UW. Jest mniejsza. Myślę, że taka dziewczyna jak ty, Laro Jean, może tam naprawdę zabłysnąć.

Uśmiecham się do niej, zostaję uściskana, ale w środku myślę: „Czyli nie wierzyła, że dziewczyna taka jak ja może naprawdę zabłysnąć w UW".

Przed końcem tygodnia dostaję się też do Jamesa Madisona i na Uniwersytet w Richmond, z czego się cieszę, ale i tak zamierzam pójść do Wilhelma i Marii. Williamsburg odwiedzałam wielokrotnie z rodziną i potrafię wyobrazić sobie życie tam. Kampus jest mały, ale przyjemny. I to naprawdę niedaleko od domu. Niespełna dwie godziny. Wyjadę, będę się dużo uczyć, a po roku przeniosę się na UW i wszystko potoczy się zgodnie z planem.

11

To ja jadę na lotnisko odebrać Margot i Raviego, w czasie gdy tata kończy przyrządzanie kolacji, a Kitty odrabia lekcje. Wpisuję adres w GPS, na wszelki wypadek, i docieram na miejsce bez przeszkód, na całe szczęście. Nasze lotnisko jest niewielkie, jeżdżę więc w kółko, czekając, aż się wyłonią.

Kiedy podjeżdżam do krawężnika, Margot i Ravi już na mnie czekają usadowieni na walizkach. Parkuję, wyskakuję z samochodu, biegnę do Margot i zarzucam jej ręce na szyję. Włosy ma świeżo przycięte do podbródka, ma na sobie bluzę dresową i legginsy. Ściskając ją mocno, myślę: „Rany, jak ja tęskniłam za moją siostrą!".

Wypuszczam ją, po czym przyglądam się Raviemu, który jest wyższy, niż się spodziewałam. Jest wysoki, szczupły, ma śniadą karnację, ciemne włosy i ciemne oczy z długimi rzęsami. Jest tak niepodobny do Josha, ale szalenie w typie chłopaka, z którym mogłaby się spotykać Margot. Ma dołeczek na prawym policzku.

– Miło poznać cię na żywo, Laro Jean – mówi, powalając mnie z miejsca swoją wymową.

Moje imię brzmi znacznie bardziej elegancko przybrane brytyjskim akcentem.

Jestem spięta. Po chwili zauważam, że na jego podkoszulku widnieje napis: „Armia Dumbledore'a", więc się uspokajam. Fan Pottera, jak my.

– Ciebie też miło poznać. Z którego domu jesteś?

Pakuje do bagażnika walizki Margot i swoją.

– Zobaczmy, czy zgadniesz. Twoja siostra się pomyliła.

– Tylko dlatego, że przez pierwszy miesiąc znajomości usiłowałeś zrobić na mnie wrażenie – protestuje.

Ravi się śmieje i wsiada do tyłu. Według mnie dobrze świadczy o jego charakterze, że nie zajmuje automatycznie miejsca z przodu. Margot na mnie patrzy.

– Chcesz, żebym poprowadziła?

Mam ochotę powiedzieć tak, bo zawsze wolę, żeby to Margot prowadziła, ale kręcę głową, machając wysoko kluczykami.

– Zajmę się tym.

Unosi brwi, jakby była pod wrażeniem.

– Bardzo dobrze.

Przechodzi na stronę pasażera i siada z przodu. Patrzę na Raviego w lusterku wstecznym.

– Ravi, zanim wyjedziesz, odgadnę, z którego domu jesteś.

Kiedy docieramy do domu, tata, Kitty i pani Rothschild czekają na nas w salonie. Margot zdaje się zaskoczona na widok sąsiadki siedzącej z tatą na kanapie, z bosymi nogami na jego kolanach. Ja tak przyzwyczaiłam się do jej obecności, że pani Rothschild stała się dla mnie częścią rodziny. Nie przyszło mi do głowy, jakie dziwaczne będzie to dla Margot. Nie spędziły ze sobą wiele czasu, bo Margot wyjechała na studia. Nie było jej, kiedy tata zaczął się spotykać z panią Rothschild, a od tamtej pory przyjechała do domu tylko raz, na Boże Narodzenie.

Na widok Margot pani Rothschild zrywa się, żeby ją uściskać i skomplementować fryzurę. Raviego też ściska.

– Ależ masz gabaryty! – żartuje.

Ravi się śmieje, ale Margot jedynie uśmiecha się chłodno – dopóki nie zobaczy Kitty, którą porywa w ramiona. Chwilę później piszczy:

– O matko, Kitty! Nosisz już stanik?

Kitty zatyka, patrzy na nią gniewnie, a jej policzki robią się wściekle czerwone.

– Przepraszam – szepcze zmieszana Margot.

Ravi podchodzi ochoczo i podaje rękę tacie.

– Dzień dobry, proszę pana, jestem Ravi. Dziękuję za zaproszenie.

– Cała przyjemność po naszej stronie – mówi tata.

Potem Ravi uśmiecha się do Kitty, unosi dłoń w geście powitania i mówi nieco niepewnie:

– Cześć, Kitty.

Kitty wita go skinieniem głowy, nawet na niego nie patrząc.

– Cześć.

Margot wciąż wpatruje się w Kitty z niedowierzaniem. Ja byłam tu cały czas, więc trudniej mi dostrzec, jak bardzo Kitty urosła w ciągu ostatniego roku, ale to prawda, urosła. Może nie w klatce piersiowej – stanik ma w tej chwili jedynie funkcję ozdobną – ale w innych obszarach.

– Ravi, napijesz się czegoś? – szczebiocze pani Rothschild. – Mamy sok, frescę, colę dietetyczną, wodę.

– A co to jest fresca? – pyta Ravi, marszcząc brwi.

Oczy jej rozbłyskują.

– To przepyszny napój grapefruitowy. Zero kalorii! Musisz spróbować!

Margot obserwuje, jak pani Rothschild idzie do kuchni i otwiera szafkę, w której trzymamy kubki. Napełniając szklankę lodem, woła:

– Margot, a ty? Co ci zrobić?

– Nic, dziękuję – odpowiada Margot uprzejmym tonem, ale widzę, że nie podoba się jej, że we własnym domu picie proponuje jej ktoś, kto tu nie mieszka.

Pani Rothschild wraca z frescą Raviego i podaje mu ją teatralnym gestem. Ravi dziękuje i próbuje.

– Bardzo orzeźwiające – mówi, a ona się rozpromienia.

Tata klaszcze w dłonie.

– Zaniesiemy walizki na górę? Chcecie chwilkę, żeby odświeżyć się przed kolacją? Przygotowałem już pokój gościnny. – Posyła mi czułe spojrzenie, po czym dodaje: − Lara Jean zaniosła tam nowe kapcie i szlafrok dla ciebie, Ravi.

Zanim Ravi zdąży odpowiedzieć, Margot mówi:

– To bardzo miłe. Ale Ravi zatrzyma się ze mną w moim pokoju.

Jakby Margot zrzuciła na środek salonu śmierdzącą bombę. Kitty i ja patrzymy na siebie z minami pod tytułem „OMG”. Tata jest osłupiały i oniemiały. Kiedy przygotowywałam pokój dla Raviego, układałam dla niego zestaw ręczników na brzegu łóżka, a także szlafrok oraz kapcie, nie przyszło mi do głowy, że będzie mieszkał w pokoju Margot. Widać wyraźnie, że tacie też to nie przyszło do głowy.

Twarz taty z każdą sekundą robi się coraz bardziej czerwona.

– O, hmm… nie wiem, czy…

Margot zaciska usta nerwowo, jakby czekała, aż tata dokończy zdanie. Wszyscy czekamy, ale on chyba nie umie wymyślić, co powiedzieć dalej. Szuka wzrokiem pomocy u pani Rothschild, a ona kładzie mu dłoń na plecach na znak wsparcia. Biedny Ravi wygląda na wybitnie speszonego. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest Krukonem jak Margot. Teraz sądzę, że jest Puchonem jak ja. Łagodnym tonem mówi:

– Naprawdę nie przeszkadza mi nocowanie w pokoju gościnnym. Nie chciałbym wprowadzać zamieszania.

Tata zaczyna mu odpowiadać, ale Margot jest szybsza.

– Nie, wszystko w porządku – zapewnia Raviego. – Chodźmy do auta po resztę rzeczy.

Gdy tylko wychodzą, odwracamy się do siebie z Kitty. Jednocześnie mówimy:

– O matko.

Kitty zastanawia się:

– Czemu muszą spać w jednym pokoju? Nie wytrzymają bez seksu?

– Wystarczy, Kitty – mówi tata ostrzej, niż kiedykolwiek słyszałam.

Odwraca się i wychodzi, a potem słyszę, jak zamyka drzwi swojego gabinetu. To tam idzie, kiedy jest naprawdę wściekły. Pani Rothschild posyła Kitty surowe spojrzenie, a potem znika razem z nim.

Znów patrzymy z Kitty po sobie.

– Ups – mówię.

– Nie musiał tak ostro – mówi Kitty ponuro. – To nie ja będę spała z chłopakiem w jednym łóżku.

– Nie miał takiego zamiaru. – Przyciągam ją do siebie i obejmuję jej kościste ramiona. – Gogo jest odważna, nie sądzisz?

Ta moja siostra jest godna podziwu. Żal mi tylko taty. Do takich kłótni nie jest przyzwyczajony – a w zasadzie to do żadnych.

Oczywiście od razu piszę do Petera i mu opowiadam. W odpowiedzi wysyła mnóstwo emotikonów z wybałuszonymi oczami. I:

Myślisz, że Twój tata pozwoliłby nam

spać w jednym pokoju??

Co ja ignoruję.



Kiedy Ravi idzie na górę umyć się i przebrać, pani Rothschild mówi, że umówiła się na kolację z koleżankami, więc powinna się już zbierać. Widzę, że Margot czuje ulgę. Po wyjściu pani Rothschild Kitty zabiera Jamiego Fox-Pickle'a na spacer, a my z Margot idziemy do kuchni przygotować sałatę do kurczaka, którego piecze tata. Nie mogę się doczekać chwili sam na sam z Margot, żebyśmy mogły pogadać o tej całej sytuacji z miejscem noclegowym, ale nie udaje mi się to, bo gdy tylko przekraczamy próg kuchni, Margot syczy:

– Czemu nie powiedziałaś mi, że tatę i panią Rothschild łączy coś poważnego?

– Mówiłam, że przychodzi na kolację prawie co wieczór! – odpowiadam szeptem.

Zaczynam opłukiwać koszyk pomidorków koktajlowych, żeby odgłos płynącej wody nas zagłuszył.

– Panoszy się po domu, jakby tu mieszkała! I od kiedy mamy frescę? Nigdy jej nie pijaliśmy.

Zabieram się do krojenia pomidorków na połówki.

– Uwielbia ją, więc zawsze dbam, żeby kupić zgrzewkę, kiedy idę do sklepu. Naprawdę jest bardzo orzeźwiająca. Raviemu chyba smakowała.

– Nie o to chodzi!

– Czemu nagle masz taki problem z panią Rothschild? Świetnie się dogadywałyście, kiedy byłaś w domu na święta… − Urywam, bo do kuchni wchodzi tata.

– Margot, możemy pomówić?

Margot udaje, że jest zajęta liczeniem sztućców.

– Jasne, tato, co tam?

Tata zerka na mnie, a ja spuszczam wzrok na pomidory. Zostanę jako wsparcie moralne.

– Wolałbym, żeby Ravi spał w pokoju gościnnym.

Margot przygryza wargę.

– Czemu?

Następuje niezręczna cisza, po czym tata mówi:

– Czuję się niekomfortowo…

– Ale tato, jesteśmy na studiach… Zdajesz sobie sprawę, że już spaliśmy razem, prawda?

– Tak podejrzewałem, ale dziękuję za potwierdzenie – rzuca oschle tata.

– Mam prawie dwadzieścia jeden lat. Od niemal dwóch lat mieszkam tysiące kilometrów od domu.

Margot patrzy na mnie, a ja cała się kulę. Powinnam była wyjść, póki była na to pora.

– Lara Jean i ja nie jesteśmy już małymi dziećmi…

– Ej, nie wciągaj mnie w to – mówię najbardziej żartobliwym tonem, na jaki mnie stać.

Tata wzdycha.

– Margot, jeśli się uprzesz, nie zamierzam cię powstrzymywać. Ale pozwól, że ci przypomnę, że to wciąż mój dom.

– Myślałam, że to *nasz* dom.

Wie, że wygrała bitwę, więc rzuca to tonem lekkim jak beza.

– Wy, pasożyty, nie spłacacie rat kredytu, więc chyba jest trochę bardziej mój.

I z tym ojcowskim żartem na ustach wkłada rękawice kuchenne i wyjmuje z piekarnika skwierczącego kurczaka.

Kiedy siadamy do kolacji, tata staje u szczytu stołu i kroi kurczaka nowiutkim bajeranckim nożem elektrycznym, który pani Rothschild sprawiła mu na urodziny.

– Ravi, ciemne mięso czy białe?

Ravi odchrząkuje.

– Hmm, bardzo mi przykro, ale ja w zasadzie nie jadam mięsa.

Tata posyła Margot pełne grozy spojrzenie.

– Margot, nie mówiłaś, że Ravi jest wegetarianinem!

– Przepraszam – odpowiada, krzywiąc się. – Kompletnie zapomniałam. Ale Ravi uwielbia sałatę!

– To prawda – zapewnia tatę Ravi.

– To ja zjem porcję Raviego – proponuję. – Poproszę dwa udka.

Tata odcina je dla mnie.

– Ravi, jutro rano zrobię dla ciebie wyśmienitą śniadaniową enchiladę. Bez mięsa!

– Jutro wcześnie rano jedziemy do Waszyngtonu. Może w dniu wyjazdu? – mówi z uśmiechem Margot.

– Umowa stoi – odpowiada tata.

Kitty jest nienaturalnie uległa. Nie jestem pewna, czy to stres, że chłopiec, którego nie zna, siedzi przy naszym stole, czy to dlatego, że dorasta i już nie zawiera znajomości w dziecięcy sposób. Chociaż chyba dwudziestojednolatek to już raczej młody mężczyzna.

Ravi ma świetne maniery – pewnie dlatego, że jest Anglikiem, a czy Anglicy nie są lepiej wychowani od Amerykanów? Często przeprasza. „Przepraszam, czy mógłbym tylko…”, „Przepraszam?”. Ma czarujący akcent, więc ciągle udaję, że nie zrozumiałam, żeby mówił więcej.

Usiłuję rozluźnić atmosferę pytaniami na temat Anglii. Pytam, czemu Anglicy nazywają

szkoły prywatne publicznymi, czy jego szkoła przypominała Hogwart, czy spotkał kiedyś kogoś z rodziny królewskiej. Jego odpowiedzi to: bo są dostępne publicznie dla tych, którzy zapłacą; byli prefekci, ale nie było quidditcha; raz widział księcia Williama podczas Wimbledonu, ale tylko tył jego głowy.

Po kolacji Ravi, Margot, Peter i ja mamy iść do kina. Margot zaprasza Kitty, żeby się przyłączyła, ale ona odmawia, podając jako powód zadanie domowe. Chyba czuje się niepewnie w obecności Raviego.

Przygotowuję się u siebie w pokoju, wklepuję perfumy, odrobinę błyszczyka do ust, na koszulkę na ramiączkach zarzucam bluzę, bo w kinie robi się chłodno. Wkrótce jestem gotowa, ale drzwi Margot są zamknięte i słyszę, jak rozmawiają za nimi cicho, ale gorączkowo. Dziwnie tak widzieć zamknięte drzwi do jej pokoju. Stojąc pod nimi, czuję się jak szpieg, ale to niezręczna sytuacja, bo kto wie, czy Ravi ma na sobie koszulę czy nie. Te zamknięte drzwi i przyciszone głosy są takie dorosłe.

Odchrząkuję głośno i mówię przez drzwi:

– Gotowi? Powiedziałam Peterowi, że spotkamy się o ósmej.

Margot otwiera.

– Gotowi – mówi, ale nie wygląda na zadowoloną.

Ravi staje za nią, trzymając w ręce walizkę.

– Zostawię ją w pokoju gościnnym, a potem mogę iść – mówi.

Kiedy znika, szepczę do Margot:

– Czy coś się stało?

– Ravi nie chce robić na tacie złego wrażenia i spać ze mną w jednym pokoju. Powiedziałam mu, że to nic takiego, ale on nie czuje się swobodnie.

– To bardzo taktowne z jego strony.

Nie powiedziałabym tego Margot, ale to naprawdę dobre posunięcie. Ravi wciąż zyskuje w moich oczach.

– Jest bardzo taktownym chłopakiem – zgadza się niechętnie.

– I bardzo przystojnym.

Na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

– No właśnie.

Kiedy docieramy na miejsce, Peter już czeka na nas w kinie, na pewno z powodu Margot. Nie ma problemu, żeby spóźnić się na spotkanie ze mną, ale nie ośmieliłby się zrobić tego mojej siostrze. Ravi kupuje bilety dla całej naszej czwórki, co robi duże wrażenie na Peterze.

– Stylowe posunięcie – szepcze mi do ucha, kiedy zajmujemy miejsca.

Peter tak zręcznie manewruje, żebyśmy siedzieli: ja, Peter, Ravi, Margot i żeby on mógł pogadać z Ravim o piłce nożnej. Albo futbolu, jak nazywa to Ravi. Margot posyła mi rozbawione spojrzenie ponad ich głowami i widzę, że wcześniejsza przykrość poszła w niepamięć.

Po filmie Peter proponuje, żebyśmy poszli na mrożony jogurt.

– Próbowałeś już kiedyś mrożonego jogurtu? – pyta Raviego.

– Nigdy – odpowiada Ravi.

– Jest pyszny, Rav – mówi. – Domowej roboty.

– Wspaniale – cieszy się Ravi.

Kiedy chłopcy stoją w kolejce, Margot odzywa się do mnie:

– Myślę, że Peter jest zakochany… w moim chłopaku. – Na co obie chichoczemy.

Jeszcze wciąż się śmiejemy, gdy oni wracają do stolika. Peter podaje mi porcję o smaku pralinkowo-śmietankowym.

– Co was tak rozbawiło?

Kręcę tylko głową i zanurzam łyżeczkę w jogurcie.

Margot mówi:

– Chwila, musimy wznieść toast na cześć mojej siostry, która dostała się do Wilhelma i Marii!

Mój uśmiech sprawia wrażenie zmrożonego, kiedy tak wszyscy stukają swoimi kubeczkami o mój.

Ravi mówi:

– Brawo, Laro Jean. Czy nie uczył się tam Jon Stewart?

– Owszem. Nietypowa ciekawostka.

– Ravi specjalizuje się w nietypowych ciekawostkach – mówi Margot, oblizując łyżeczkę. – Lepiej nie pytaj go o zwyczaje godowe bonobo.

– Dwa słowa – mówi Ravi, po czym patrzy na Petera, na mnie i szepcze: − Szermierka penisami.

Margot jest przy Ravim bardzo ożywiona. Kiedyś sądziłam, że to z Joshem są sobie pisani, ale teraz już nie byłabym taka pewna. Kiedy z Ravim rozprawiają o polityce, oboje są równie zaangażowani, przerzucają się argumentami, zmuszając się wzajemnie do myślenia, ale przyznając też czasem rację. Są jak dwa iskrzące krzemienie. Gdyby byli postaciami z serialu, widziałabym ich jako dwoje konkurujących ze sobą młodych lekarzy w szpitalu, którzy z początku niechętnie szanują się nawzajem, a potem szaleńczo się w sobie zakochują. Albo dwoje doradców politycznych w Białym Domu, albo dwoje dziennikarzy. Ravi studiuje biotechnologię, która nie ma zbyt wiele wspólnego z antropologią Margot, ale tworzą zgrany duet.

Nazajutrz Margot zabiera Raviego do Waszyngtonu, gdzie odwiedzają kilka muzeów i pomnik Lincolna na terenie National Mall oraz Biały Dom. Spytali mnie i Kitty, czy nie chcemy pojechać z nimi, ale ja odmówiłam w imieniu nas obu, bo byłam przekonana, że mają ochotę pobyć sami, a poza tym chciałam posiedzieć sobie spokojnie w domu i popracować nad scrapbookiem dla Petera. Kiedy wieczorem wracają, pytam Raviego, co najbardziej podobało mu się w Waszyngtonie, a on odpowiada, że zdecydowanie Narodowe Muzeum Historii i Kultury Afroamerykańskiej, przez co żałuję, że nie pojechałam, bo jeszcze w nim nie byłam.

Włączamy na Netflixie program BBC, który Margot tak zachwalała, a ponieważ kręcono go w pobliżu miejsca, gdzie dorastał Ravi, pokazuje nam ważne punkty, jak miejsce pierwszej pracy czy pierwszej randki. Jemy lody prosto z pudełek i widzę, że tata polubił Raviego, bo zachęca go, żeby brał więcej. Na pewno zauważył, że Ravi nocuje w pokoju gościnnym i jestem przekonana, że docenia ten gest. Mam nadzieję, że Ravi i Margot będą się dalej spotykać, bo widzę dla niego dożywotnie miejsce w naszej rodzinie. A przynajmniej na tak długo, żebyśmy mogły pojechać z Margot do Londynu i zatrzymać się w jego domu!

Następnego dnia po południu Ravi musi lecieć do Teksasu i chociaż szkoda, że wyjeżdża, to trochę się cieszę, bo będziemy mieć Margot tylko dla siebie, dopóki znów nas nie opuści.

Podczas pożegnania celuję w niego palcem i mówię:

– Hufflepuff.

Uśmiecha się szeroko.

– Za pierwszym razem.

Potem on pokazuje na mnie.

– Hufflepuff?

Też się uśmiecham.

– Za pierwszym razem.

Tego wieczoru siedzimy w moim pokoju i oglądamy serial na laptopie, kiedy Margot

porusza temat studiów – przez co wiem, że w jakimś sensie też czekała na wyjazd Raviego, żeby móc pogadać ze mną o ważnych sprawach. Przed załadowaniem kolejnego odcinka odwraca się do mnie i mówi:

– Możemy porozmawiać o UW? Jak się teraz czujesz?

– Było mi przykro, ale jest w porządku. I tak mam zamiar tam pójść. – Margot patrzy na mnie pytająco, więc wyjaśniam: − Zamierzam się przenieść po pierwszym roku. Rozmawiałam z panią Duvall, która powiedziała, że jeśli będę miała dobre stopnie w Wilhelmie i Marii, to na pewno dostanę się z przeniesienia.

Margot marszczy czoło.

– Czemu mówisz o przenoszeniu się z Wilhelma i Marii, skoro jeszcze nie zaczęłaś tam studiować? – Ponieważ nie odpowiadam od razu, pyta: − Czy chodzi o Petera?

– Nie! To znaczy po części tak, ale nie tylko. – Waham się, czy powiedzieć coś, czego nigdy nie mówiłam głośno. – Znasz to uczucie, że gdzieś jest twoje miejsce? Kiedy odwiedzałam Wilhelma i Marię, nic takiego nie poczułam. A na UW tak.

– Może żadna szkoła nie da ci takiego odczucia jak UW – mówi Margot.

– Możliwe… i właśnie dlatego zamierzam się za rok przenieść.

Wzdycha.

– Nie chcę tylko, żebyś nie angażowała się w życie w Wilhelmie i Marii, bo skupisz się na marzeniu, żeby być z Peterem na UW. Pierwszy rok jest bardzo ważny. Powinnaś przynajmniej dać tamtej uczelni szansę, Laro Jean. Może ci się naprawdę spodobać. – Patrzy na mnie znacząco. – Pamiętasz, co mama mówiła na temat studiów i chłopaków?

Jak mogłabym zapomnieć?

„Nie idź na studia, mając chłopaka”.

– Pamiętam – mówię.

Margot bierze mój laptop i otwiera stronę Wilhelma i Marii.

– Kampus jest śliczny. Patrz na ten wiatrowskaz! Wygląda jak wyjęty z angielskiej prowincji.

Ożywiam się.

– Rzeczywiście, trochę tak wygląda.

Czy jest równie ładny jak kampus UW? Nie, nie dla mnie, ale z drugiej strony nigdzie nie jest tak ładnie jak w Charlottesville.

– I spójrz, Wilhelm i Maria ma klub guacamole. I klub łowców burz. I, o matko! Coś o nazwie klub czarodziei i mugoli! Największy klub studencki związany z Harrym Potterem w całych Stanach.

– Wow! To naprawdę coś. A mają klub cukierniczy?

Sprawdza.

– Nie. Ale możesz go założyć!

– Może… Byłoby fajnie… − Może *powinnam* przyłączyć się do jakiegoś klubu.

Patrzy na mnie rozpromieniona.

– Widzisz? Masz się na co cieszyć. I nie zapominaj o Ser-duszku.

Ser-duszko to sklepik koło kampusu specjalizujący się w serach, rzecz jasna, ale też ekskluzywnych dżemach, pieczywie, winie i spaghetti dla smakoszy. Przyrządzają naprawdę doskonałe kanapki z pieczoną wołowiną i sosem własnej roboty – majonezową musztardą – które próbowałam skopiować w domu, ale nic nie smakuje tak dobrze, jak w tym sklepiku na ich świeżym chlebie. Tata uwielbia wpadać do Ser-duszka po nowe musztardy i kanapki. Będzie zadowolony, że ma powód, by tam zajrzeć. A Kitty uwielbia centrum outletowe w Williamsburgu. Mają tam słodko-słony popcorn, który porządnie uzależnia. Robią go na

oczach klienta, więc jest tak gorący, że aż lekko topi się od niego opakowanie.

– Może mogłabym znaleźć pracę w skansenie Colonial Williamsburg – mówię, próbując się wczuć. – Mogłabym ubijać masło. W stroju z epoki. Perkalowej sukni z fartuchem czy co tam nosili w czasach kolonialnych. Słyszałam, że nie wolno im nawet rozmawiać we współczesnym języku, a dzieciaki bez przerwy usiłują ich jakoś podejść. Mogłoby być zabawnie. Nie wiem tylko, czy zatrudniają Azjatów z powodu historycznej wiarygodności…

– Laro Jean, żyjemy w czasach *Hamiltona*! Phillipa Soo jest pół-Chinką, zapomniałaś? Skoro ona może grać Elizę Hamilton, ty możesz ubijać masło. A jeśli nie będą cię chcieli zatrudnić, opiszemy to w mediach społecznościowych i zmusimy ich do zmiany zdania. – Margot przechyla głowę i na mnie patrzy. – Widzisz! Masz się czym ekscytować, o ile sobie na to pozwolisz. – Kładzie mi dłonie na ramionach.

– Staram się – mówię. – Naprawdę się staram.

– Daj Wilhelmowi i Marii szansę. Nie odrzucaj uczelni, zanim nie przekonasz się, jak tam jest. Dobrze?

Kiwam głową.

– Dobrze.

12

Następnego ranka na dworze jest szaro i deszczowo i zostałyśmy z dziewczynami same we trójkę. Tata przyczepił dla nas na lodówce wiadomość, że wezwano go do szpitala i zobaczymy się wieczorem na kolacji. Margot wciąż nie może przywyknąć do zmiany strefy czasowej, więc wstała wcześnie i przygotowała jajecznicę na bekonie. Obkładam hojnie jajecznicą maślany tost, słuchając stukotu deszczu o dach, i nagle mówię:

– A co, gdybym nie poszła dziś do szkoły i zrobiłybyśmy coś fajnego?

Kitty się ożywia.

– Na przykład co?

– Ty nie. Ty i tak musisz iść na lekcje. Ja już w zasadzie skończyłam. Nikogo moja obecność już nie obchodzi.

– Sądzę, że obchodzi tatę – mówi Margot.

– Ale gdybyśmy mogły zrobić, co tylko chcemy… to co byśmy zrobiły?

– Co tylko chcemy? – Margot gryzie swój bekon. – Pojechałybyśmy pociągiem do Nowego Jorku, wzięły udział w loterii *Hamiltona* i wygrały.

– Nie możecie pojechać beze mnie – mówi Kitty.

– Bądź cicho – mówię, chichocząc.

Rzuca mi gniewne spojrzenie.

– Nie mów tak do mnie.

– Nie wiesz w ogóle, o czym mówimy, więc się uspokój.

– Wiem, że chichoczesz jak czarownica. Wiem też o *Hamiltonie*, bo całymi dniami puszczasz ścieżkę dźwiękową.

– To nagranie piosenek z musicalu, nie ścieżka dźwiękowa – mówię, a ona ostentacyjnie przewraca oczami.

Prawdę mówiąc, jak już, to Kitty jest Jeffersonem. Przebiegła, stylowa, szybka w ripoście. Margot to bez dwóch zdań Angelica. Od wczesnej młodości jest sobie sama sterem, żeglarzem, okrętem. Zawsze wiedziała, kim jest i czego chce. Ja przypominam chyba Elizę, chociaż wolałabym być Angelicą. A tak naprawdę to jestem pewnie And Peggy. Ale nie chcę być And Peggy własnej historii. Chcę być Hamiltonem.

Pada cały dzień. Po powrocie ze szkoły od razu przebieramy się z Kitty w piżamy. Margot swojej w ogóle nie zdjęła. Założyła okulary, włosy ma związane na czubku głowy (są zbyt krótkie, żeby się tam trzymały), Kitty ma na sobie obszerny podkoszulek, a ja cieszę się, że jest wystarczająco zimno, żebym mogła włożyć piżamę z czerwonej flaneli. Tylko tata wciąż ma na sobie zwykły strój.

Tego wieczoru zamawiamy dwie wielkie pizze, z samym serem (dla Kitty) i supreme z mnóstwem dodatków. Siedzimy na kanapie w salonie, pochłaniając ciągnące się kawałki pizzy, kiedy tata mówi nagle:

– Dziewczynki, chciałbym z wami o czymś porozmawiać.

Odchrząkuje, jak zawsze, kiedy jest zdenerwowany. Wymieniamy z Kitty zaciekawione spojrzenia, a tata wyrzuca z siebie:

– Chcę poprosić Trinę o rękę.

Zakrywam dłońmi usta.

– Nie wierzę!

Kitty oczy wychodzą z orbit, szczęka jej opada, a potem, odrzuciwszy kawałek pizzy na

bok, Kitty wydaje z siebie okrzyk tak głośny, że Jamie Fox-Pickle aż podskakuje. Kitty rzuca się na tatę, on się śmieje. Ja podskakuję i przytulam się do jego pleców.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Dopóki nie spojrzę na Margot, której twarz pozostaje całkowicie bez wyrazu. Tata też na nią patrzy spojrzeniem pełnym nadziei i niepokoju.

– Margot? Jesteś tam? Co myślisz, kochanie?

– Myślę, że to fantastycznie.

– Naprawdę?

Przytakuje.

– Na-najprawdziwszą-prawdę. Uważam, że Trina jest świetna. A ty, Kitty, ją uwielbiasz, prawda?

Kitty jest zbyt zajęta piszczeniem i kotłowaniem się z Jamiem na kanapie, żeby odpowiedzieć. Margot mówi cicho:

– Cieszę się, tato. Naprawdę.

„Najprawdziwsza prawda" ją zdradza. Tata jest zbyt zajęty odczuwaniem ulgi, żeby to zauważyć, ale ja widzę. To dla niej z oczywistych powodów dziwna sytuacja. Jeszcze nie przywykła do widoku pani Rothschild w naszej kuchni. Nie miała okazji się przekonać, na ilu płaszczyznach pani Rothschild i tata do siebie pasują. Dla Margot to wciąż nasza sąsiadka, która miała zwyczaj kosić trawnik w ultrakrótkich szortach frotté i staniku od bikini.

– Potrzebuję waszej pomocy w kwestii oświadczyn – mówi tata. – Laro Jean, na pewno masz dla mnie jakieś pomysły, prawda?

– O, tak. Tyle było zaproszeń na bal maturalny, więc mam z czego czerpać inspiracje – mówię śmiało.

Margot odwraca się do mnie i wybucha śmiechem, który brzmi prawie szczerze.

– Tata z pewnością myśli o czymś bardziej wyrafinowanym niż „Wyjdziesz za mnie" wypisane kremem do golenia na masce czyjegoś samochodu, Laro Jean.

– Zaproszenia na bal nabrały znacznie większego rozmachu niż za twoich czasów, Gogo – mówię.

Podejmuję ton, droczę się z nią, żeby mogła odzyskać równowagę po sensacji, jaką zafundował nam tata.

– Za *moich* czasów? Jestem od ciebie starsza tylko o dwa lata. – Stara się mówić lekkim tonem, ale słyszę w nim napięcie.

– Dwa lata w liceum to jak dwa lata z życia psa. Racja, Kitty? – Przyciągam ją do siebie i mocno przytulam. Ona się wyrywa.

– Tak, obie jesteście przedpotopowe – mówi Kitty. – Mogę wziąć udział w oświadczynach, tato?

– Oczywiście. Jak miałbym wziąć ślub bez was. – Wygląda, jakby miał się rozpłakać. – Jesteśmy jedną drużyną, prawda?

Kitty podskakuje jak małe dziecko.

– Super! – cieszy się.

Jest wniebowzięta i Margot też dostrzega, jakie to dla niej ważne.

– Kiedy zamierzasz się oświadczyć? – pyta Margot.

– Dziś wieczorem! – wtrąca się Kitty.

Piorunuję ją wzrokiem.

– Nie! To za mało czasu, żeby wymyślić idealny sposób. Potrzebujemy co najmniej tygodnia. Poza tym nie masz pierścionka. Chwila, może masz?

Tata zdejmuje okulary i ociera oczy.

– Jasne, że nie. Chciałem zaczekać i najpierw z wami porozmawiać. Chcę, żebyście

wszystkie uczestniczyły w oświadczynach, więc zrobię to, kiedy wrócisz na wakacje, Margot.

– To za długo – protestuje Kitty.

– To prawda, nie czekaj tak długo, tato – mówi Margot.

– W takim razie musisz przynajmniej pomóc mi wybrać pierścionek – mówi tata.

– Lara Jean ma do takich spraw lepsze oko – odpowiada łagodnie Margot. – Poza tym ja ledwie znam panią Rothschild. Nie mogę nawet domniemywać, jaki pierścionek by się jej spodobał.

Przez twarz taty przebiega cień. Pojawia się na niej z powodu słów „ledwie znam panią Rothschild".

Przybieram pospiesznie najlepszy głos Hermiony, na jaki mnie stać.

– „Nie możesz domniemywać"? – żartuję. – PS, a pamiętasz, że wciąż jesteś Amerykanką, Gogo? W Stanach nie używamy tak wysublimowanego języka.

Śmieje się. Wszyscy się śmiejemy. A potem, chyba dlatego, że też dostrzegła ten przelotny cień, mówi:

– Zróbcie mnóstwo zdjęć, żebym je mogła obejrzeć.

– Zrobimy. Nagramy film, jakkolwiek będą wyglądały te oświadczyny. Boże, mam nadzieję, że powie „tak"!

– Jasne, że powie „tak" – mówimy jednogłośnie.

Owijamy z Margot kawałki pizzy w folię spożywczą, a następnie podwójnie w folię aluminiową.

– Mówiłam, że dwie pizze to za dużo – zauważa.

– Kitty zje resztę po szkole z Peterem – mówię.

Zerkam w stronę salonu, gdzie Kitty i tata siedzą przytuleni na kanapie i oglądają telewizję. A potem szepczę:

– Co naprawdę myślisz o tym, że tata poprosi panią Rothschild o rękę?

– Uważam, że to kompletny odpał – szepcze w odpowiedzi. – Przecież ona mieszka naprzeciwko, na litość boską. Mogliby po prostu się spotykać jak dwoje dorosłych ludzi. Po co im *ślub*?

– Może chcą, żeby wszystko było oficjalne. A może dla Kitty.

– Przecież spotykają się od niedawna! Jak długo, pół roku?

– Trochę dłużej. Ale Gogo, oni znają się od lat.

Układa owinięte kawałki pizzy w stosik i mówi:

– Wyobrażasz sobie, jak będzie dziwnie, kiedy tu zamieszka?

Zatrzymuję się na tym pytaniu. Pani Rothschild *bywa* u nas często, ale to nie to samo, co mieszkanie na stałe. Ma własne przyzwyczajenia, podobnie jak my. Na przykład nosi buty po domu, ale my tak nie robimy, więc je zdejmuje, kiedy nas odwiedza. Uświadamiam sobie, że nigdy tu nawet nie nocowała, zawsze wraca przed ranem do siebie. Więc może być trochę niezręcznie. Poza tym przechowuje chleb w lodówce, czego nie cierpię, i szczerze mówiąc, jej pies Simone strasznie się leni i zdarza mu się siusiać na dywan. Rzecz jednak w tym, że skoro nie idę na UW, to już mnie tu nie będzie, będę na studiach.

– Ale żadna z nas nie będzie tu mieszkać na stałe – mówię wreszcie. – Tylko Kitty, a Kitty jest totalnie szczęśliwa.

Margot nie odpowiada od razu.

– Tak, wygląda na to, że są zżyte. – Podchodzi do lodówki, robi miejsce na pizzę i odwrócona do mnie plecami mówi: − Nie zapominaj, że przed moim wyjazdem musimy pójść kupić ci sukienkę na bal.

– Ooo, dobra!

Mam wrażenie, jakbyśmy dopiero co kupowały sukienkę na bal Margot, a już nadeszła moja kolej.

Tata, który niepostrzeżenie pojawił się w kuchni, włącza się:

– A może Trina mogłaby się przyłączyć?

Rzuca mi pełne nadziei spojrzenie. To nie na mnie powinien patrzeć. Ja już kocham panią Rothschild. Teraz musi przekonać Margot.

Zerkam na siostrę, która patrzy na mnie w panice.

– Hmm… − mówię. – Myślę, że tym razem to powinna być misja dziewczyn Song.

Tata kiwa głową ze zrozumieniem.

– Aa. Łapię. – A potem zwraca się do Margot: − Czy moglibyśmy, zanim wyjedziesz, spędzić trochę czasu we dwoje, jak ojciec z córką? Może jakaś przejażdżka rowerowa?

– Brzmi świetnie – mówi.

Kiedy tata się odwraca, Margot mówi bezgłośnie: „Dziękuję". Czuję się nielojalna względem pani Rothschild, ale Margot to moja siostra. Muszę stawać po jej stronie.

Margot ma chyba wyrzuty sumienia, że nie dopuściła pani Rothschild do wyprawy po suknię, bo usiłuje zrobić z tego wielkie wydarzenie. Kiedy następnego dnia po szkole wchodzimy do centrum handlowego, oznajmia, że każda z nas wybierze dwie sukienki, a ja będę musiała je wszystkie przymierzyć, choćby nie wiem co, a potem je ocenimy. Wydrukowała nawet emotikony z kciukiem do góry i w dół i przytwierdziła do patyków, żebyśmy mogły ich używać.

W przymierzalni jest mało miejsca i wszędzie wiszą sukienki. Margot przydziela Kitty zadanie odwieszania i układania, ale ta już je porzuciła na rzecz grania w Candy Crush na telefonie Margot.

Margot podaje mi na początek jedną ze swoich propozycji: zwiewna czarna sukienka z motylkowymi rękawami.

– Mogłabyś do niej upiąć włosy.

Nie podnosząc wzroku, Kitty mówi:

– Ja bym wybrała plażowe fale.

Margot wykrzywia się do niej w lustrze.

– Ale czy naprawdę pasuje do mnie czerń? – zastanawiam się.

– Powinnaś nosić ją częściej – mówi Margot. – Naprawdę dobrze w niej wyglądasz.

Kitty skubie strupek na nodze.

– Kiedy ja pójdę na bal, włożę obcisłą sukienkę ze skóry – mówi.

– W maju w Wirginii bywa gorąco – mówię, a Margot mnie dopina. – Ale mogłabyś włożyć taką na zjazd absolwentów, bo odbywa się w październiku.

Przyglądamy się mojemu odbiciu w lustrze. Sukienka jest za szeroka u góry, a czerń sprawia, że przypominam wiedźmę, ale taką w niedopasowanej kreacji.

– Do tej sukienki potrzebujesz większego biustu – mówi Kitty i podnosi znak z kciukiem w dół.

Posyłam jej w lustrze wkurzone spojrzenie. Ale ma rację.

– Tak, chyba masz rację.

– Czy mama miała duży biust? – pyta nagle Kitty.

– Hmm. Raczej należał do tych mniejszych – odpowiada Margot. – Jakieś A?

– A ty jaki nosisz? – pyta.

– B.

– Lara Jean ma małe jak mama – stwierdza Kitty, przyglądając mi się.

– Ej, mam prawie B! – protestuję. – Duże A. Prawie B. Niech ktoś to rozepnie.

– Tree ma duży biust – mówi Kitty.

– Prawdziwy? – pyta Margot, zsuwając zamek w dół.

Wychodzę z sukienki i podaję ją Kitty do odwieszenia.

– Chyba tak.

– Jest prawdziwy. Widziałam ją w bikini i kiedy się kładzie, to się rozpłaszcza, po tym można poznać. Sztuczny zostaje w miejscu, jak dwie gałki lodów. – Kitty znów bierze telefon Margot. – A poza tym pytałam.

– Wątpię, żeby się przyznała – kwituje Margot.

Kitty marszczy brwi.

– Tree mnie nie okłamuje.

– Nie mówię, że by skłamała. Mówię, że mogłaby chcieć zachować dla siebie informacje o operacji plastycznej! Do czego ma prawo!

Kitty wzrusza obojętnie ramionami.

Szybko wkładam kolejną sukienkę, żeby odwrócić uwagę od tematu piersi pani Rothschild.

– A o tej co myślicie?

Obie kręcą głowami i równocześnie sięgają po znaczki z kciukami w dół. Przynajmniej w kwestii niechęci do mojej kiecki są jednomyślne.

– Gdzie są te wybrane przeze mnie? Przymierz teraz moją. – Kitty wybrała superobcisłą białą sukienkę bez ramion, której nigdy w życiu bym nie włożyła i ona o tym doskonale wie. – Chcę cię w niej tylko zobaczyć.

Przymierzam ją dla świętego spokoju, a Kitty upiera się, że to najlepsza sukienka ze wszystkich, bo chce, żeby to jej propozycja wygrała. Ostatecznie żadna z sukienek nie jest w moim stylu, ale nie przejmuję się tym. Do balu został ponad miesiąc, a ja chcę przeczesać second-handy, zanim zdecyduję się na coś ze sklepu. Podoba mi się myśl o nienowej sukience, takiej, która już była w różnych miejscach, wiele widziała, sukience, którą dziewczyna taka jak Stormy mogła włożyć na potańcówkę.

Kiedy nazajutrz rano Margot wylatuje do Szkocji, każe mi obiecać, że wyślę jej zdjęcia potencjalnych sukienek, żeby mogła się wypowiedzieć. Nie odzywa się już ani słowem na temat pani Rothschild, ale czemu miałaby to robić, skoro to nie w jej stylu.

13

Bal maturalny moim zdaniem bardzo przypomina sylwestra – mówi Lucas.

Siedzimy z nim i Chris w gabinecie pielęgniarki, bo poszła na lunch i nie przeszkadza jej, że leżymy na jej kozetce. Ponieważ kończymy już ostatni rok, wszyscy mają dość wielkoduszne nastroje.

– Sylwester jest dla dzieciuchów – rzuca szyderczo Chris, skubiąc paznokcie.

– Pozwolisz mi dokończyć? – Lucas wzdycha i zaczyna od nowa. – Jak już *mówiłem*, bal ugina się pod ciężarem wszystkich nadziei, jakie w nim pokładasz. Jeden doskonały szkolny wieczór, który ponoć ma przeżyć każdy amerykański nastolatek. Inwestujesz w to czas i pieniądze i czujesz się w obowiązku… nie, czujesz, że *należy ci się* fantastyczna noc. Co dałoby w ogóle radę doskoczyć do wyobrażeń pod taką presją?

Myślę, że doskonały szkolny wieczór skończy jako przypadkowy, nic nieznaczący moment, którego się nie zaplanowało ani nie spodziewało. Po prostu się wydarzył. Myślę, że ja już przeżyłam jakiś tuzin doskonałych szkolnych wieczorów z Peterem, więc nie czuję potrzeby, żeby bal był niezwykły. Kiedy wyobrażam sobie wieczór balu, widzę Petera w smokingu, jest uprzejmy wobec taty, a Kitty przypina mu bukiecik. Wszyscy robimy sobie zdjęcie przy kominku. Zapamiętuję, żeby poprosić Petera o dodatkowy bukiecik dla małej.

– Czy to znaczy, że się nie wybierasz? – pytam Lucasa.

Znów wzdycha.

– Nie wiem. Nie ma tu nikogo, z kim w ogóle chciałbym iść.

– Gdybym nie szła z Peterem, tobym cię zaprosiła – mówię, a potem patrzę na Lucasa i Chris. – A czemu nie pójdziecie razem?

– Nie idę na bal – mówi Chris. – Pewnie pojadę na clubbing w Waszyngtonie z ludźmi z Applebee's.

– Chris, nie możesz nie iść na bal. Do klubu z przyjaciółmi z Applebee's możesz pójść w dowolnym momencie. A bal mamy tylko jeden.

Dzień po balu mam urodziny i czuję się lekko dotknięta, że Chris najwyraźniej o nich zapomniała. Jeśli jedzie clubbingować w Waszyngtonie, to pewnie zostanie tam na cały weekend i nawet się z nią nie zobaczę we własne urodziny.

– Bal będzie obciachowy. Bez urazy. To znaczy nie wątpię, że ty, Laro Jean, będziesz się dobrze bawiła. Idziesz tam z królem balu. I z tą laseczką, z którą się teraz przyjaźnisz, jak ona się tam zwie? Tammy?

– Pammy – poprawiam ją. – Ale bez ciebie nie będzie fajnie.

Obejmuje mnie ramieniem.

– Oooo.

– Zawsze mówiłyśmy, że na bal pójdziemy razem i będziemy oglądać słońce wschodzące nad boiskiem podstawówki!

– Możesz je obejrzeć z Kavinskym.

– Ale to nie to samo!

– Uspokój się – mówi Chris. – Pewnie tego wieczoru i tak stracisz swoje DZ, więc moje towarzystwo będzie ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślisz.

– Nie zamierzałam uprawiać seksu w noc balu! – syczę.

Gwałtownie przenoszę wzrok na Lucasa, który wytrzeszcza oczy ze zdumienia.

– Laro Jean… wy jeszcze nie uprawialiście z Kavinskym seksu?

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy na korytarzu nie ma nikogo, kto by słuchał.

– Nie, ale proszę, nie mówcie o tym nikomu. Nie żebym się tego wstydziła czy coś. Nie chcę tylko, żeby ludzie wiedzieli o moich sprawach osobistych.

– Rozumiem, jasne, ale wow – mówi w szoku. – To… wow.

– Czemu to takie wow? – pytam go i czuję, że moje policzki robią się gorące.

– Jest taki… seksowny.

Śmieję się.

− To prawda.

– Istnieje powód, dla którego seks na balu to norma – mówi Chris. – To znaczy tak, to tradycja, ale też dlatego, że wszyscy są wystrojeni, można się bawić całą noc… Większość z tych ludzi nigdy nie będzie wyglądała tak dobrze, jak w wieczór balu, w kwestii odstrzelenia się, i to jest przykre. Te wszystkie lemingi robiące sobie manikiury i pedikiury, i fryzury. Takie prostackie.

– A ty się nie czeszesz? – pyta Lucas.

Chris przewraca oczami.

– Oczywiście, że tak.

– To czemu oceniasz innych ludzi za…

– Słuchaj, nie o to mi chodzi. Chodzi o to… − Marszczy brwi. – Chwila, o czym rozmawialiśmy?

– Fryzury, manikiury, lemingi? – przypomina Lucas.

– Przedtem.

– Seks? – podsuwam.

– Racja! Chodzi mi o to, że utrata dziewictwa w wieczór balu to utarty schemat, ale schematy są schematami nie bez przyczyny. Jest w nich element praktyczny. Możesz być całą noc poza domem, wyglądasz świetnie et cetera, et cetera. To jest po prostu sensowne.

– Nie mam zamiaru uprawiać po raz pierwszy seksu, bo się przydarzyła sposobność, a moje włosy dobrze wyglądają, Chris.

– Czaję.

Nie jestem zupełnie pewna, ale wyobrażam sobie, że mój pierwszy raz odbędzie się już na studiach, w moim własnym pokoju i będę dorosła. Trudno mi sobie wyobrazić, że dzieje się to teraz, kiedy jestem Larą Jean, siostrą i córką. Na studiach będę po prostu Larą Jean.

14

Zapadła decyzja, że tata oświadczy się pani Rothschild w niedzielę po wycieczce na jeden z ich ulubionych szlaków. Zrobi to przy samym wodospadzie. Plan jest taki, że Peter, Kitty i ja schowamy się za drzewami i nagramy całe wydarzenie, po czym wyskoczymy z romantycznym koszem piknikowym. Tata denerwował się o tę część z nagraniem, na wypadek gdyby pani Rothschild nie powiedziała tak, ale Kitty go ubłagała.

– To dla Margot – powtarzała, choć tak naprawdę jest po prostu wścibska i chce zobaczyć, jak pójdzie.

Oczywiście ja też tego chcę. Peter dołączył dla jazdy, dosłownie. Zapewni nam transport.

Tego ranka, przed wyjściem po panią Rothschild tata mówi:

– Dziewczyny, gdyby nie zanosiło się na odpowiedź twierdzącą, możecie przerwać nagrywanie?

Ostrożnie zawijam kanapki z pieczoną wołowiną w woskowany papier. Podnoszę wzrok i mówię:

– Na pewno powie tak.

– Ale obiecaj mi, że w razie czego po cichu się wymkniecie – mówi.

Patrzy na Kitty znacząco.

– Stoi, doktorze Covey – mówi Peter, unosząc dłoń do przybicia piątki.

Przybijają, a ja mówię:

– Tato, spakowałeś pierścionek?

– Tak! – Marszczy brwi. – Chwila, spakowałem? – Klepie się po kieszeniach, odpina wewnętrzną kieszonkę wiatrówki. – Cholera, zapomniałem! – Po czym pędzi na górę.

Wymieniamy z Peterem spojrzenia.

– W życiu nie widziałem twojego taty tak spiętego – mówi, wrzucając sobie do ust winogrono. – Zwykle to niewzruszony zawodnik.

Klepnięciem odganiam rękę Petera od winogron.

Kitty podkrada jedno i mówi:

– Cały tydzień tak się zachowuje.

Tata zbiega ze schodów z pierścionkiem zaręczynowym. Pomogłyśmy mu z Kitty go wybrać. To pierścionek z białego złota wysadzany brylancikami z kwadratowym oczkiem z brylantu. Byłam pewna co do kształtu, a Kitty była pewna co do wysadzania.

Tata idzie po panią Rothschild, a ja kończę pakować kosz piknikowy. Cieszę się, że mam powód, żeby go wyjąć. Kupiłam go lata temu na wyprzedaży garażowej i ani razu nie użyłam. Pakuję butelkę szampana, piękną kiść winogron, kanapki, trójkąt brie, krakersy.

– Spakuj też butelkę wody – mówi Peter. – Będą odwodnieni po wycieczce.

– I pewnie od łez po tym, jak ona się już zgodzi – mówi Kitty.

– Czy powinniśmy puścić im jakąś muzykę, kiedy on uklęknie? – proponuje Peter.

– Nie rozmawialiśmy o tej części planu, a tata już i tak jest wystarczająco zestresowany – mówię. – Nie może myśleć o tym, jak kryjemy się w krzakach w oczekiwaniu na puszczenie muzyki w newralgicznym momencie. Będzie się czuł speszony.

– Poza tym muzykę możemy dodać w edycji – mówi Kitty. – Dialog musi być słyszalny.

Patrzę na nią.

– Katherine, to nie jest film. To prawdziwe życie.

Zostawiam ich i idę do łazienki na dole, myję ręce, zakręcam kran i wtedy słyszę, jak

Kitty mówi:

– Peter, kiedy Lara Jean wyjedzie, będziesz mnie czasem odwiedzał?

– Oczywiście.

– Nawet jeśli ze sobą zerwiecie?

Następuje cisza.

– Nie zerwiemy.

– Ale jeśli? – naciska.

– Nie zerwiemy.

Ignoruje go.

– Bo Josha już nie widujemy, a też powiedział, że będzie zaglądał.

Peter prycha.

– Żartujesz sobie? Myślisz, że jestem taki jak Sanderson? *Ja?* Jestem z zupełnie innej półki. Czuję się urażony, że w ogóle nas porównujesz.

Kitty śmieje się z ulgą, co brzmi bardziej jak westchnienie.

– Tak, masz rację.

– Wierz mi, mała. Łączy nas silna więź.

Kocham go za to tak bardzo, że mogłabym się rozpłakać. Będzie się dla mnie opiekował Kitty, wiem, że tak.

Tata powiedział nam, że dotrą do wodospadu koło południa, więc powinniśmy tam być jedenasta czterdzieści pięć, żeby zająć pozycje. Ostatecznie idziemy tam trochę wcześniej, tak dla bezpieczeństwa, na życzenie Kitty. Wybieramy kryjówkę w wystarczająco dużej odległości, żeby pani Rothschild nas nie dostrzegła, ale wystarczająco małej, żeby wszystko widzieć. Kitty i ja chowamy się za drzewem, a Peter kuca nieopodal z telefonem w dłoni, gotowy do nagrywania. To Kitty chciała się tym zająć, ale ja podejmuję arbitralną decyzję, że powinien nagrywać Peter, bo nie jest aż tak zaangażowany emocjonalnie w wydarzenie i ręce nie będą mu się trzęsły.

Tuż po dwunastej pojawiają się na szlaku. Pani Rothschild śmieje się z czegoś, a tata śmieje się mechanicznie z niezmiennym wyrazem napięcia na twarzy. Zabawnie tak patrzeć na ich relację, kiedy pani Rothschild nie wie, że ich obserwujemy. Kitty miała rację, to trochę przypomina film. Tata wygląda przy niej jakby młodziej – może to dlatego, że jest zakochany. Podchodzą do wodospadu, a pani Rothschild wzdycha ze szczęścia.

– Jak tu pięknie – mówi.

– Prawie nic nie słyszę – szepcze do mnie Kitty. – Wodospad jest strasznie głośny.

– Cii. Sama jesteś głośna.

– Zróbmy zdjęcie – mówi tata i przeszukuje kieszeń wiatrówki.

– Sądziłam, że sprzeciwiasz się selfie ze względów moralnych! – Śmieje się ona. – Zaczekaj, poprawię włosy na tę wiekopomną okazję.

Rozpuszcza włosy z kucyka i próbuje nadać im objętość. Potem wrzuca sobie do ust coś, co wygląda jak pastylka na gardło albo cukierek.

Tata tak długo zwleka, że przez moment obawiam się, że zapodział gdzieś pierścionek albo odwagę, ale potem klęka na jedno kolano. Odchrząkuje. Zaczyna się. Łapię Kitty za rękę i ściskam. Oczy jej błyszczą. Moje serce eksploduje z radości.

– Trino, nie spodziewałem się, że się jeszcze zakocham. Sądziłem, że wykorzystałem już swoją szansę i nie przeszkadzało mi to, bo mam córki. Nie zdawałem sobie sprawy, że czegoś mi brakuje. A wtedy pojawiłaś się ty.

Pani Rothschild zakrywa usta dłońmi. W oczach ma łzy.

– Chcę z tobą spędzić resztę swoich dni, Trino.

Pani Rothschild zaczyna dławić się cukierkiem, a tata podrywa się z kolan i klepie ją po

plecach. Ona kaszle jak szalona.

Zza drzewa Peter szepcze:

– Czy mam zastosować chwyt Heimlicha? Wiem, jak to się robi.

– Peter, mój tata jest lekarzem! – odpowiadam. – Da sobie radę.

Kiedy kaszel ustępuje, ona prostuje się i ociera oczy.

– Chwileczkę. Czy ty poprosiłeś mnie właśnie o rękę?

– Usiłowałem – mówi tata. – Żyjesz?

– Tak! – Pani Rothschild przykłada dłonie do policzków.

– Tak, żyjesz, czy tak, wyjdziesz za mnie? – pyta tata, tylko częściowo żartem.

– Tak, wyjdę za ciebie! – wykrzykuje ona, a tata bierze ją w objęcia i całuje.

– To trochę intymne – szepczę do Kitty.

– To część przedstawienia – odpowiada.

Tata podaje pani Rotschild pudełeczko z pierścionkiem. Nie słyszę, co mówi potem, ale cokolwiek to jest, rozbawia ją do rozpuku.

– Co on mówi? – pyta mnie Kitty w tej samej chwili, w której Peter pyta:

– Co on mówi?

– Nie słyszę! Bądźcie oboje cicho! Psujecie nagranie!

I właśnie wtedy pani Rothschild odwraca wzrok w naszym kierunku.

Kurczę.

Wszyscy padamy za drzewami, a potem słyszę, jak tata woła żartobliwie:

– Możecie już wyjść. Zgodziła się!

Wybiegamy zza drzew. Kitty rzuca się w ramiona pani Rothschild. Upadają na trawę, a pani Rothschild nie może złapać tchu ze śmiechu, który odbija się echem wśród lasu. Ściskam tatę, a tymczasem Peter wciąż nagrywa tę chwilę dla potomności, jak przystało na porządnego chłopaka, którym jest.

– Szczęśliwy? – pytam, podnosząc wzrok na tatę.

Do oczu napływają mu łzy, kiwa głową i mocniej mnie przytula.

I ot tak, nasza mała rodzinka się powiększa.

15

To pierwszy wieczór, który spędzamy wszyscy razem przy kolacji od czasu zaręczyn, i tata przygotowuje w kuchni sałatę. My, dziewczyny, siedzimy sobie w salonie. Kitty odrabia lekcje. Pani Rothschild popija białe wino. Wszyscy są odprężeni – doskonała pora, żebym poruszyła temat przygotowań do wesela. Ostatni tydzień poświęciłam na sporządzenie tablicy inspiracji do ślubu taty i pani Rothschild: ekranizacja *Dumy i uprzedzenia*, cała ściana w różach z budką fotograficzną w kąciku, *Przekleństwa niewinności*, kwietne ozdoby na stoły w butelkach po winie jako ukłon w stronę winiarni Charlottesville.

Kiedy przedstawiam na laptopie swoje pomysły, pani Rothschild wygląda na lekko zaniepokojoną. Odstawia kieliszek z winem i przygląda się bliżej ekranowi.

– To piękne, Laro Jean. Naprawdę urocze. Poświęciłaś na to mnóstwo czasu!

Tyle czasu, że aż opuściłam w tym tygodniu mecz Petera i wieczór filmowy u Pammy. Ale to ważna sprawa. Oczywiście nie mówię tego wszystkiego na głos. Uśmiecham się tylko łagodnie.

– Czy moja wizja jest zbieżna z tym, co sobie wyobrażałaś?

– Cóż… szczerze mówiąc, sądziliśmy chyba, że pójdziemy po prostu do sędziego. Sprzedaż mojego domu i wykombinowanie, jak miałabym upchnąć tu swoje graty, przyprawiają nas o wystarczający zawrót głowy.

Tata wyłania się z drewnianą miską sałaty w dłoniach. Mówi kpiarsko:

– A więc twierdzisz, że małżeństwo ze mną przyprawia cię o zawrót głowy?

Pani Rothschild przewraca oczami.

– Wiesz, co twierdzę, Dan! Ty też raczej nie masz czasu na planowanie wielkiego wesela. – Bierze łyk wina i zwraca się do mnie. – Dla nas obojga to nie pierwsze małżeństwo, więc nie chcemy robić wokół tego dużo szumu. Pewnie włożę którąś z moich sukienek…

– To *jasne*, że powinniśmy narobić dużo szumu. Ma pani pojęcie, ile lat zajęło tacie znalezienie kogoś, kto jadłby jego wyczyny kulinarne i oglądał z nim filmy dokumentalne? – Kręcę głową. – Jest pani cudem. I z tego powodu *musimy* świętować. – Wołam do taty, który zniknął z powrotem w kuchni: – Słyszałeś, tato? Pani Rothschild chce po prostu iść do *ratusza*. Proszę, odwiedź ją od tego błędnego pomysłu!

– Czy mogłabyś przestać nazywać mnie panią Rothschild? Skoro mam zostać twoją straszną macochą, mów mi przynajmniej Trina. Albo Tree. Jak wolisz.

– A może „macocho”? – proponuję zupełnie niewinnie. – Tak bym wolała.

Wymierza mi kuksańca.

– Młoda! Uduszę cię.

Chichocząc, uciekam przed nią.

– Wróćmy do wesela. Nie wiem, może to drażliwy temat, ale czy zachowałaś stare zdjęcia ślubne? Chcę zobaczyć, jaki masz ślubny styl.

Pani Rothschild wykrzywia się koszmarnie.

– Chyba wszystkie wyrzuciłam. Może mam jakieś schowane gdzieś w albumie. Na całe szczęście wychodziłam za mąż, kiedy media społecznościowe jeszcze nie były takie popularne. Wyobrażasz to sobie? Usuwanie wszystkich zdjęć ślubnych po rozwodzie?

– Czy mówienie o rozwodzie, kiedy planuje się ślub, nie przynosi pecha?

Śmieje się.

– W takim razie jesteśmy straceni. – Muszę wyglądać na zaniepokojoną, bo dodaje: –

Żartuję! Poszukam tego zdjęcia i ci pokażę, jeśli chcesz, ale szczerze mówiąc, nie jestem z niego dumna. W tamtych czasach królował makijaż *smoky eye*, a ja trochę z nim przesadziłam. Poza tym użyłam modnych w początkach dwudziestego pierwszego wieku czekoladowej konturówki i perłowej szminki.

Staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

– No tak, dobra. A sukienka?

– Na jedno ramię ze spódnicą w typie syreniego ogona. Fantastycznie podkreślała mój tyłek.

– Rozumiem.

– Nie myśl o mnie źle.

Tata kładzie dłoń na ramieniu pani Rothschild.

– A może urządzilibyśmy przyjęcie tutaj, w domu?

– W ogrodzie na tyłach? – Zastanawia się. – Mogłoby być miło. Mały grill dla rodziny i paru przyjaciół?

– Tata nie ma przyjaciół – mówi Kitty z drugiego końca pokoju, pochylona nad podręcznikiem do matematyki leżącym na jej kolanach.

Tata marszczy brwi.

– Mam przyjaciół. Doktor Kang ze szpitala, no i Marjorie, i ciotka D. Ale tak, po mojej stronie będzie niewielka grupka.

– Plus babunia – mówi Kitty.

Zarówno tata, jak i pani Rothschild robią się niespokojni na wzmiankę o babci. Matka taty nie należy do najsympatyczniejszych osób.

– Nie zapominaj o babci – dorzucam.

Druga babcia i pani Rothschild poznały się podczas Święta Dziękczynienia i choć tata nie przedstawił jej jako swojej dziewczyny, babcia jest przenikliwa i nic nie umknęło jej uwadze. Urządziła pani Rothschild przesłuchanie, pytając, czy ma dzieci, od jak dawna jest rozwiedziona, czy ma długi z kredytu studenckiego. Pani Rothschild wyszła z tego obronną ręką i kiedy odprowadzałam babcię do samochodu, żeby się z nią pożegnać, ta powiedziała, że pani Rothschild „nie jest taka zła". Stwierdziła, że ubiera się zbyt młodzieżowo jak na swój wiek, ale jest też pełna energii i humoru.

– Ja już miałam swoje wielkie wesele – mówi pani Rothschild. – Po mojej stronie też będzie skromnie. Paru przyjaciół ze studiów, Shelly z pracy. Moja siostra Jeanie, przyjaciele z SoulCycle.

– Czy możemy być twoimi druhnami? – pyta Kitty, a pani Rothschild wybucha śmiechem.

– Kitty! Nie można o to pytać. – Ale odwracam się do pani Rothschild w oczekiwaniu na to, co powie.

– Jasne – mówi. – Laro Jean, nie masz nic przeciwko temu?

– Będę zaszczycona – mówię.

– A więc wasza trójka i moja przyjaciółka Kristen, bo mnie zabije, jeśli jej o to nie poproszę.

Klaszczę w dłonie.

– Skoro to już ustalone, wróćmy do sukni. Skoro wesele będzie w ogrodzie, myślę, że suknia powinna być stosowna do okoliczności.

– Byle miała rękawy, żeby moja obwisła skóra ramion nie kołysała się na widoku – mówi.

– Pani Roth… to znaczy, Trino, nie masz żadnej obwisłej skóry – mówię.

Jest w świetnej formie dzięki pilatesowi i SoulCycle.

Oczy Kitty ożywiają się.

– Obwisła skóra? Brzmi obrzydliwie.

– Chodź, to ci ją pokażę.

Kitty podchodzi posłusznie, a pani Rothschild unosi rękę, wyciąga ją, a potem w ostatniej chwili łapie Kitty i ją łaskocze. Kitty zwija się ze śmiechu, podobnie jak pani Rothschild.

Bez tchu mówi:

– Obrzydliwe? Ja ci dam! Żeby nazywać swoją straszną macochę obrzydliwą!

W życiu nie widziałam taty tak szczęśliwego jak teraz.

Później tego wieczoru w łazience Kitty myje zęby, a ja peelinguję twarz nowym specyfikiem, który zamówiłam na koreańskiej stronie kosmetycznej. Zawiera drobinki łupin orzechów i wyciąg z jeżyn.

– Słoje i szkocka krata, ale w eleganckim stylu – myślę głośno.

– Słoje są ograne – mówi Kitty. – Przejrzyj Pinteresta. Dosłownie wszyscy ich używają.

W jej słowach jest ziarno prawdy.

– Ale z pewnością wkładam na głowę wianek. Nie obchodzi mnie, czy powiesz, że jest ograny.

– Nie możesz włożyć wianka – mówi kategorycznie.

– Czemu nie?

Wypluwa pastę do zębów.

– Jesteś za stara. Wianki są dla dziewczynek rzucających płatki kwiatów.

– Nie, niewłaściwie to sobie wyobrażasz. Nie miałam na myśli gipsówki. Raczej malutkie różowe i łososiowe różyczki z mnóstwem zieleni. Bladozielonej zieleni, wiesz, o co mi chodzi?

Kręci stanowczo głową.

– Nie jesteśmy leśnymi wróżkami. Przesłodzone. I wiem, że Gogo się ze mną zgodzi.

Ja też mam nieprzyjemnie przeczucie, że się zgodzi. Postanawiam póki co odłożyć tę dyskusję. Dziś jej nie wygram.

– Jeśli chodzi o sukienki, to myślałam o czymś retro. Nie kremowe, tylko kawowe. Coś w stylu koszul nocnych. Bardzo zwiewne… Nie jak wróżki, raczej jak anielskie istoty.

– Ja wkładam smoking.

O mało co się nie dławię.

– Co takiego?

– Smoking. I do tego conversy.

– Po moim trupie!

Kitty wzrusza ramionami.

– Kitty, to nie tak eleganckie wesele. Smoking nie będzie dobrze wyglądał w ogrodzie na tyłach domu! Wszystkie trzy powinnyśmy mieć pasujące do siebie stroje, jak w zestawie! Dziewczyny Song!

– Powiedziałam już o tym Tree i tacie i obojgu bardzo podoba się pomysł mnie w smokingu, więc wyluzuj.

Przybiera specyficzny wyraz twarzy, upartą minę, którą robi, kiedy nie ma zamiaru zmienić zdania. Jak byk.

– W takim razie przynajmniej włóż garnitur z kory. Będzie za gorąco na smoking, a kora oddycha.

Czuję, że idę na ustępstwo, więc ona też powinna, ale nie.

– Nie decydujesz o wszystkim, Laro Jean. To nie twój ślub.

– Wiem o tym!

– To miej to w pamięci.

Wyciągam rękę, żeby ją trzepnąć, ale ona odskakuje, zanim zdążę to zrobić. Przez ramię woła:

– Zajmij się własnym życiem!

16

Dziś kończymy wcześniej, więc idę pospiesznie korytarzem, żeby spotkać się z Peterem przy szafkach, kiedy zatrzymuje mnie pani Duvall.

– Laro Jean! Przychodzisz dziś wieczorem na spotkanie integracyjne?

– Hmm… − Nie przypominam sobie, żebym słyszała coś o jakimś spotkaniu.

Cmoka z niezadowoleniem.

– Wysłałam ci w zeszłym tygodniu mail z przypomnieniem! To nieduże spotkanie dla uczniów z okolicy, którzy zostali przyjęci do Wilhelma i Marii. Będzie parę osób z naszej szkoły, ale też z kilku innych. To doskonała okazja, żeby poznać ludzi, zanim wyjedziesz na studia.

– O… − Rzeczywiście, widziałam mail, ale o nim zapomniałam. – Bardzo chciałabym przyjść, ale nie mogę, bo mam… no, rodzinne obowiązki.

Technicznie rzecz biorąc, to prawda. Jedziemy z Peterem na aukcję w Richmond – musi odebrać stoły do sklepu mamy, a ja szukam stolika na ciasta na ślub taty i Triny.

Pani Duval rzuca mi przeciągłe spojrzenie i mówi:

– Na pewno na tym spotkaniu się nie skończy. Mnóstwo ludzi wiele by dało, żeby znaleźć się na twoim miejscu, Laro Jean, ale z pewnością doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

– Tak – zapewniam ją, a potem odchodzę szybko na spotkanie z Peterem.

Aukcja okazuje się klapą – przynajmniej dla mnie. Peter odbiera stoliki, ale ja nie znajduję nic odpowiedniego na eteryczne wesele w ogrodzie. Jedna komoda mogłaby być, gdyby ją przemalować, być może, albo odbić z szablonu różyczki, ale kosztuje trzysta dolarów, mam więc przeczucie, że tata i Trina kręciliby nosem na taką cenę. Na wszelki wypadek robię jej zdjęcie. Jedziemy z Peterem do miejsca, o którym czytałam w internecie, o nazwie Croaker's Spot, gdzie zamawiamy smażoną rybę i maślany chleb kukurydziany ociekający słodkim sosem.

– Richmond jest super – mówi Peter, ocierając sos z podbródka. – Szkoda, że twoja uczelnia się tu nie mieści. Byłoby też bliżej do UW.

– Tylko o pół godziny – mówię. – Myślałam o tym i będę na UW przed upływem roku. – Zaczynam odliczać miesiące na palcach. – To tak naprawdę dziewięć miesięcy. I wrócę do domu na przerwę zimową, a potem wiosenną.

– Dokładnie tak – mówi Peter.

Kiedy wracam do domu, jest już ciemno, a tata, Trina i Kitty kończą przy kuchennym stole kolację. Na mój widok tata zaczyna się podnosić.

– Siadaj, nałożę ci – mówi i z mrugnięciem dodaje: − Trina przyrządziła swojego cytrynowego kurczaka.

Cytrynowy kurczak Triny to zwykłe piersi kurczaka z cytryną pieczone w oleju, ale to jej specjalność i jest całkiem niezły. Opadam na miejsce i mówię:

– Nie, dziękuję, właśnie zjadłam górę jedzenia.

– Na spotkaniach studenckich podają kolację? – pyta tata, siadając z powrotem. – Jak było?

– Skąd wiesz o spotkaniu? – pytam go, pochylając się, żeby pogłaskać psa Triny, Simone, który wszedł za mną do kuchni, a teraz siedzi u moich stóp w nadziei, że coś mu skapnie.

– Przysłali pocztą zaproszenie. Przypiąłem je na lodówce!

– O, ups. Nie poszłam. Pojechałam z Peterem do Richmond rozejrzeć się za stołem na ciasta na wesele.

Tata marszczy brwi.

– Pojechałaś do Richmond w środku tygodnia? Po stolik na ciastka?

O-o. Szybko wyciągam telefon, żeby im pokazać.

– Jest trochę droga, ale moglibyśmy wysunąć do połowy szuflady pełne róż. Nawet jeśli nie dostaniemy tej konkretnej, to jestem pewna, że uda nam się znaleźć coś podobnego, jeśli się wam spodoba.

Tata pochyla się, żeby obejrzeć.

– Szuflady pełne róż? To brzmi kosztownie i niezbyt odpowiedzialnie z ekologicznego punktu widzenia.

– No to możemy wykorzystać stokrotki, ale nie dadzą tego samego efektu. – Zerkam na Kitty, a potem dodaję: − Chcę wrócić do tematu sukien dla druhen.

– Chwileczkę, ja chciałbym wrócić do tematu twojej nieobecności na spotkaniu przyszłych studentów, żeby w tym czasie pojechać do Richmond – przerywa mi tata.

– Nie martw się, tato. Na pewno będzie ich jeszcze mnóstwo do jesieni – mówię. – Kitty, co do sukienek…

Nawet nie podnosząc na mnie wzroku, Kitty odpowiada:

– Sama sobie wkładaj koszulę nocną.

Postanawiam zignorować, że nazwała ten strój koszulą nocną, i mówię:

– Nie będzie to dobrze wyglądało, jeśli tylko ja się tak ubiorę. Całe piękno kryje się w zestawie. Druhny ubrane w pasujące stroje, bardzo zwiewne, anielskie. Wtedy mamy całość, efekt. Jeśli włożę ją sama, nie zadziała. Musimy się tak ubrać wszystkie trzy.

Nie wiem, ile razy mam powtarzać słowo „zwiewny", żeby ludzie zrozumieli, w jakim stylu ma być całe wesele.

Kitty mówi:

– Jeśli chcesz zestawu, to możesz włożyć smoking. Nie będzie mi to przeszkadzało.

Wciągam głęboko powietrze, żeby na nią nie nakrzyczeć.

– Zobaczymy, co powie o tym wszystkim Margot.

– Margot będzie obojętne.

Kitty wstaje, żeby odstawić talerz do zlewu, a kiedy odwraca się do mnie plecami, ja unoszę ręce, jakbym miała zamiar ją udusić.

– Widziałam – mówi.

Słowo daję, że ma oczy z tyłu głowy.

– Trino, co myślisz? – pytam.

– Szczerze mówiąc, jest mi zupełnie wszystko jedno, co na siebie włożycie, a co nie, ale musicie uzgodnić to z Margot i Kristen. Mogą mieć własne pomysły.

– Nawiasem mówiąc, „czego nie włożycie", nie „co nie włożycie" – mówię łagodnie.

Trina wznosi oczy do nieba, a Kitty wraca na swoje miejsce i mówi:

– Czemu się tak zachowujesz, Laro Jean?

Szturcham ją w bok, a do Triny mówię:

– Kristen jest dojrzałą kobietą, więc jestem pewna, że nie będzie jej przeszkadzało, co robią dzieci. Jest dorosła.

Trina nie wygląda na przekonaną.

– Nie będzie chciała włożyć niczego, co odsłoni jej ramiona. Będzie próbowała was przekonać, żebyście włożyły na wierzch jednakowe sweterki.

– Mm, nie.

Trina unosi dłonie.

– Załatw to z Kristen. Jak mówiłam, wszystko mi jedno, co włożycie, a co nie. – Patrzy mi prosto w oczy, a ja wybucham śmiechem, podobnie jak Kitty.

– Chwileczkę, możemy porozmawiać jeszcze o spotkaniu, na które nie poszłaś? – pyta tata, marszcząc brwi. – To wyglądało na ciekawe wydarzenie.

– Pójdę następnym razem – obiecuję.

Oczywiście wcale nie mam takiego zamiaru.

Po co mam chodzić na spotkania integracyjne i przywiązywać się do ludzi, skoro idę tam tylko na dziewięć miesięcy.

Nakładam sobie miskę lodów, idę na górę i piszę do Margot, żeby sprawdzić, czy jest na nogach. Jest, więc natychmiast do niej dzwonię po wsparcie w kwestii sukienek. Kitty miała rację – Margot jest to obojętne.

– Zrobię to, co zdecydujecie – mówi.

– Najgorętsze miejsce w piekle jest zarezerwowane dla osób, które zachowują bezstronność w sytuacjach kryzysowych – mówię, oblizując łyżkę.

Śmieje się.

– Sądziłam, że najgorętsze miejsce w piekle jest zarezerwowane dla kobiet, które nie pomagają innym kobietom.

– Podejrzewam, że w piekle jest dużo miejsca. Szczerze, nie sądzisz, że Kitty będzie wyglądała głupio w smokingu? To wesele w ogrodzie. Ma być zwiewnie!

– Nie sądzę, żeby wyglądała głupiej niż ty jako jedyna w wianku. Pozwól jej go włożyć, ty włóż wianek, a ja pozostanę neutralna. Szczerze mówiąc, właściwie nie widzę sensu w tym, żebym była druhną, skoro ledwie znamy się z panią Rothschild. Znaczy, wiem, że prosi mnie o to z uprzejmości, ale to nie jest konieczne. To wszystko mnie trochę przytłacza.

Teraz żałuję, że włożyłam kij w mrowisko, forsując temat smoking kontra wianek. Ostatnie, czego bym chciała, to, żeby Margot nie wzięła udziału w weselu. Do Triny żywi w najlepszym razie letnie uczucia. Mówię pospiesznie:

– Nie musimy wkładać wianków. Możemy włożyć gładkie sukienki, a Kitty włoży smoking i będzie dobrze.

– Jak tam dzisiejsze spotkanie integracyjne? Poznałaś kogoś fajnego?

– Czemu wszyscy wiedzą o spotkaniu, tylko nie ja!

– Było na lodówce.

– Aha. Nie poszłam.

Następuje chwila ciszy.

– Laro Jean, czy wpłaciłaś już zaliczkę do Wilhelma i Marii?

– Zamierzam! Termin mija dopiero pierwszego maja.

– Czy chcesz zmienić plany?

– Nie! Tylko nie miałam jeszcze na to czasu. Strasznie dużo się dzieje z tym całym planowaniem ślubu i wszystkim.

– Wygląda na to, że ślub nabiera sporego rozmachu. Sądziłam, że chcieli coś skromnego.

– Rozważamy możliwości. Będzie skromnie. Myślę tylko, że ten dzień powinien być naprawdę wyjątkowy, taki, którego nigdy nie zapomnimy.

Rozłączywszy się, schodzę na dół odstawić miseczkę po lodach do zlewu, a w drodze na górę zatrzymuję się w salonie, gdzie nad kominkiem wiszą zdjęcia ze ślubu mamy i taty. Mama ma sukienkę z koronki z króciutkimi rękawkami i zwiewną spódnicą. Włosy upięte w asymetryczny kok z paroma luźnymi kosmykami. Ma brylantowe kolczyki, których nigdy nie widziałam na niej na żywo. Prawie nie nosiła biżuterii ani mocnego makijażu. Tata jest ubrany w srebrzysty garnitur, ale srebrzystych włosów jeszcze nie ma. Policzki ma gładkie jak jedwab, żadnego parodniowego zarostu. Mama wygląda tak, jak ją pamiętam, ale znacznie młodziej.

Dociera do mnie, że będziemy musieli schować to zdjęcie. Jego widok byłby na co dzień

dla Triny zbyt niezręczny. Teraz nie sprawia wrażenia, żeby się nim przejmowała, ale kiedy tu zamieszka, kiedy się pobiorą, na pewno będzie się czuła inaczej. Mogę powiesić je u siebie, chociaż Margot też może je chcieć. Spytam, kiedy przyjedzie.

Pod koniec tygodnia na kolację wpada Kristen, przyjaciółka Triny, uzbrojona w butelkę różowego wina i stos magazynów ślubnych. Na podstawie tego, jak Trina wyraża się o Kristen, wyobrażałam sobie kogoś onieśmielającego i wysokiego, ale ona jest mojego wzrostu. Ma kasztanowe włosy obcięte na krótkiego boba i śniadą skórę. Jestem pod wrażeniem jej kolekcji „Ślubów Marthy Stewart" – sięgają wielu lat wstecz.

– Nie pomnijcie tylko, proszę, rogów – mówi, na co marszczę brwi.

Jakbym kiedykolwiek zagięła jakiś róg.

– Myślę, że na początek powinnyśmy omówić przyjęcie przedślubne – mówi.

Głaszcze Jamiego Fox-Pickle'a, który oparł swój piaskowy łeb na jej kolanach. Nigdy nie widziałam, żeby tak łatwo oswajał się z kimś obcym, co przyjmuję za dobry znak.

– Pomyślałam, że fajnie byłoby urządzić herbatkę. Przygotowałabym małe kanapeczki bez skórki i babeczki na raz do ust, i bitą śmietanę…

– Myślałam o imprezie w SoulCycle – mówi Kristen. – Włożyłybyśmy neonowe topy z napisem: „Dawaj, Trina". Mogłybyśmy wynająć całą salę!

Próbuję ukryć rozczarowanie i tylko kiwam głową, jakbym mówiła: „Hmm".

– Dziewczyny, oba pomysły brzmią świetnie, ale ja nie chcę w ogóle urządzać przyjęcia – przerywa nam Trina.

Kristen zatyka, mnie też. Trina wyjaśnia z przepraszającym uśmiechem:

– Mamy już i tak za dużo na głowie. W tej imprezie chodzi o to, żeby obsypać pannę młodą wszystkim, czego będzie jej potrzeba w nowym domu, a my wszystko mamy.

– Nie mamy maszyny do lodów – mówię. Już od jakiegoś czasu miałam ochotę poeksperymentować z lodami, ale sprzęt, który mam na oku, kosztuje przeszło czterysta dolarów. − A tata ciągle mówi o maszynie do makaronu.

– Sami możemy je sobie kupić. Jesteśmy przecież dorośli. – Kristen otwiera usta, żeby zaoponować, ale Trina mówi: − Kris, tego nie odpuszczę. Żadnego przyjęcia. Przekroczyłam czterdziestkę, litości. Takie zabawy mam już za sobą.

Kristen odpowiada szorstko:

– Nie wiem, co to ma do rzeczy. Przyjęcie urządza się po to, żeby panna młoda czuła się wyjątkowa i kochana. Ale dobrze. Skoro to dla ciebie takie ważne, nie zrobimy go.

– Dziękuję – mówi Trina.

Pochyla się i obejmuje Kristen, która rzuca jej surowe spojrzenie.

– Ale w kwestii wieczoru panieńskiego nie będę dyskutować. Musisz go mieć. Kropka.

– Nie będę się z tobą kłócić. Może mogłybyśmy wykorzystać pomysł z SoulCycle na wieczór panieński – mówi Trina z uśmiechem.

– Coś ty. Trzeba zaszaleć. Vegas, dobrze mówię? Uwielbiasz Vegas. Napiszę dziś do dziewczyn, żeby mąż Sarah załatwił nam apartament w Bellagio…

– Za Vegas podziękuję – mówi Trina. – Wieczór musi odbyć się w okolicy i grzecznie, żeby dziewczynki mogły przyjść.

– Jakie dziewczynki? – pyta Kristen.

Trina wskazuje na mnie.

– Moje dziewczynki.

Uśmiecha się do mnie nieśmiało, a ja odwzajemniam uśmiech, czując, jak robi mi się ciepło na sercu.

– To może urządzimy karaoke? – proponuję, a Trina klaszcze w dłonie z zadowolenia.

Kristen szczęka opada.

– Bez urazy, Laro Jean, ale co, u diabła, się tu w ogóle dzieje, Trino! Nie możesz zapraszać przyszłych dzieci na wieczór panieński. Tak się nie robi. Nie będziemy mogły świętować tak, jak się powinno świętować. Jak za dawnych czasów, czyli nago i zalane, żebyś mogła przeżyć ostatnie chwile jako singielka.

Trina patrzy na mnie i kręci głową.

– Chciałam zaznaczyć, że nigdy nie byłyśmy „nago i zalane". – A do Kristen mówi: − Kris, nie myślę o nich jak o przyszłych dzieciach. To są po prostu… dziewczynki. Ale nie martw się. Będziemy się dobrze bawić. Margot jest na studiach, Lara Jean właściwie już też. Można je narazić na małą sangrię i trochę chardonnay.

– Nie mogłoby się obyć bez białego wina – mówię, a Trina wymierza mi trzepnięcie w ramię.

Kristen głośno wypuszcza powietrze.

– A co z najmłodszą?

– Kitty jest bardzo dojrzała jak na swój wiek – mówi Trina.

Kristen krzyżuje ręce na piersi.

– Stanowczo się nie zgadzam. Nie możesz przyprowadzać dziecka na wieczór panieński. Tak się nie robi.

– Kris!

W tej chwili czuję, że muszę się wypowiedzieć.

– W tej kwestii staję po stronie Kristen. Nie damy rady zabrać Kitty na karaoke. Jest za mała. Nie wpuszczą jedenastolatki.

– Ale będzie rozczarowana.

– Przeżyje – mówię.

Kristen popija różowe wino i mówi:

– Rozczarowanie dobrze dzieciom robi. Przygotowuje je do życia w prawdziwym świecie, gdzie nie wszystko kręci się wokół nich i ich uczuć.

Trina przewraca oczami.

– Skoro ty nie zgadzasz się stanowczo na Kitty na wieczorze panieńskim, to ja nie zgadzam się stanowczo na penisy. Mówię poważnie, Kris. Żadnego ciasta w kształcie penisa, penisowych rurek, makaronu w kształcie penisów. Żadnych penisów, kropka.

Czerwienię się.

Istnieje coś takiego jak makaron w kształcie penisa?

– W porządku.

Kristen wydyma dolną wargę.

– No dobra. Czy możemy zająć się właściwym weselem, proszę?

Biegnę po laptop i wyciągam swoją tablicę inspiracji, a wtedy Kitty postanawia zaszczycić nas swoją obecnością. Oglądała w salonie telewizję.

– Na czym stanęło? – Chce wiedzieć.

Kristen lustruje ją, po czym mówi:

– Pogadajmy o jedzeniu.

– Może food trucki? – proponuję. – Na przykład z goframi?

Kristen zaciska usta.

– Myślałam o grillu. Trina uwielbia grilla.

– Hmm – mówię. – Ale mnóstwo ludzi urządza grille, prawda? To trochę…

– Ograne? – podsuwa Kitty.

– Chciałam powiedzieć „powszechne". – Ale tak.

– Ale Trina uwielbia grilla!

– Mogłybyście wszystkie przestać mówić o mnie, jakby mnie tu nie było? – mówi Trina. – Uwielbiam grilla. I czy możemy użyć słojów?

Czekam, aż Kitty znów sponiewiera pomysł słojów, ale nie mówi niczego w tym rodzaju, tylko:

– A co myślimy o jadalnych kwiatach w napojach?

Jestem prawie pewna, że to był jeden z moich pomysłów, który właśnie podkradła.

Trina tańczy na krześle *shimmy*.

– Tak! Cudownie!

Dorzucam szybko:

– Możemy przygotować misę z ponczem i ułożyć trochę na powierzchni.

Kristen posyła mi pełne aprobaty spojrzenie.

Podniesiona nim na duchu mówię z rozmachem:

– A jeśli chodzi o ciasta, potrzebujemy tortu weselnego i czegoś lżejszego.

– Naprawdę potrzeba nam dwóch ciast? – pyta Trina, gryząc paznokieć. – Nie będzie aż tak wiele osób.

– To jest południe, musimy mieć drugi tort. Na weselny myślałam o żółtym cieście z polewą śmietanowo-maślaną o smaku waniliowym.

Trina uśmiecha się do mnie promiennie. To jej ulubione ciasto, bez dodatków. Niezbyt ekscytujące cukierniczo, ale jej ulubione.

– Dla taty myślałam o… cieście w stylu Thin Mints! Czekoladowe ciasto z polewą miętową i pokruszonymi na wierzchu czekoladkami miętowymi.

Mam wizję tego ciasta.

Tym razem to Kitty aprobuje mój pomysł skinieniem głowy. Od wielu tygodni nie czułam się tak bardzo w swoim żywiole.

17

Kitty miesza lakiery do paznokci na papierowym talerzyku, a ja przeglądam „koki gwiazd" w poszukiwaniu ślubnej fryzury dla Triny. Leżę na kanapie z plecami podpartymi na poduszkach, a Kitty na podłodze z rozstawionymi wokół siebie buteleczkami lakierów. Nagle zadaje mi pytanie:

– Myślałaś kiedyś, co się stanie, jeśli tata i Trina będą mieli dziecko, które będzie wyglądało jak tata?

Kitty myśli o rozmaitych sprawach, które mnie nigdy nie przyszłyby do głowy. Ani razu o tym nie pomyślałam – że mogliby mieć dziecko i że to potencjalne dziecko mogłoby nie wyglądać tak jak my. Będzie dziedziczyło po tacie i Trinie. Nikt nie zastanawiałby się, czyj to potomek, ani nie miał wątpliwości, kto z kim jest spokrewniony. Byłoby to oczywiste.

– Ale oni oboje są tacy starzy – mówię.

– Trina ma czterdzieści trzy lata. W tym wieku można jeszcze zajść w ciążę. Mama Maddie właśnie urodziła, a ma czterdzieści trzy lata.

– Prawda…

– A jeśli to będzie chłopiec?

Tata z synem. To zdumiewająca myśl. Nie jest przecież typem sportowca, nie w tradycyjnym męskim sensie. To znaczy lubi pójść na rower i wiosną grywa w debla w tenisa. Ale jestem pewna, że z synem chciałby robić rzeczy, których nie robi z nami, bo nie jesteśmy tym zainteresowane. Na przykład łowić ryby? Piłka nożna go nie obchodzi. Już Trina bardziej się nią interesuje.

Kiedy mama była w ciąży z Kitty, Margot chciała kolejną siostrę, ale ja chciałam chłopca. Dziewczyny Song i ich mały braciszek. Byłoby miło, gdybyśmy jednak miały braciszka. Zwłaszcza że nie będzie mnie w domu, więc nie będę zmuszona słuchać w środku nocy jego płaczu. Będę mogła tylko kupować malutkie wełniane buciki i sweterki z rudymi liskami i króliczkami.

– Gdyby dali mu na imię Don, mogłabym na niego mówić Donut – myślę głośno.

Na policzkach Kitty pojawiają się wypieki i w ułamku sekundy wygląda tak młodo, jak zawsze widzę ją w swoich wyobrażeniach: jak małe dziecko.

– Nie chcę, żeby mieli kolejne dziecko. Jeśli będą je mieli, wyląduję w środku. Będę nikim.

– Ej! – protestuję. – Teraz ja jestem w środku!

– Margot jest najstarsza i najmądrzejsza, ty jesteś najładniejsza. – *Ja jestem najładniejsza? Kitty uważa, że jestem najładniejsza?* Staram się pohamować radość, bo jeszcze nie skończyła mówić. – Ja jestem tylko najmłodsza. Jeśli urodzi im się dziecko, nawet tego nie będę miała.

Odstawiam komputer.

– Kitty, jesteś kimś więcej niż najmłodszą z sióstr Song. Jesteś nieobliczalną siostrą. Złośliwą. Z pazurem. – Kitty zaciska usta, próbując się nie uśmiechnąć. – I Trina kocha cię niezależnie od okoliczności. Zawsze będzie cię kochała, nawet gdyby urodziła dziecko, w co wątpię. – Przerywam. – Czekaj, mówiłaś szczerze, że jestem najładniejsza?

– Nie, cofam to. Do czasu, kiedy pójdę do liceum, to ja prawdopodobnie będę najładniejsza. Ty możesz być najmilsza.

Zeskakuję z kanapy i łapię ją za ramiona, jakbym miała zamiar nią potrząsnąć, a ona

zaczyna chichotać.

– Nie chcę być najmilsza – mówię.

– Ale jesteś. – Nie brzmi to jak obelga, ale też niezupełnie jak komplement. – Którą z moich cech chciałabyś mieć?

– Odwagę.

– Co jeszcze?

– Twój nos. Masz taką malutką kuleczkę. – Stukam w niego. – A ty?

Kitty wzrusza ramionami.

– Nie wiem.

Potem wybucha śmiechem, a ja potrząsam ją za ramiona.

Później wieczorem wciąż o tym myślę. Nie przyszło mi do głowy, że tata i Trina mogą mieć dziecko. Ale Trina nie ma dzieci, poza „kudłatym dzieckiem", golden retrieverem Simone. Może chcieć własnego dziecka. I choć tata nigdy o tym nie wspominał, to czy istnieje możliwość, że chciałby jeszcze raz spróbować postarać się o syna? Niemowlak byłby osiemnaście lat młodszy ode mnie. Co za dziwaczna myśl. I co jeszcze dziwniejsze: sama jestem wystarczająco dorosła, żeby mieć dziecko.

Co zrobilibyśmy z Peterem, gdybym zaszła w ciążę? Nawet nie umiem sobie wyobrazić, co by się stało. Widzę jedynie minę taty, kiedy przekazuję mu nowinę, i na tym się kończy.

Nazajutrz rano w drodze do szkoły w samochodzie zerkam na profil Petera.

– Lubię twoją gładką skórę – mówię. – Jak u niemowlaka.

– Gdybym chciał, mógłbym zapuścić brodę – mówi, dotykając podbródka. – I to gęstą.

– Nie, nie mógłbyś. Ale może któregoś dnia, kiedy staniesz się mężczyzną – mówię czule.

Marszczy brwi.

– *Jestem* mężczyzną. Mam osiemnaście lat!

– Nawet nie przygotowujesz sobie sam drugiego śniadania. Umiesz w ogóle zrobić pranie? – Parskam.

– Jestem mężczyzną we wszystkich sprawach, które się liczą – przechwala się, a ja przewracam oczami.

– Co byś zrobił, gdybyś został powołany do wojska? – pytam.

– Hmm… czy studenci nie są od tego zwolnieni? Czy pobór w ogóle jeszcze istnieje?

Nie znam odpowiedzi na żadne z jego pytań, więc wypalam:

– Co byś zrobił, gdybym teraz zaszła w ciążę?

– Laro Jean, nawet nie uprawiamy seksu. To byłoby dosyć trudne.

– A gdybyśmy uprawiali? – naciskam.

Jęczy.

– Ty i te twoje pytania! Nie wiem. Skąd mam wiedzieć, co bym zrobił?

– A co *myślisz*, że byś zrobił?

Peter się nie waha.

– Co byś tylko chciała.

– Nie chciałbyś podjąć decyzji wspólnie? – Sprawdzam czy… sama nie wiem co.

– To nie ja musiałbym nosić dziecko. To twoje ciało, nie moje.

Jego odpowiedź mnie zadowala, ale nie odpuszczam.

– A gdybym powiedziała… że chcę urodzić dziecko i się pobrać?

Tym razem też się nie waha.

– Powiedziałbym: jasne. Tak!

Teraz już marszczę brwi.

– Jasne? Tak po prostu? Najważniejsza życiowa decyzja, a ty byś powiedział „jasne"?

– No. Bo *jestem* pewien.

Nachylam się w jego stronę i kładę dłonie na jego gładkich policzkach.

– I stąd wiem, że jesteś jeszcze chłopcem. Bo jesteś taki pewny swego.

Krzywi się.

– Czemu widzisz w tym coś złego?

Puszczam go.

– Zawsze jesteś wszystkiego pewien. Nigdy się nie wahasz.

– Jestem pewien co do tej jednej sprawy – mówi, patrząc prosto przed siebie. – Jestem pewien, że nigdy nie będę taki jak tata, nieważne, ile będę miał lat.

Milknę, czując wyrzuty sumienia, że się z nim droczyłam i przywołałam złe uczucia. Mam ochotę zapytać, czy jego tata ciągle próbuje się z nim pogodzić, ale przyglądam się bliżej minie Petera i to mnie powstrzymuje. Chciałabym, żeby byli w stanie naprawić relacje, zanim Peter pójdzie na studia. Bo w tej chwili Peter nadal *jest* chłopcem i w głębi serca wszyscy chłopcy, jak sądzę, chcą znać swoich ojców, bez względu na to, jakimi są ludźmi.

Po szkole jedziemy do drive-thru i zanim jeszcze wyjedziemy z parkingu, Peter już dobiera się do swojej kanapki. Pomiędzy kęsami kanapki z kurczakiem mówi:

– Czy mówiłaś serio, twierdząc, że nie umiesz sobie wyobrazić ślubu ze mną?

– Nic takiego nie powiedziałam!

– Prawie powiedziałaś. Mówiłaś, że jestem jeszcze chłopcem, a ty nie mogłabyś poślubić chłopca.

No to zraniłam jego uczucia.

– Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o to, że w tej chwili nie mogę wyobrazić sobie ślubu z kimkolwiek. Nadal jesteśmy dziećmi. Jak moglibyśmy *mieć* dziecko? – Bez zastanowienia dodaję: − Tak czy inaczej, tata dał mi cały zestaw antykoncepcyjny na studia, więc nie musimy się tym martwić.

Peter omal nie dławi się kanapką.

– Zestaw antykoncepcyjny?

– No. Prezerwatywy i… − Ślinochron. – Peter, wiesz, co to ślinochron?

– Co takiego? Czy nie używają tego dentyści, żeby przytrzymać otwarte usta, kiedy czyszczą zęby?

Chichoczę.

– Nie. To do seksu oralnego. A sądziłam, że to ty jesteś ekspertem i to *ty* nauczysz wszystkiego *mnie* na studiach!

Serce mi przyspiesza w oczekiwaniu na jakiś żart, że wreszcie będziemy na studiach uprawiać seks, ale Peter milczy. Marszczy brwi i mówi:

– Nie podoba mi się, że twój tata sądzi, że to robimy, skoro tego nie robimy.

– Chce tylko, żebyśmy uważali, i tyle. Jest zawodowcem, zapomniałeś? – Klepię go po kolanie. – Jeśli nie jestem w ciąży, to wszystko gra.

Mnie serwetkę i wrzuca ją do papierowej torby, nie odrywając oczu od drogi.

– Twoi rodzice poznali się na studiach, prawda?

Jestem zaskoczona, że pamięta. Nie przypominam sobie, żebym mu o tym mówiła.

– Tak.

– Ile mieli lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście? – Peter wyraźnie dokądś zmierza.

– Dwadzieścia, tak mi się wydaje.

Twarz mu pochmurnieje, ale tylko odrobinę.

– Dobra, dwadzieścia. Ja mam osiemnaście, ty skończysz w przyszłym miesiącu. Od dwudziestki dzielą nas tylko dwa lata. Jakie znaczenie mają te dwa lata w kontekście całego

życia? – Uśmiecha się do mnie promiennie. – Twoi rodzice poznali się, kiedy mieli po dwadzieścia lat, my poznaliśmy się w wieku lat…

– Dwunastu – kończę.

Peter marszczy brwi, zirytowany, że psuję jego linię argumentacji.

– Dobra, poznaliśmy się jako dzieci, ale kiedy się zeszliśmy, mieliśmy po siedemnaście lat…

– Ja miałam szesnaście.

– Kiedy zeszliśmy się tak *naprawdę*, oboje mieliśmy w zasadzie po siedemnaście lat. Czyli prawie tyle co osiemnaście, czyli w zasadzie prawie tyle co dwadzieścia.

Ma minę zadowolonego z siebie prawnika, który właśnie przeprowadził zwycięską mowę końcową.

– To bardzo zawiła i pokrętna logika – mówię. – Rozważałeś kiedyś karierę adwokata?

– Nie, ale teraz się zastanawiam.

– Na UW są świetne studia prawnicze – mówię i czuję nagłe ukłucie żalu, bo college to jedno, ale studia prawnicze?

Są tak odległe, kto wie, co do tej pory się wydarzy… Będziemy zupełnie innymi ludźmi. Kiedy myślę o dwudziestoparoletnim Peterze, mam poczucie tęsknoty za mężczyzną, którego być może nigdy nie będzie mi dane poznać. W tej chwili, dzisiaj jest jeszcze chłopcem, którego znam najlepiej na świecie, ale co, jeśli nie zawsze tak będzie? Nasze drogi już się rozchodzą, każdego dnia, tym bardziej, im bliżej do sierpnia.

18

Trina wystawiła swój dom na sprzedaż kilka tygodni po tym, jak zaręczyli się z tatą. Kristen jest agentką nieruchomości i powiedziała jej, że to dobra pora na sprzedaż, bo ludzie lubią kupować na wiosnę. Okazuje się, że miała rację. Jeszcze w tym samym tygodniu jakaś para złożyła ofertę – szybciej, niż ktokolwiek z nas mógł się spodziewać. Tata i Trina sądzili, że dom postoi na rynku przynajmniej z miesiąc, ale ekipa od przeprowadzek właśnie rozładowuje pudła w naszym domu i wszystko pędzi do przodu z prędkością błyskawicy.

Nie było wielkich dyskusji, kto wprowadza się do kogo – rozumiało się samo przez się, że to Trina przenosi się do nas. Przede wszystkim nasz dom jest większy, ale też łatwiej przeprowadzić jedną osobę niż cztery. A przynajmniej tak by się wydawało. Jak na jedną osobę Trina ma mnóstwo rzeczy. Mnóstwo pudeł z ciuchami i butami, sprzęt sportowy, meble nie od kompletu, ogromne wezgłowie obite aksamitem, które na pewno przeraża tatę.

– Na jej miejscu nie chciałabym się przeprowadzać do domu innej kobiety – mówi Chris.

Stoi w moim oknie, obserwując, jak Trina kieruje ludźmi od przeprowadzki. Chris wpadła w drodze do pracy, żeby pożyczyć ode mnie buty.

– Jakiej kobiety? – pytam.

– Twojej mamy! Zawsze czułabym się tak, jakby ten dom należał do niej. Bo to ona wybrała meble, tapety.

– W zasadzie to dużo wybierałyśmy my z Margot – mówię. – Ja wybrałam tapetę w jadalni, ona kolor łazienki na górze.

Pamiętam, jak siadłyśmy z Margot i mamą na podłodze w salonie z próbnikami tapet, dywanów i farb porozkładanymi wokół nas. Całe popołudnie spędziłyśmy, przeglądając wszystkie bardzo dokładnie, a ja i Margot kłóciłyśmy się, który odcień niebieskiego będzie właściwy do wspólnej łazienki na piętrze. Ja uważałam, że zielononiebieski, a Margot, że błękitny. W końcu mama kazała nam zagrać w papier, kamień, nożyce i Margot wygrała. Strzelałam focha, dopóki nie pokonałam jej w wyborze tapety.

– Tak tylko mówię. Na miejscu Triny wolałabym zacząć od nowa – mówi Chris.

– To raczej niemożliwe, kiedy twój przyszły mąż ma już trójkę dzieci.

– Wiesz, co mam na myśli. Na tyle od nowa, na ile to możliwe.

– Kupują przynajmniej nowe łóżko. Jutro przyjedzie.

Na to Chris się ożywia. Opadając na moje łóżko, mówi:

– Fuj, czy to nie dziwne myśleć, że twój tata uprawia seks?

Klepię ją w nogę.

– Ja o tym nie myślę! Więc przestań o tym mówić.

Skubiąc nitki strzępiące się z jej obciętych dżinsów, mówi:

– Trina ma świetne ciało.

– Nie żartuję, Chris!

– Tak tylko mówię. Wszystko bym dała za takie ciało w jej wieku.

– Nie jest taka stara.

– Mimo wszystko. – Chris uśmiecha się do mnie przymilnie. – Czy jeśli otworzę okno, mogę tu zapalić?

– Chyba znasz odpowiedź na to pytanie, Christino.

Wydyma usta, ale tylko na pokaz, bo wie, że bym się nie zgodziła.

– Ech. Ameryka jest taka wkurzająca z tym paleniem. Taka zacofana.

Teraz, kiedy Chris wyjeżdża do Kostaryki, rozkoszuje się gardzeniem wszystkim, co amerykańskie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że wyjeżdża.

– Naprawdę nie idziesz na bal? – pytam.

– Naprawdę.

– Będziesz tego żałowała – ostrzegam. – Kiedy będziesz już pracowała na kostarykańskiej farmie, nagle przypomnisz sobie, że nie poszłaś na bal, i zrobi ci się strasznie żal, ale będziesz mogła za to winić jedynie samą siebie.

– Szczerze w to wątpię – mówi ze śmiechem.

Po jej wyjściu do pracy siedzę przy komputerze w kuchni, przeglądając suknie dla druhen i/lub balowe, a tata i Trina wchodzą do środka, bo byli poza domem razem z ekipą. Staram się sprawiać wrażenie zajętej, jakbym się uczyła, na wypadek gdyby poprosili o pomoc. Mądra mała Kitty nie wyściubia nosa z pokoju przez te ostatnie parę dni, a ja żałuję, że nie poszłam w jej ślady.

Tata nalewa sobie szklankę wody i ociera pot z czoła.

– Naprawdę musimy postawić gdzieś tę bieżnię? – pyta Trinę. – Nawet porządnie nie działa.

– Działa bardzo dobrze.

– W życiu nie widziałem, żebyś jej używała – mówi i dopija duszkiem resztę wody.

Trina marszczy brwi.

– To nie znaczy, że jej nie używam, tylko że nie używam jej na twoich oczach.

– Dobrze. Kiedy ostatnio z niej korzystałaś?

Trina mruży oczy.

– Nie twoja sprawa.

– Trino!

– *Dan!*

To nowe oblicze taty: sprzecza się i z lekka traci cierpliwość. Trina to w nim wywołuje i wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale cieszę się z tego. Nie zdawałam sobie sprawy, że to stracił. Można zadowalać się tym, co się ma, prowadzić przyjemne życie bez wzlotów i upadków i można przeżywać wstrząsy i namiętności, które wiążą się z tym, że się kogoś kocha. Trina godzinami się szykuje, co doprowadza go do szaleństwa, i żartuje sobie z jego hobby, jak obserwowanie ptaków czy filmy dokumentalne. Ale pasują do siebie jak ulał.

19

Dziś wieczorem odbywa się mecz lacrosse. Pammy nie może iść, bo pracuje, a Chris nigdy, rzecz jasna, nie zniżyłaby się do pójścia na mecz lacrosse, więc zabieram ze sobą Kitty. Udaje, że się nad tym zastanawia, rozważając na głos, czy to nie będzie nudne, ale kiedy mówię: „Dobra, nieważne", szybko się zgadza.

Na trybunach natykamy się na mamę Petera i jego młodszego brata Owena, więc siadamy razem z nimi. Owen i Kitty zaczynają udawać, że to drugie nie istnieje – on gra na swoim telefonie, a ona na swoim. Owen jest wysoki, ale siedzi zgarbiony i włosy wpadają mu do oczu.

My rozmawiamy przez chwilę o zaręczynach taty i Triny, opowiadam jej o niektórych z moich weselnych pomysłów. Kiwa głową, a potem nagle dodaje:

– Słyszałam, że tobie też należą się gratulacje.

– Z jakiego powodu? – pytam zdziwiona.

– Wilhelma i Marii!

– Aha! Dziękuję.

– Wiem, że liczyłaś na UW, ale może to i dobrze, że tak się stało.

Uśmiecha się do mnie współczująco. Odpowiadam uśmiechem, ale czuję się niepewnie. Co dokładnie oznaczało „może to i dobrze"? Cieszy się, że nie idę na UW z Peterem? Sądzi, że to oznacza nasze zerwanie? Mówię więc jedynie:

– Williamsburg nie jest tak daleko od Charlottesville.

Jej odpowiedź brzmi:

– Hmm, tak, to prawda.

A potem Peter zdobywa punkt, więc obie wstajemy i wiwatujemy.

Kiedy siadam z powrotem, Kitty pyta:

– Możemy kupić popcorn?

– Jasne – odpowiadam, zadowolona z pretekstu, żeby wstać. – Macie na coś ochotę? – pytam mamę Petera i jego brata.

– Popcorn – rzuca Owen, nie podnosząc na mnie wzroku.

– Możecie się podzielić jednym – mówi mama Petera.

Schodzę w dół trybun i ruszam do baru, kiedy dostrzegam mężczyznę stojącego z boku z założonymi rękami i obserwującego mecz. Jest wysoki, ma orzechowe włosy. Przystojny. Odwraca głowę, więc widzę jego profil, wiem, kim jest, bo znam tę twarz. Znam ten podbródek, te oczy. To tata Petera. Jakbym zobaczyła Ducha przyszłych świąt Bożego Narodzenia, nie mogę ruszyć się z miejsca, jak sparaliżowana.

Zauważa, że się mu przypatruję, i uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Wydaje mi się, że nie mam innego wyboru, jak tylko podejść i spytać:

– Przepraszam… czy jest pan tatą Petera?

Kiwa głową ze zdziwieniem.

– Jesteś jego przyjaciółką?

– Lara Jean Covey. Jego, hmm, dziewczyna.

Wygląda na zaskoczonego, ale powściąga emocje i podaje mi rękę. Ściskam ją mocno, żeby zrobić dobre wrażenie.

– Wow, jest pan do niego bardzo podobny.

Śmieje się, a mnie znów uderza, jak wiele Peter po nim odziedziczył.

– Masz na myśli, że on jest bardzo podobny do mnie.

Też się śmieję.

– Racja. Pan był pierwszy.

Następuje niezręczna cisza, a potem on odchrząkuje i pyta:

– Jak on się ma?

– O, dobrze. Świetnie. Słyszał pan, że dostał się na UW dzięki stypendium sportowemu?

Kiwa głową z uśmiechem.

– Słyszałem od jego mamy. Jestem z niego dumny. Nie żebym mógł przypisać sobie jakieś zasługi, ale… Jestem naprawdę dumny z tego chłopaka. – Przenosi wzrok na boisko, na Petera. – Chciałem tylko zobaczyć znów, jak gra. Brakowało mi tego. – Po chwili wahania dodaje: − Nie wspominaj, proszę, Peterowi, że tu byłem.

Tak mnie to zaskakuje, że jestem w stanie wydukać jedynie:

– O… dobrze.

– Dziękuję, będę bardzo wdzięczny. Miło było cię poznać, Laro Jean.

– Z wzajemnością, proszę pana.

Po tych słowach wracam na trybuny i dopiero w połowie drogi przypominam sobie, że zapomniałam o popcornie, więc muszę wrócić na dół. Kiedy docieram do baru, taty Petera już nie ma.

Nasza drużyna ostatecznie przegrywa, ale Peter zdobywa trzy punkty, więc to dla niego dobry mecz. Cieszę się, że jego tata mógł zobaczyć, jak gra, ale żałuję, że zgodziłam się zachować to przed Peterem w tajemnicy. Na samą myśl ściska mi się żołądek. W samochodzie nadal myślę o jego tacie, ale potem Kitty mówi:

– Dziwne to było, jak mama Petera powiedziała, że może to i dobrze, że nie idziesz na UW.

– Wiem, prawda? Też tak to odebrałaś?

– Nie da się tego tak naprawdę odebrać inaczej – mówi Kitty.

Spoglądam we wsteczne lusterko, po czym wyjeżdżam w lewo ze szkolnego parkingu.

– Chyba nie miała zamiaru być *niemiła*. Nie chce, żeby Peterowi stała się krzywda, i tyle.

Ja też tego nie chcę, więc może to i dobrze, że nie mówię Peterowi o dzisiejszym spotkaniu z jego tatą. Co by było, gdyby ucieszył się z obecności ojca, a potem tata znów by go zranił? Nagle mówię:

– Masz ochotę na mrożony jogurt?

Kitty oczywiście mówi „tak”.

Po prysznicu Peter wpada do nas do domu i gdy tylko widzę, jaki jest uradowany, decyduję, że o niczym mu nie powiem.

Leżymy na podłodze w salonie i nakładamy maseczki. Gdyby tylko koledzy ze szkoły mogli go teraz zobaczyć! Przez zaciśnięte zęby pyta:

– Do czego ta służy?

– Rozjaśnia zmęczoną cerę.

Odwraca się do mnie i chrypiącym głosem mówi:

– Witaj, Clarice.

– O czym ty mówisz?

– To z *Milczenia owiec*!

– Aha, nie widziałam tego. Wygląda na zbyt straszne.

Peter prostuje się. Nie potrafi usiedzieć w miejscu.

– Musimy to teraz obejrzeć. To niedorzeczne. Nie mogę być z kimś, kto nigdy nie widział *Milczenia owiec*.

– Hmm, dałabym sobie rękę uciąć, że teraz moja kolej na wybór.

– Covey, daj spokój! To klasyka – mówi Peter w chwili, gdy jego telefon zaczyna wibrować.

Odbiera i słyszę po drugiej stronie głos jego mamy.

– Cześć, mamo… jestem u Lary Jean. Wrócę niedługo… Ja też cię kocham.

Kiedy kończy rozmowę, mówię:

– Wiesz co, zapomniałam powiedzieć ci o tym wcześniej, ale dziś na meczu twoja mama stwierdziła, że to dobrze, że nie dostałam się na UW.

– *Co?* – Podnosi się i zdejmuje maseczkę.

– Nie powiedziała tego tak dosłownie, ale chyba o to jej chodziło.

– Co dokładnie powiedziała?

Ja też ściągam maseczkę.

– Pogratulowała mi dostania się do Wilhelma i Marii, a potem powiedziała chyba: „Wiem, że liczyłaś na UW, ale może to i dobrze, że tak się stało".

Peter się rozluźnia.

– A, ona zawsze tak mówi. Szuka we wszystkim jasnych stron. Tak jak ty.

Dla mnie zabrzmiało to inaczej, ale nie naciskam, bo Peter jest bardzo opiekuńczy wobec mamy. Pewnie dlatego, że są tylko we troje. Ale może nie musi tak być? Co, jeśli Peter ma szansę na prawdziwą relację ze swoim tatą? Co, jeśli dzisiejszy wieczór był na to dowodem? Pytam mimochodem:

– Ile powiadomień o ukończeniu szkoły zamówiłeś?

– Dziesięć. Mam niewielką rodzinę. Czemu pytasz?

– Tak się zastanawiam. Ja zamówiłam pięćdziesiąt, żeby babcia mogła wysłać część do rodziny z Korei. – Po chwili wahania pytam: − Myślałeś, o wysłaniu jednego do taty?

Marszczy brwi.

– Nie. Czemu miałbym to zrobić? – Podnosi telefon. – Zobaczmy, które filmy nam zostały. Jeśli skreślamy *Milczenie owiec*, to moglibyśmy obejrzeć *Trainspotting* albo *Szklaną pułapkę*.

Nie odzywam się przez moment, a potem wyrywam mu telefon z ręki.

– Moja kolej na wybranie filmu! A ja wybieram… *Amelię*.

Jak na kogoś, kto kiedyś głośno powtarzał, że nie ogląda komedii romantycznych i zagranicznych filmów, Peterowi bardzo podoba się *Amelia*. Opowiada o Francuzce, która boi się życia, więc wymyśla we własnej głowie rozmaite fantazje o lampach, które mówią, obrazach, które się poruszają, i naleśnikach, które przypominają płyty winylowe. Mam przez nią ochotę zamieszkać w Paryżu.

– Ciekawe, jak byś wyglądała z grzywką – zastanawia się Peter. – Założę się, że uroczo. – Pod koniec filmu, kiedy Amelia piecze placek ze śliwkami, Peter odwraca się do mnie i mówi: − Umiesz upiec ciasto ze śliwkami? Brzmi pysznie.

– Wiesz co, miniciastka ze śliwkami byłyby niezłe na szwedzki stół z ciastami.

Zaczynam szukać w telefonie przepisów.

– Nie zapomnij tylko do mnie zadzwonić, kiedy upieczesz porcję próbną – mówi Peter i ziewa.

20

Siedzimy z Triną, popijając herbatę. Pokazuję jej zdjęcia aranżacji kwiatowych, kiedy do domu wchodzi tata i pada na kanapę obok nas.

– Długi dzień? – pyta go Trina.

– Najdłuższy – odpowiada, przymykając powieki.

– Pytanie – mówię.

Otwiera natychmiast oczy.

– Słucham cię, moja środkowa córko?

– Jaki kawałek chcecie na pierwszy taniec?

Jęczy.

– Jestem w tej chwili zbyt zmęczony, żeby myśleć o tańcu.

– Proszę. To twój ślub! Bądź obecny, tato.

Trina się śmieje i szturcha go stopą w bok.

– Bądź obecny, Dan!

– Dobrze, dobrze. Trina jest wielką fanką Shanii Twain. – Uśmiechają się do siebie. – Więc… może *From This Moment On*?

– Ooo – mówi Trina. – Naprawdę mnie znasz.

– Shania Twain? – powtarzam. – Czy to nie ona śpiewa *Man! I Feel Like a Woman*?

Trina podnosi kubek, jakby był mikrofonem, i przechyla głowę.

– „From this moment on, I will love you" – fałszuje.

– Nie znam tej piosenki – mówię, starając się zachować neutralny ton głosu.

– Puść jej z telefonu – mówi Trina do taty.

– Nie oceniaj – ostrzega mnie tata, a potem puszcza.

W życiu nie słyszałam piosenki bardziej nie w jego stylu. Ale przez cały czas nie znika mu z twarzy głupawy uśmieszek, a kiedy Trina go obejmuje i kołysze się razem z nim do taktu, uśmiech się jeszcze powiększa.

– Doskonała – mówię, czując, że zaraz się rozpłaczę. Odchrząkuję. – Skoro już mamy wybraną piosenkę, możemy zacząć odhaczać z listy inne sprawy. Gadałam z cukiernią na temat bananowych minipuddingów w słoiczkach i mówią, że nie zejdą poniżej siedmiu dolarów za sztukę.

Na czole taty pojawiają się zmarszczki.

– To trochę drogo, nie sądzisz?

− Nie martw się. Mam namiary na cukiernię w Richmond i jeśli cena dostawy nie będzie zbyt wygórowana, to będzie okej. – Przerzucam strony w segregatorze. – Tak bardzo zajęłam się deserami, że nie miałam okazji spotkać się z zespołem, z którym się skontaktowałam. Grają w ten weekend w Keswick, więc może pojadę zobaczyć ich na żywo.

Tata patrzy na mnie z widocznym niepokojem.

– Skarbie, wygląda mi na to, że w ramach odstresowywania się zastąpiłaś pieczenie planowaniem ślubu. Troszeczkę przesadzasz.

– Zespół to dosłownie *zespół* – mówię pospiesznie. – Wokalista i gość z gitarą. Dopiero zaczynają, więc wszystko jest w granicach rozsądku. Dowiem się więcej, kiedy poznam ich osobiście.

– Nie mają jakichś nagrań, które możesz obejrzeć? – pyta Trina.

– Jasne, ale to nie to samo, co zobaczyć ich na żywo.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy potrzebowali zespołu – mówi tata, wymieniając z Triną spojrzenia. – Myślę, że wystarczy muzyka puszczona z komputera.

– Okej, ale musimy wypożyczyć sprzęt nagłaśniający.

Zaczynam wertować segregator, a Trina wyciąga rękę i kładzie mi ją na ramieniu.

– Kochanie, to wspaniałe, że chcesz nam pomóc, i jestem bardzo wdzięczna. Ale szczerze mówiąc, wolałabym, żebyś się tak nie stresowała. Tata i ja nie przejmujemy się szczegółami. Po prostu chcemy się pobrać. Nie potrzeba nam food trucka ani bananowych minipuddingów. Naprawdę będziemy równie szczęśliwi, jeśli zamówimy grillowy catering z BBQ. – Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale ona mnie powstrzymuje. – W ostatniej klasie liceum jest się tylko raz i chcę, żebyś z tego korzystała. Masz seksownego chłopaka i dostałaś się na świetną uczelnię. Wkrótce będą twoje urodziny. To pora, żebyście po prostu byli młodzi, świętowali i cieszyli się sobą nawzajem!

– W granicach rozsądku, rzecz jasna – dodaje tata pospiesznie.

– Ale ja nie jestem zestresowana – protestuję. – Koncentrowanie się na ślubie daje mi poczucie spokoju! To bardzo uspokajające.

– I naprawdę bardzo nam pomagasz, ale myślę, że mogłabyś się skoncentrować na sprawach znacznie bardziej wartych twojego czasu. Jak ukończenie ostatniego roku szkoły i przygotowanie się do college'u.

Tata przybiera stanowczy, nieporuszony wyraz twarzy, który tak rzadko u niego widuję. Marszczę brwi.

– Więc nie chcecie, żebym pomagała wam dłużej przy weselu?

Trina mówi:

– Nadal chcę, żebyś zajęła się sukienkami dla druhen, i byłabym zachwycona, gdybyś upiekła nam tort ślubny…

– I drugi tort? – dorzucam.

– Pewnie. Ale resztą sami się zajmiemy. Słowo daję, że mówię to tylko dla twojego dobra, Laro Jean. Koniec negocjowania cen ze sprzedawcami.

– Koniec spontanicznych wyjazdów do Richmond po stoliki pod ciasta – dodaje tata.

Wzdycham niechętnie.

– Jeśli jesteście tego pewni…

Trina kiwa głową.

– Korzystaj z młodości. Skup się na własnej sukience na bal. Zaczęłaś już jej szukać?

– Tak jakby. – Dociera do mnie, że do balu został niespełna miesiąc, a ja wciąż nie mam sukienki. – Jeśli naprawdę jesteście pewni…

– Jesteśmy – mówi tata, a Trina przytakuje.

W drodze na schody słyszę, jak tata szepcze do niej:

– Czemu, na litość, zachęcasz ją, żeby korzystała z uroków swojego seksownego chłopaka?

O mało co nie wybucham śmiechem.

– Nie to miałam na myśli! – mówi Trina.

Tata wydaje z siebie pomruk niezadowolenia.

– Ale tak to zabrzmiało.

– O matko, nie bierz wszystkiego tak dosłownie, Dan. Poza tym jej chłopak *jest* seksowny.

Szukam w internecie sukienki na bal i śmieję się na głos za każdym razem, kiedy wspominam, jak tata nazwał Petera „seksownym chłopakiem". Po jakiejś godzinie jestem niemal pewna, że znalazłam odpowiednią kreację. Przypomina sukienkę baletnicy z metalicznym body

z siateczki i tiulową spódnicą – strona określa kolor mianem brudnego różu. Stormy będzie zadowolona.

Kiedy to jest już załatwione, przechodzę na stronę Wilhelma i Marii i wpłacam zaliczkę, co powinnam była zrobić wiele tygodni temu.

Później w tym samym tygodniu w drodze do szkoły Peter mówi, że wykręcił się od pomocy mamie i może pojechać ze mną zobaczyć koncert w Keswick.

– Okazuje się, że tata i Trina wcale nie chcą zespołu – mówię ponuro. – Ani właściwie niczego innego. Chcą, żeby wesele było bardzo skromne. Pożyczą głośniki i puszczą muzykę z komputera. Zgadnij, jaką piosenkę wybrali na pierwszy taniec.

– Jaką?

– *From This Moment On* Shanii Twain.

Marszczy brwi.

– W życiu jej nie słyszałem.

– Jest strasznie kiczowata, ale im się najwyraźniej podoba. Zdajesz sobie sprawę, że nie mamy piosenki? Takiej „naszej".

– Dobra, to jakąś wybierzmy.

– To tak nie działa. Wspólnej piosenki się nie wybiera. To piosenka wybiera ciebie. Jak tiara przydziału.

Peter kiwa głową poważnie. Wreszcie skończył wszystkie siedem tomów Harry'ego Pottera i zawsze chętnie udowadnia, że rozumie moje odniesienia.

– Rozumiem.

– To się po prostu musi… samo stać. Jakaś chwila. A piosenka tę chwilę przenika, łapiesz? Piosenką mamy i taty była *Wonderful Tonight* Erica Claptona. Tańczyli do niej na ślubie.

– Jak stała się ich piosenką?

– To był pierwszy kawałek, przy którym razem tańczyli na studiach. Na potańcówce, niedługo po tym, jak zaczęli ze sobą chodzić. Widziałam zdjęcia z tamtego wieczoru. Tata ma na sobie za luźny garnitur, a mama włosy upięte we francuski kok.

– A co powiesz na to: kawałek, który puszczą jako następny, będzie naszą piosenką. Takie przeznaczenie.

– Nie możemy planować przeznaczenia.

– Czemu nie? – Peter wyciąga rękę, żeby włączyć radio.

– Czekaj! Dowolna stacja? A co, jeśli to nie będzie wolna piosenka?

– Dobra wrzućmy Lite 101. – Peter wciska guzik.

– „Kubuś Puchatek nie wie, co zrobić, bo słoik z miodkiem utknął mu na nosie" – nuci kobiecy głos.

Peter mówi:

– Co to ma być?

A ja:

– To nie może być nasza piosenka.

– Najlepsza z trzech? – proponuje.

– Nie przymuszajmy się. Jak ją usłyszymy, będziemy wiedzieli, że to ta. Tak sądzę.

– Możliwe, że usłyszymy ją na balu – podpowiada Peter. – A skoro już o tym mowa, to w jakim kolorze masz sukienkę? Mama poprosi przyjaciółkę florystkę, żeby zrobiła bukiecik.

– Brudny róż.

Przesyłka przyszła wczoraj, a kiedy ją przy wszystkich przymierzyłam, Trina stwierdziła, że nie widziała sukienki, która byłaby „bardziej w stylu Lary Jean”. Przesłałam zdjęcie Stormy, która odpisała: „Ulala” z emotikonem przedstawiającym tańczącą kobietę.

– A jaki to kolor brudny róż? – chce wiedzieć Peter.

– Trochę jak różowe złoto. – Peter wciąż wygląda na zagubionego, więc wzdycham i dodaję: − Przekaż po prostu mamie. Ona będzie wiedziała. Myślisz, że mógłbyś przynieść też bukiecik dla Kitty i zachowywać się tak, jakbyś sam wpadł na ten pomysł?

– Jasne, ale mógłbym również sam wpaść na ten pomysł – gdera. – Powinnaś przynajmniej dać mi szansę, żebym mógł wpaść na jakiś pomysł.

Klepię go w kolano.

– Proszę, nie zapomnij.

21

Jest późno, leżę w łóżku i przeglądam pakiet powitalny z Wilhelma i Marii. Okazuje się, że pierwszoroczniakom nie wolno trzymać na terenie kampusu samochodu, i właśnie mam zamiar zadzwonić do Petera, żeby mu o tym powiedzieć, kiedy dostaję wiadomość od Johna Ambrose'a McClarena. Na widok jego imienia na ekranie czuję zaskoczenie, bo od dawna ze sobą nie rozmawialiśmy. A potem czytam esemesa:

Stormy zmarła wczorajszej nocy we śnie.

Pogrzeb odbędzie się na Rhode Island w środę.

Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

Siedzę przez chwilę w osłupieniu. Jak to możliwe? Kiedy ostatnio się z nią widziałam, czuła się dobrze. Była w świetnej formie. Była Stormy. Nie może nie żyć. Nie moja Stormy. Przewspaniała Stormy, która nauczyła mnie, jak nakładać czerwoną szminkę, „żeby przetrwała nawet noc pocałunków i szampana", jak mawiała.

Wybucham płaczem i nie mogę przestać. Brakuje mi powietrza w płucach. Ledwo widzę na oczy przez łzy. Zalewają mój telefon, a ja co chwilę ocieram go wierzchem dłoni. Co powinnam napisać Johnowi? To była jego babcia, a on był jej ulubionym wnukiem. Byli bardzo związani.

Z początku piszę:

Tak mi przykro. Czy mogę Ci jakoś pomóc?

Potem to usuwam, bo jak niby miałabym mu pomóc?

Tak mi przykro.

Nie znałam nikogo z takim duchem.

Będzie mi jej strasznie brakowało.

Dziękuję. Wiem, że ona też Ciebie kochała.

Na tę wiadomość kolejna fala łez napływa mi do oczu.

Stormy zawsze powtarzała, że czuje się wciąż tak, jakby miała dwadzieścia parę lat. Że czasem jej się śni, że znów jest młodą dziewczyną i że widzi swoich byłych mężów, oni są starzy, ale ona wciąż jest Stormy. Mówiła, że kiedy rano się budzi, z zaskoczeniem odkrywa, że ma stare ciało i stare kości.

– Ale nadal mam własne zęby – mówiła.

I to była prawda.

Czuję niemal ulgę, że pogrzeb odbywa się na Rhode Island, za daleko, żebym mogła pojechać. Nie byłam na pogrzebie od śmierci mamy, miałam wtedy dziewięć lat, Margot jedenaście, a Kitty zaledwie dwa. Najbardziej z tamtego dnia utkwiło mi w pamięci, jak siedziałam koło taty, który trzymał na rękach Kitty, i czułam, że jego ciało trzęsie się od niemego płaczu. Policzki Kitty były mokre od jego łez. Nie rozumiała nic oprócz tego, że jest mu smutno.

Powtarzała: „Nie płacz, tatusiu”, a on próbował się do niej uśmiechać, ale jego uśmiech wyglądał bardzo niepewnie. Nigdy wcześniej tak się nie czułam – jakby nic nie było i nie miało być już bezpieczne.

A teraz znów płaczę, za Stormy, za mamą, za wszystkim.

Chciała, żebym spisała jej wspomnienia. Chciała je zatytułować „Stormy Weather”. Nigdy się do tego nie zabrałyśmy. Skąd teraz ludzie się dowiedzą o jej życiu?

Dzwoni Peter, ale jestem zbyt smutna, żeby rozmawiać, więc pozwalam mu nagrać wiadomość głosową. Mam poczucie, że powinnam zadzwonić do Johna, ale chyba nie mam prawa. Stormy była jego babcią, a ja tylko wolontariuszką w domu spokojnej starości. Jedyna osoba, z którą mam ochotę porozmawiać, to moja siostra, bo też znała Stormy i zawsze poprawia mi samopoczucie, ale w Szkocji jest środek nocy.

Następnego dnia tuż po przebudzeniu dzwonię do Margot. Znów płaczę, przekazując jej wieści, a ona płacze razem ze mną. To ona wpada na pomysł zorganizowania wspominków w Belleview.

– Powiesz parę słów, podasz ciastka, a ludzie podzielą się swoimi wspomnieniami. Jej przyjaciołom na pewno się to spodoba, skoro nie będą mogli wziąć udziału w pogrzebie.

Wycieram nos.

– Stormy też by się to na pewno spodobało.

– Szkoda, że mnie przy tym nie będzie.

– Ja też żałuję – mówię drżącym głosem.

Z Margot u boku zawsze czuję się silniejsza.

– Ale będzie Peter – mówi.

Przed wyjściem do szkoły dzwonię do dawnej szefowej z Belleview, Janette, i mówię o pomyśle na wspominki. Zgadza się bez wahania i mówi, że możemy urządzić je w czwartek po południu, przed bingo.

Kiedy docieram do szkoły i mówię Peterowi o wspominkach na temat Stormy, mina mu rzednie.

– Cholera. Muszę jechać z mamą na Dni na trawie.

Dni na trawie to dni otwarte dla przyszłych pierwszoroczniaków UW. Jedzie się tam z rodzicami, siedzi na zajęciach, ogląda akademiki. To ważne wydarzenie. Bardzo się na to cieszyłam, kiedy jeszcze sądziłam, że mogę się tam dostać.

– Ale mogę sobie odpuścić – proponuje.

– Nie możesz. Mama by cię zabiła. Musisz jechać.

– Dla mnie to nie takie ważne – mówi, a ja mu wierzę.

– Naprawdę w porządku. Nie znałeś Stormy.

– Wiem. Chcę tylko być tam z tobą.

– Liczą się chęci – mówię mu.

Zamiast ubrać się na czarno decyduję się na plażówkę, w której kiedyś spodobałam się Stormy. Jest biała z wyhaftowanymi na spódnicy żółto-niebieskimi niezapominajkami, zebrana w pasie i ma krótkie bufki, które opadają lekko na ramiona. Kupiłam ją pod koniec lata i miałam okazję włożyć tylko raz. Wpadłam do Belleview w drodze do kina z Peterem i Stormy powiedziała, że wyglądam jak z włoskiego filmu. Wkładam więc tę sukienkę i białe sandały, które kupiłam na odebranie dyplomów, oraz parę koronkowych białych rękawiczek, które na pewno przypadłyby jej do gustu. Znalazłam je w sklepie vintage w Richmond o nazwie Bygones. Kiedy je wkładam, mogę niemal wyobrazić sobie, jak Stormy wkłada je na sobotnie tańce. Nie zakładam jej pierścionka z różowym brylantem. Chcę zrobić to po raz pierwszy na bal maturalny, tak jak sobie tego życzyła.

Wyciągam misę na poncz, kryształową miseczkę z orzeszkami ziemnymi, stos serwetek z wyhaftowanymi wisienkami znalezionych na wyprzedaży, obrus, którego używamy na Święto Dziękczynienia. Na pianinie, przy którym siadywała Stormy, ustawiam róże. Przygotowuję poncz z imbirowego piwa i z mrożonych owoców – bez alkoholu, na co Stormy z pewnością kręciłaby nosem, ale nie wszyscy mieszkańcy mogą pić ze względu na leki, które zażywają. Koło misy z ponczem stawiam butelkę szampana dla tych, którzy chcieliby wzmocnić swoją porcję czymś dodatkowym. Na koniec włączam Franka Sinatrę, który, jak zawsze powtarzała Stormy, powinien był zostać jej drugim mężem.

John powiedział, że przyjdzie, jeśli tylko uda mu się wrócić z Rhode Island na czas, więc trochę się denerwuję, bo nie widziałam go od moich urodzin niemal rok temu. Nigdy nie byliśmy razem, nie tak naprawdę, ale prawie, a dla mnie to coś znaczy.

Pojawia się parę osób. Jedna z pielęgniarek wwozi na wózku panią Armbruster, która zapadła na demencję, ale przyjaźniła się dość blisko ze Stormy. Pan Perelli, Alicia, recepcjonistka Shanice, Janette. Doborowe towarzystwo. Prawda jest taka, że w Belleview mieszka coraz mniej znanych mi osób. Niektórzy przenieśli się do swoich dzieci, paru odeszło. Wśród personelu też nie ma już tylu znajomych twarzy. Miejsce zmieniło się, gdy tylko odwróciłam wzrok.

Stoję w pokoju od frontu, a serce wali mi w piersi. Jestem bardzo zdenerwowana mową, którą mam wygłosić. Boję się, że zacznę się zacinać i nie oddam tego, co chcę. Chcę, żeby poszło dobrze. Chcę, żeby Stormy była dumna. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco, oprócz pani Armbruster, która robi na drutach i patrzy w przestrzeń. Nogi trzęsą mi się pod spódnicą. Biorę głęboki oddech i właśnie mam zacząć, kiedy do środka wchodzi John Ambrose McClaren ubrany w świeżą koszulę i spodnie khaki. Siada na kanapie obok Alicii. Macham do niego, a w odpowiedzi John uśmiecha się do mnie pokrzepiająco.

Biorę głęboki oddech.

– Był rok 1952. – Odchrząkuję i spoglądam na kartkę. – Lato, a w radiu leciał Frank Sinatra. Lana Turner i Ava Gardner były u szczytu sławy. Stormy miała osiemnaście lat. Należała do orkiestry dętej, uzyskała tytuł Posiadaczki Najlepszych Nóg, a w każdy sobotni wieczór szła na randkę. Tym razem spotkała się z chłopcem o imieniu Walt. W ramach wyzwania wskoczyła nago do jeziora. Stormy nigdy nie potrafiła odrzucić wyzwania.

Pan Perelli śmieje się i mówi:

– To prawda, nie potrafiła.

Pozostali mruczą zgodnie:

– Nie potrafiła.

– Okoliczny farmer zadzwonił na policję, a kiedy oświetlili jezioro, Stormy kazała im się odwrócić, zanim wyjdzie z wody. Tamtego wieczoru policja podrzuciła ją do domu.

– Nie pierwszy i nie ostatni raz! – woła ktoś, na co wszyscy wybuchają śmiechem, a ja czuję, że rozluźniają mi się ramiona.

– W ciągu jednego wieczoru Stormy potrafiła przeżyć więcej niż większość ludzi w ciągu całego życia. Była siłą natury. Nauczyła mnie, że miłość… − Do oczu napływają mi łzy, więc zaczynam od nowa. – Stormy nauczyła mnie, że miłość polega na dokonywaniu co dzień odważnych wyborów. To właśnie sama robiła. Zawsze stawiała na miłość, zawsze stawiała na przygodę. Dla niej były jednym i tym samym. A teraz zaczyna nową przygodę, a my życzymy jej wszystkiego dobrego.

Siedząc na swoim miejscu na kanapie, John ociera rękawem oczy.

Kiwam głową w kierunku Janette, ona wstaje i włącza wieżę, a pokój wypełniają dźwięki *Stormy Weather*. „Don't know why there's no sun up in the sky…"

Później John przeciska się w moją stronę z dwoma plastikowymi kubkami owocowego ponczu. Nostalgicznie mówi:

– Na pewno kazałaby go nam wzmocnić, ale… − Podaje mi kubek i się stukamy. – Za Edith Sinclair McClaren Sheehan, znaną lepiej jako Stormy.

– Stormy miała na imię Edith? Tak poważnie. Brzmi jak imię kogoś, kto nosi wełniane spódnice i grube pończochy i popija wieczorem napar z rumianku. Stormy pijała koktajle!

John się śmieje.

– Prawda?

– Skąd w takim razie takie imię u Stormy? Czemu nie Edie?

– Kto to wie? – mówi John z cierpkim uśmiechem na ustach. – Byłaby zachwycona twoim przemówieniem. – Patrzy na mnie ciepło i z uznaniem. – Jesteś taką miłą dziewczyną, Laro Jean.

Czuję się zawstydzona, nie wiem, co powiedzieć. Chociaż nigdy ze sobą nie chodziliśmy, widok Johna wywołuje we mnie uczucie, jakiego spodziewałabym się po spotkaniu z byłym chłopakiem. Coś jakby tęsknotę. Zażyłość z domieszką skrępowania, bo tak wiele pozostało między nami niedopowiedziane.

A potem mówi:

– Stormy wciąż prosiła mnie, żebym przyprowadził do niej swoją dziewczynę, a ja nigdy tego nie zrobiłem. Teraz czuję się z tym źle.

– O, spotykasz się z kimś? – rzucam z największą swobodą, na jaką mnie stać.

Przez ułamek sekundy waha się, a potem kiwa głową.

– Ma na imię Dipti. Poznaliśmy się na spotkaniu Modelu ONZ na UW. Pokonała mnie w wyborach na przewodniczącego komisji.

– Wow – mówię.

– No, jest niesamowita.

Oboje zaczynamy mówić równocześnie.

– Wiesz, gdzie pójdziesz na studia?

– Podjąłeś decyzję, gdzie…?

Śmiejemy się i pojawia się między nami nić porozumienia. John mówi:

– Nie podjąłem. Waham się między College Park a Wilhelmem i Marią. College Park ma dobrą szkołę handlową i jest bardzo blisko Waszyngtonu. Wilhelm i Maria jest wyżej w rankingach, ale Williamsburg to zadupie. Więc jeszcze nie wiem. Tata jest przygnębiony, bo bardzo chciał, żebym poszedł na Uniwersytet Karoliny Północnej, ale się nie dostałem.

– Przykro mi.

Postanawiam nie wspominać, że dostałam się tam na listę rezerwową. John wzrusza ramionami.

– Może spróbuję się tam przenieść na drugim roku. Zobaczymy. A ty jak? Idziesz na UW?

– Nie dostałam się – wyznaję.

– O kurczę! Słyszałem, że była w tym roku wariacka konkurencja. Najlepsza uczennica z mojej szkoły się nie dostała, a podanie miała nie do pobicia. Ty pewnie też.

– Dzięki, John – mówię speszona.

– To gdzie się wybierasz, jeśli nie na UW?

– Wilhelm i Maria.

Na jego twarz wypływa promienny uśmiech.

– Poważnie? To świetnie! A Kavinsky gdzie?

– UW.

Kiwa głową.

– Stypendium sportowe, racja.

– A co z… Dipti? – Mówię to tak, jakbym nie pamiętała jej imienia, choć jest inaczej, bo przecież właśnie powiedział je dwie minuty temu. – Gdzie się wybiera?

– Dostała się we wcześniejszym naborze do Michigan.

– Wow, daleko.

– Z pewnością znacznie dalej niż UW czy Wilhelm i Maria.

– I macie zamiar… zostać razem?

– Taki jest plan – mówi John. – Zamierzamy przynajmniej spróbować związku na odległość. A co z tobą i Peterem?

– Też mamy takie plany, na pierwszy rok. Na drugi zamierzam spróbować przenieść się na UW.

John stuka swoim kubkiem o mój.

– Powodzenia, Laro Jean.

– Tobie też, Johnie Ambrosie McClarenie.

– Jeśli zdecyduję się ostatecznie na Wilhelma i Marię, dam ci znać.

– No ja myślę.

Zostaję w Belleview znacznie dłużej, niż planowałam. Ktoś przynosi stare płyty, a potem ludzie zaczynają tańczyć, a pan Perelli nalega, że nauczy mnie rumby, mimo kłopotów z biodrem. Kiedy Janette włącza *In the Mood* Glenna Millera, spojrzenia moje i Johna spotykają się i uśmiechamy się do siebie porozumiewawczo, bo oboje pamiętamy potańcówkę w stylu USO. Wieczór jak wyjęty z filmu. Mam wrażenie, jakby to było dawno temu.

Dziwnie tak odczuwać szczęście na przyjęciu poświęconym pamięci kogoś, kogo się kochało, ale tak właśnie się czuję. Jestem szczęśliwa, że dzień przebiegł pomyślnie, że pożegnaliśmy Stormy z klasą. Dobrze jest odpowiednio się pożegnać, mieć taką okazję.

Po powrocie z Belleview zastaję Petera siedzącego na schodkach przed domem z kubkiem ze Starbucksa.

– Nikogo nie ma w domu? – pytam, przyspieszając kroku. – Długo czekasz?

– Nie. – Nie ruszając się z miejsca, wyciąga ręce i łapie mnie w pasie. – Usiądź i porozmawiaj ze mną przez chwilę, zanim wejdziemy do środka – mówi, wtulając twarz w mój brzuch. Siadam koło niego, a on pyta: − Jak impreza pożegnalna Stormy? Jak poszła mowa?

– Dobrze, ale najpierw opowiedz mi o Dniu na trawie.

Wyjmuję mu kubek Sturbucksa z ręki i piję kawę, która ostygła.

– Ee. Posiedziałem na zajęciach. Poznałem jakichś ludzi. Nic szczególnego. – Bierze moją prawą dłoń w swoją i wodzi palcem po koronce moich rękawiczek. – Fajne.

Coś go trapi, coś, o czym nie mówi.

– Co się dzieje? Czy coś się stało?

Odwraca wzrok.

– Dziś rano zjawił się tata i chciał pojechać z nami.

Robię wielkie oczy.

– I… pozwoliłeś mu?

– Nie.

Nie mówi nic więcej. Tylko „nie”.

– Wygląda na to, że próbuje zbudować z tobą relację, Peterze – mówię z wahaniem.

– Miał mnóstwo okazji, a teraz jest za późno. Pierdolony statek odpłynął. Nie jestem już dzieckiem. – Unosi brodę. – Jestem mężczyzną, a on nie ma z tym nic wspólnego. Chce tylko przypisać sobie zasługi. Chce chwalić się przed kumplami z golfa, że jego syn gra w lacrosse na

UW.

Waham się. A potem myślę o tym, jaką minę miał jego tata, kiedy oglądał Petera na boisku. W jego oczach kryła się taka duma… i miłość.

– Peterze… a gdybyś… gdybyś dał mu szansę?

Peter kręci głową.

– Laro Jean, nie rozumiesz. I całe szczęście. Twój tata jest totalnie niesamowity. Zrobiłby dla was wszystko. Mój tata taki nie jest. On robi to dla siebie. Jeśli wpuszczę go z powrotem do mojego życia, znów wszystko spierdoli. Gra nie jest warta świeczki.

– A może jest warta. Nigdy nie wiesz, ile czasu wam zostało.

Peter się krzywi. Nigdy niczego takiego mu nie mówiłam, nie wspominałam w ten sposób o mamie, ale po śmierci Stormy nie mogę się powstrzymać. Muszę to powiedzieć, bo to prawda i będę żałowała, jeśli tego nie zrobię.

– Nie chodzi o twojego tatę. Chodzi o ciebie. Chodzi o to, żebyś później nie żałował. Nie rań samego siebie z czystej zemsty.

– Nie chcę więcej o nim rozmawiać. Przyszedłem, żeby cię pocieszyć, nie żeby rozmawiać o moim tacie.

– Dobrze. Ale najpierw obiecaj mi, że rozważysz zaproszenie go na rozdanie dyplomów. – Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale mu przerywam. – Tylko się nad tym zastanów. I tyle. To dopiero za miesiąc. Nie musisz o niczym decydować w tej chwili, więc nie mów ani tak, ani nie.

Peter wzdycha i jestem pewna, że powie „nie”, ale zamiast tego pyta:

– Jak poszło twoje przemówienie?

– Chyba w porządku. Myślę, że Stormy by się spodobało. Opowiedziałam o tym, jak przyłapano ją na kąpieli nago, przyjechała policja i odwiozła ją do domu radiowozem. A i John wrócił na czas.

Peter kiwa głową dyplomatycznie. Mówiłam mu, że John może się dziś pojawić, ale odparł tylko „spoko, spoko”, bo nie mógł, rzecz jasna, powiedzieć nic innego. John to przecież wnuk Stormy.

– Gdzie McClaren idzie na studia?

– Jeszcze nie zdecydował. Waha się między Maryland a Wilhelmem i Marią.

Peter unosi gwałtownie brwi.

– *Naprawdę*. To super.

Mówi to w sposób, który jasno podkreśla, że wcale nie uważa, jakoby to było super. Posyłam mu zdziwione spojrzenie.

– Co?

– Nic. Wiedział, że ty tam idziesz?

– Nie, dziś mu o tym powiedziałam. To nie miało żadnego znaczenia. Zachowujesz się w tej chwili naprawdę dziwacznie, Peterze.

– A jak byś się czuła, gdybym powiedział ci, że Gen idzie na UW?

– Nie wiem. Niezbyt bym się przejęła? – mówię to całkiem szczerze.

Wszystkie moje złe uczucia na temat Petera i Genevieve zdają się bardzo odległe. Od tamtej pory zaszliśmy z Peterem tak daleko.

– Poza tym to coś zupełnie innego. My z Johnem nawet ze sobą nie chodziliśmy. Nie rozmawialiśmy od miesięcy. No i ma dziewczynę. A w ogóle nawet jeszcze nie zdecydował, czy tam idzie, czy nie.

– A gdzie idzie jego dziewczyna?

– Ann Arbor.

Peter parska lekceważąco.

– To nie przetrwa.

– Może ludzie będą patrzyli na ciebie i na mnie i myśleli dokładnie to samo – mówię łagodnie.

– To naprawdę zupełnie co innego. Nas będzie dzieliło od siebie zaledwie parę godzin, a potem się przeniesiesz. Góra jeden rok. Będę przyjeżdżał w weekendy. To naprawdę nic wielkiego.

– Drugi raz użyłeś słowa „naprawdę" – mówię, żeby się uśmiechnął.

Nie robi tego, więc mówię:

– Będziesz miał treningi i mecze. Nie będziesz miał ochoty siedzieć w każdy weekend w Wilhelmie i Marii.

Ta myśl przyszła mi do głowy po raz pierwszy.

Przez moment Peter wygląda na dotkniętego, ale potem wzrusza ramionami i mówi:

– Dobra. Albo ty będziesz przyjeżdżała tutaj. Przyzwyczaimy się do tej trasy. To w zasadzie tylko I-64…

– W Wilhelmie i Marii nie można mieć na pierwszym roku samochodu. Podobnie jak na UW. Sprawdziłam.

Peter to ignoruje.

– Poproszę więc mamę, żeby podrzucała mi samochód, kiedy będę chciał do ciebie pojechać. Przecież nie ma daleko. A ty możesz przyjechać autobusem. Coś wymyślimy. Nie martwię się o nas.

A ja tak, troszkę, ale nie mówię tego głośno, bo Peter nie chce chyba rozmawiać o realiach. Ja zresztą chyba też nie.

Przysuwając się do mnie bliżej, pyta:

– Chcesz, żebym dziś u ciebie nocował? Mogę wrócić, jak mama się już położy. Rozweselę cię, jeśli zrobi ci się smutno.

– Spryciarz – mówię, szczypiąc go w policzek.

– Czy Josh został kiedyś na noc? Z twoją siostrą.

Zastanawiam się.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Szczerze wątpię. Mówimy przecież o mojej siostrze i Joshu.

– Ale to oni – mówi Peter, pochylając głowę i muskając mój policzek swoim. Uwielbia to, że moje policzki są takie gładkie, zawsze tak mówi. – My nie jesteśmy do nich ani trochę podobni.

– To ty o nich wspomniałeś – zaczynam, ale on mnie całuje i nawet nie jestem w stanie dokończyć myśli, nie mówiąc już o zdaniu.

22

Rano w dniu balu Kitty wchodzi do mojego pokoju, kiedy maluję paznokcie u nóg.

– Jak myślisz, ten kolor pasuje do mojej sukienki? – pytam ją.

– Wygląda, jakbyś zanurzyła paznokcie w leku na żołądek.

Zerkam na stopy. Rzeczywiście trochę tak wygląda. Może powinnam zdecydować się zamiast tego na beż.

Ustaliłyśmy, że sukienka wymaga upiętych włosów.

– Żeby podkreślić linię obojczyków – mówi Trina.

Nigdy nie myślałam, że moje obojczyki to coś, co należy podkreślać. Prawdę mówiąc, w ogóle nigdy nie myślałam o obojczykach.

Po lunchu Kitty idzie ze mną do fryzjera, żeby nadzorować proces.

– Proszę nie przesadzić z upięciem, wie pani, co mam na myśli? – mówi stylistce.

Stylistka rzuca mi nerwowe spojrzenie w lustrze.

– Chyba tak. Chcesz, żeby wyglądało naturalnie? – Mówi do Kitty, nie do mnie, bo widać wyraźnie, kto tu rządzi. – Naturalny kok?

– Ale nie nazbyt naturalny. W stylu Grace Kelly. – Kitty wyświetla zdjęcia na telefonie i pokazuje. – Widzi pani, coś takiego, ale chcemy, żeby kok był z boku.

– I proszę nie używać zbyt dużo lakieru – mówię słabo, kiedy stylistka zwija moje włosy w węzeł na karku i pokazuje Kitty.

– Świetnie – mówi Kitty, a do mnie dodaje: − Laro Jean, trzeba użyć lakieru, jeśli chcesz, żeby kok się trzymał.

Nagle zaczynam mieć wątpliwości co do upięcia.

– Na pewno chcemy je upinać?

– Tak – mówi Kitty, a do stylistki: − Upinamy.

Kok jest bardziej „zrobiony", niż jestem do tego przyzwyczajona. Włosy związane mam na boku, a czubek głowy wygładzony jak u baletnicy. Ładnie, ale kiedy patrzę w lustro, nie rozpoznaję samej siebie. To jakaś starsza, bardziej wyrafinowana wersja mnie, która idzie do opery albo filharmonii.

Po całym tym czasie, który babka z salonu spędziła na upinaniu moich włosów, rozpuszczam je ostatecznie po powrocie do domu. Kitty na mnie krzyczy, gdy je rozczesuje, ale jakoś to znoszę. Dziś wieczór chcę czuć się sobą.

– Jak zrobimy wielkie wejście? – pyta Kitty, przejeżdżając włosy szczotką po raz ostatni.

– Wielkie wejście? – powtarzam.

– Kiedy Peter przyjedzie. Jak masz zamiar wejść do pokoju?

Trina, która leży na moim łóżku z lizakiem, dorzuca:

– Kiedy ja szłam na bal, był taki zwyczaj, że tata sprowadzał dziewczynę po schodach, a potem ktoś zapowiadał twoje wejście.

Patrzę na nie, jakby urwały się z choinki.

– Trino, ja nie idę do ślubu. Tylko na bal.

– Mogłybyśmy wyłączyć światła i włączyć muzykę, a potem ty byś weszła i ustawiła się na szczycie schodów…

– Nie mam na to ochoty – przerywam.

Marszczy czoło.

– Na co konkretnie?

– Na nic.

– Ale musi nastąpić ta chwila, kiedy wszyscy patrzą na ciebie i tylko na ciebie – mówi Kitty.

– To się nazywa pierwsze wrażenie – wyjaśnia Trina. – Nie martw się, wszystko nagram.

– Gdybyśmy przemyślały to zawczasu, mogłyśmy naprawdę zaszaleć i może poszło by to do sieci.

Kitty kręci głową z niesmakiem, jakby to była moja wina.

– Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to znów wylądować w sieci – mówię, po czym dodaję znacząco: − Pamiętasz moje nagranie z jacuzzi?

Przynajmniej robi nieco zmieszaną minę, na sekundę.

– Nie żyjmy przeszłością – mówi, układając mi włosy.

– Aha, solenizantko – mówi do mnie Trina. – Czy nadal planujemy na jutrzejszy wieczór grilla?

– Tak – odpowiadam.

Przez śmierć Stormy, bal, ślub i wszystko inne niewiele myśli poświęciłam swoim urodzinom. Trina chciała urządzić mi wielkie przyjęcie, ale powiedziałam, że wolę raczej rodzinny obiad w mieście plus tort i lody po powrocie do domu. Trina i Kitty pieką ciasto, kiedy ja będę na balu. Zobaczymy, jak im pójdzie!

Kiedy przyjeżdżają Peter z mamą, wciąż biegam jeszcze, kończąc przygotowania.

– Dziewczyny, Peter i jego mama już są – woła tata z dołu.

– Perfumy! – krzyczę do Kitty, która mnie spryskuje. – Gdzie moja kopertówka?

Trina mi ją podaje.

– Masz ze sobą szminkę?

Otwieram, żeby sprawdzić.

– Tak! Gdzie moje buty?

– Tutaj – mówi Kitty, podnosząc je z podłogi. – Pospiesz się, włóż je. Ja zejdę na dół i powiem, że już idziesz.

– Ja otworzę dla dorosłych butelkę szampana – mówi Trina, wychodząc za Kitty.

Nie wiem, czemu jestem taka zdenerwowana. To tylko Peter. Chyba naprawdę bal rządzi się własną magią. Na samym końcu wkładam pierścionek i wyobrażam sobie, jak Stormy patrzy na mnie w tej chwili z góry, szczęśliwa, że wkładam jej pierścionek na bal maturalny, dla upamiętnienia jej i wszystkich potańcówek, na których była.

Kiedy schodzę na dół, Peter siedzi na kanapie z mamą. Podryguje kolanem w górę i w dół, przez co wiem, że on też jest zdenerwowany. Na mój widok wstaje. Unosi brwi.

– Wyglądasz… wow.

Przez ostatni tydzień wypytywał mnie o szczegóły dotyczące mojej sukienki, a ja trzymałam go na dystans, żeby zrobić niespodziankę, z czego się cieszę, bo warto było poczekać na tę jego minę.

– Ty też wyglądasz wow.

Smoking świetnie na nim leży, wygląda, jakby był szyty na miarę, ale nie jest. Jest wypożyczony z Po godzinach. Zastanawiam się, czy pani Kavinsky nie dokonała drobnych przeróbek. Potrafi zdziałać cuda igłą i nitką. Szkoda, że mężczyźni nie noszą smokingów częściej, choć pewnie wtedy straciłyby na wyjątkowości.

Peter wsuwa mi bukiecik na rękę. Białe jaskry i gipsówka, dokładnie taki sama bym sobie wybrała. Od razu zastanawiam się, w jaki sposób powiesić go nad łóżkiem, żeby go ładnie zasuszyć. Kitty też jest elegancko ubrana. Włożyła swoją ulubioną sukienkę, żeby mogła być na zdjęciach. Kiedy Peter zapina jej na ręce bukiecik ze stokrotek, czerwieni się z radości, a Peter

puszcza do mnie oczko. Robimy zdjęcia mi i Kitty, mi i Peterowi, i Kitty, a potem Kitty mówi głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– A teraz tylko ja i Peter. – A ja zostaję zepchnięta na bok razem z roześmianą Triną.

– Jej rówieśnicy powinni mieć się na baczności – mówi do mnie i mamy Petera, która też się uśmiecha.

– Czemu nie ma mnie na żadnym zdjęciu? – upomina się tata, więc oczywiście robimy rundkę także z nim i parę z Triną i panią Kavinsky.

Potem robimy zdjęcie na zewnątrz pod dereniem, przy samochodzie Petera, na schodkach przed wejściem, aż Peter mówi:

– Dosyć tych zdjęć! Bo w ogóle nie pojedziemy na bal.

Z galanterią otwiera przede mną drzwi i wsiadamy do samochodu.

W drodze do szkoły wciąż na mnie zerka. Ja wbijam wzrok przed siebie, ale widzę go kątem oka. Nigdy nie czułam się tak adorowana. Tak pewnie cały czas czuła się Stormy.

Gdy tylko docieramy na miejsce, mówię Peterowi, że musimy ustawić się w kolejce, żeby zrobić oficjalne zdjęcie u profesjonalnego fotografa. On mówi, że powinniśmy poczekać, aż kolejka zmaleje, ale ja nalegam. Chcę porządne zdjęcie do scrapbooka, zanim włosy mi oklapną. Ustawiamy się w wymaganej balowej pozie, Peter staje za mną i kładzie mi dłonie na biodrach. Fotograf pozwala nam obejrzeć zdjęcie i Peter nalega, żebyśmy zrobili jeszcze jedno, bo nie podoba mu się, jak wygląda na nim jego fryzura.

Po zrobieniu zdjęcia znajdujemy na parkiecie naszych przyjaciół. Darrell włożył krawat pasujący do sukienki Pammy – lawendowy. Chris ma na sobie czarną obcisłą sukienkę bez ramion – całkiem podobną do tej, którą Kitty wybrała dla mnie podczas zakupów z Margot. Lucas wygląda w swoim doskonale dopasowanym garniturze jak angielski dandys. Udało mi się ostatecznie przekonać oboje do przyjścia, sugerując, żeby po prostu „wpadli". Chris powiedziała, że i tak idzie do klubu z przyjaciółmi z pracy, ale sądząc po sytuacji, nigdzie prędko nie pójdzie. Jej sukienka przykuwa powszechną uwagę.

Zaczyna lecieć *Style*, więc wszyscy szalejemy, krzycząc i podskakując. Peter dostaje największego bzika. Ciągle pyta mnie, czy dobrze się bawię. Głośno pyta tylko raz, ale spojrzeniem wciąż ponawia to pytanie. Jego oczy są pełne blasku i nadziei, ożywione oczekiwaniem. Wzrokiem odpowiadam mu: „Tak, tak, tak, dobrze się bawię".

Wolny taniec też zaczyna nam dobrze wychodzić. Może kiedy przeniosę się na UW, powinniśmy zapisać się na kurs tańca, żeby dojść do perfekcji.

Mówię mu o tym, a on odpowiada czule:

– Zawsze chcesz wszystko ulepszać. Ulepszone ciasteczka z czekoladą.

– Zarzuciłam ten pomysł.

– Ulepszone kostiumy na halloween.

– Lubię, żeby rzeczy były wyjątkowe.

Na te słowa Peter uśmiecha się do mnie i mówi:

– Szkoda tylko, że nigdy nie zatańczymy policzek przy policzku. Może moglibyśmy zamówić dla ciebie szczudła.

– Masz na myśli szpilki?

Chichocze.

– Nie sądzę, żeby istniały dwudziestopięciocentymetrowe szpilki.

Ignoruję go.

– I szkoda, że twoje kluchowate ramiona nie mają dość siły, żeby mnie podnieść.

Peter wydaje z siebie ryk niczym ranny lew, podnosi mnie w górę i kołysze – dobrze wiedziałam, że to zrobi. Rzadko kiedy zna się kogoś tak dobrze, żeby wiedzieć, w którą stronę

się obróci. Poza rodziną Petera chyba znam najlepiej.

Oczywiście Peter zostaje królem balu. Królową jest Ashanti Dickson. Czuję ulgę, że to nie Genevieve tańczy z nim wolny taniec w diademie na głowie. Ashanti niemal dorównuje wzrostem Peterowi, więc mogą tańczyć policzek przy policzku, choć tego nie robią. Peter patrzy na mnie i mruga. Stoję z boku sali z Marshawnem Hopkinsem, partnerem Ashanti. Nachyla się do mnie i mówi:

– Kiedy wrócą, powinniśmy ich zignorować i pójść tańczyć.

Wybucham śmiechem.

Jestem dumna z Petera, z tego, jak tańczy, tak bardzo wyprostowany. W kulminacyjnym momencie piosenki Peter przechyla Ashanti, wszyscy gwiżdżą, wydają okrzyki i tupią, a ja jestem dumna również z tego. Ludzie naprawdę szczerze go lubią. Mogą cieszyć się z jego sukcesów, bo jest miły i dobrze się przy nim czują. Dodaje wieczorowi uroku, co odpowiada wszystkim, ze mną na czele. Miło mi, że tak go żegnają.

Ostatni taniec.

Oboje milczymy. Jeszcze nie wszystko dobiegło końca. Mamy przed sobą całe lato. Ale liceum, nas dwoje razem tutaj, Lara Jean i Peter, jakimi dziś jesteśmy – ta część się skończyła. Nigdy już nie będziemy dokładnie tacy sami.

Zastanawiam się, czy on też czuje smutek. Po chwili Peter szepcze:

– Patrz, jak Gabe próbuje jak gdyby nigdy nic położyć rękę na tyłku Keishy.

Obraca mnie lekko, żebym mogła zobaczyć. Dłoń Gabe'a rzeczywiście zawisła w okolicach krzyża/pupy Keishy Wood, jak jakiś niezdecydowany motyl szukający miejsca do lądowania. Chichoczę. Właśnie dlatego tak bardzo lubię Petera. Widzi to, czego ja nie widzę.

– Wiem, która piosenka powinna być nasza – mówi.

– Co?

A potem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki salę balową wypełnia głos Ala Greena. *Let's Stay Together*.

– Zamówiłeś ją – oskarżam go.

Trochę chce mi się płakać. Uśmiecha się szeroko.

– To przeznaczenie.

„Whatever you want to do… is all right with me-ee-ee".

Peter bierze moją rękę i kładzie ją sobie na sercu.

– „Let's, let's stay together" – śpiewa.

W jego głosie brzmi czystość i szczerość, wszystko, co w Peterze kocham.

W drodze na afterparty Peter mówi, że zgłodniał, i pyta, czy możemy zatrzymać się najpierw w barze.

– Na imprezie chyba będzie pizza – mówię. – Czemu nie możemy zjeść na miejscu?

– Ale ja mam ochotę na naleśniki – jęczy.

Zatrzymujemy się na parkingu przed barem. Wysiadłszy z samochodu, podbiega od strony pasażera i otwiera mi drzwi.

– Ależ dziś z ciebie dżentelmen – mówię, na co się uśmiecha.

Idziemy do knajpki, a on zamaszystym gestem otwiera przede mną drzwi.

– Mogłabym przywyknąć do tak królewskiego traktowania – mówię.

– Ej, przecież otwieram przed tobą drzwi – protestuje.

Wchodzimy do środka i staję jak wryta. Nasz boks, ten, w którym zawsze siadamy, jest ozdobiony bladoróżowymi balonami. Na środku stołu stoi okrągłe ciasto z mnóstwem świeczek, różową polewą, posypką i napisem: „Sto lat, Laro Jean" z białego lukru. Nagle widzę, jak spod stołu i zza menu wyłaniają się głowy wszystkich naszych przyjaciół, wciąż balowo ubranych:

Lucas, Gabe, dzisiejsza partnerka Gabe'a Keisha, Darrell, Pammy, Chris.

– Niespodzianka! – wołają wszyscy.

Odwracam się na pięcie.

– Nie wierzę, Peter!

Uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Spogląda na zegarek.

– Północ. Wszystkiego najlepszego, Laro Jean.

Podskakuję i go ściskam.

– Właśnie o takich urodzinach w wieczór balu marzyłam, a nawet o tym nie wiedziałam.

A potem go puszczam i podbiegam do boksu.

Wszyscy podchodzą i mnie ściskają.

– Nawet nie podejrzewałam, że wiecie, że mam jutro urodziny! To znaczy dzisiaj! – mówię.

– Jasne, że wiemy – mówi Lucas.

Darrell rzuca:

– Chłopak planował to od tygodni.

– To było urocze – mówi Pammy. – Zadzwonił, żeby spytać, jakiej foremki ma użyć do ciasta.

– Do mnie też dzwonił. A skąd, do cholery, miałabym to wiedzieć? – dodaje Chris.

– Ty! – Wymierzam Chris strzał w ramię. – Myślałam, że idziesz do klubu!

– Jeszcze mogę, jak już podkradnę komuś frytki. Mój wieczór dopiero się zaczyna, skarbie. – Przytula mnie i całuje w policzek. – Wszystkiego najlepszego, laska.

Odwracam się do Petera i mówię:

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś.

– Sam upiekłem ciasto – chwali się. – Z pudełka, ale i tak.

Zdejmuje kurtkę, z kieszeni wyciąga zapalniczkę i zaczyna zapalać świeczki. Gabe wyjmuje jedną z zapalonych i mu pomaga. Potem Peter wskakuje na stół i siada, zwieszając nogi z krawędzi.

– Chodź.

Rozglądam się.

– Hmm…

I wtedy słyszę pierwsze takty *If You Were Here* Thompson Twins. Przyciskam dłonie do policzków. Nie wierzę. Peter odtwarza scenę końcową z *Szesnastu świeczek*, kiedy Molly Ringwald i Jake Ryan siedzą na stole z tortem między nimi. Gdy oglądaliśmy ten film parę miesięcy temu, powiedziałam, że to najbardziej romantyczna scena, jaką w życiu widziałam. A teraz on ją dla mnie przygotował.

– Pospiesz się i wskakuj, zanim świeczki się roztopią, Laro Jean! – woła Chris.

Darrell i Gabe podsadzają mnie ostrożnie, żeby sukienka mi się nie zajęła. Peter mówi:

– Dobra, teraz popatrz na mnie z uwielbieniem, a ja nachylę się w ten sposób.

Chris podchodzi i układa moją spódnicę.

– Podwiń trochę wyżej rękawy – instruuje Petera, patrząc to na telefon, to na nas.

Peter to robi, a ona kiwa głową.

– Wygląda nieźle, wygląda nieźle.

Potem wraca na swoje miejsce i zaczyna robić zdjęcia. Nie muszę się wcale wysilać, żeby patrzeć dziś na Petera z uwielbieniem.

Zdmuchując świeczki, życzę sobie, żebym zawsze czuła do Petera to, co czuję w tej chwili.

23

Lokalny basen zawsze otwierają w weekend przed Dniem Pamięci Narodowej. Kiedy byłyśmy małe, odliczałyśmy z Margot dni do otwarcia. Mama pakowała kanapki z szynką i serem owinięte w papier woskowany, słupki marchewek i duży dzban wody jabłkowej. Woda jabłkowa to rozcieńczony niesłodzony sok jabłkowy, ale głównie woda. Błagałam o napój z automatu albo poncz owocowy, ale nie. Mama nasmarowywała nas kremem z filtrem tak, jak indyka masłem. Kitty wrzeszczała jak obdzierana ze skóry. Była zbyt niecierpliwa na ten zabieg. Kitty zawsze była niecierpliwa. Zawsze chciała więcej. Natychmiast. Zabawne, ile z tego, kim jesteśmy w dzieciństwie, zostaje w dorosłym życiu. Nigdy nie zwróciłabym na to uwagi, gdyby nie Kitty. Nadal robi te same małpie miny.

Kitty nie bierze w tym roku udziału w sztafecie pływackiej. Mówi, że już jej to nie bawi, skoro do sztafety nie należą jej przyjaciółki. Widziałam raz, jak nieświadoma, że ją obserwuję, tęsknie przygląda się przypiętemu na tablicy terminarzowi treningów. To pewnie też część dorastania – żegnanie się z rzeczami, które uwielbiało się robić.

Wszystkie trawniki są świeżo skoszone, a w powietrzu unosi się zapach koniczyny i zieleni. Cykają pierwsze tego lata świerszcze. To odgłos moich wakacji, wszystkich wakacji. Zajęliśmy z Peterem leżaki najbardziej oddalone od baseniku dla dzieci, bo jest tam mniej hałaśliwie. Przygotowuję się do egzaminu końcowego z francuskiego, a przynajmniej usiłuję to robić.

– Chodź tu, posmaruję ci ramiona – wołam do Kitty, która stoi nad basenem ze swoją przyjaciółką Brielle.

– Wiesz, że mnie nie spali – odpowiada.

To prawda, ramiona już ma opalone jak złociste brioszki. Pod koniec lata będą rumiane jak skórka pełnoziarnistego chleba. Kitty ma włosy odgarnięte do tyłu, ręcznik wisi jej na ramionach. Urosły jej nogi i ręce.

– Po prostu chodź tu – mówię.

Kitty podchodzi do leżaków, na których siedzimy z Peterem, a jej japonki klapią o podłoże. Spryskuję ją sprejem z filtrem i wcieram go w jej ramiona.

– Nieważne, czy się spalisz. Chroń skórę, żebyś później nie wyglądała jak stara skórzana torba.

Stormy zawsze mi to powtarzała.

Kitty chichocze na „starą skórzaną torbę".

– Jak pani Letty. Ma skórę w kolorze hot doga.

– Nie mówiłam o nikim konkretnym. Ale tak. Powinna była się smarować kremem, kiedy była młodsza. Niech to będzie dla ciebie przestrogą, moja siostro.

Pani Letty to nasza sąsiadka, skóra wisi na niej jak *crêpe*.

Peter wkłada ciemne okulary.

– Jesteście złośliwe.

– Odezwał się ten, który wyłożył kiedyś jej trawnik papierem toaletowym!

Kitty chichocze i bierze łyk mojej coli.

– Zrobiłeś to?

– To kłamliwa propaganda – rzuca beztrosko Peter.

Gdy dzień się rozkręca, Peter namawia mnie do odłożenia podręcznika do francuskiego i wskoczenia razem do basenu. Basen pełen jest małych dzieci, nie ma nikogo w naszym wieku.

Steve Bledell ma basen u siebie w domu, ale chciałam przyjść tutaj, w imię starych, dobrych czasów.

– Nie waż się mnie podtapiać – ostrzegam.

Peter zaczyna mnie okrążać jak rekin, podchodzi coraz bliżej i bliżej.

– Mówię poważnie!

Rzuca się na mnie i łapie mnie w pasie, ale mnie nie podtapia, tylko całuje. Skórę ma chłodną i gładką. Podobnie jak usta.

Odpycham go i szepczę:

– Nie całuj mnie, pełno tu dzieciaków!

– No i?

– No i nikt nie chce całujących się nastolatków w basenie, w którym usiłują się bawić dzieci. To nie w porządku.

Wiem, że gadam jak świętoszka, ale co tam. Kiedy byłam mała i nastolatki wygłupiały się w basenie, zawsze bałam się wejść do wody, bo zachowywali się, jakby basen należał do nich.

Peter wybucha śmiechem.

– Jesteś zabawna, Covey.

Odpływa w bok i mówi:

– To nie w porządku. – Po czym znów wybucha śmiechem.

Ratownik oznajmia gwizdkiem czas dla dorosłych, więc wszystkie dzieci wychodzą z basenu, w tym ja i Peter. Wracamy na leżaki, a Peter zsuwa je ze sobą.

Kładę się na boku i mrużąc oczy, pytam:

– Jak myślisz, ile trzeba mieć lat, żeby zostać w wodzie w czasie dla dorosłych? Osiemnaście czy dwadzieścia jeden?

– Nie wiem. Dwadzieścia jeden?

Przegląda telefon.

– Może osiemnaście. Trzeba zapytać.

Zakładam okulary przeciwsłoneczne i zaczynam śpiewać *Sixteen Going on Seventeen* z *Dźwięków muzyki*.

– „You need someone older and wiser, telling you what to do”.

Stukam Petera w nos dla podkreślenia słów.

– Ej, jestem od ciebie starszy – oponuje.

Przesuwam dłonią po jego policzku i śpiewam:

– „I am seventeen going on eighteen, I-I-I’ll take care of you”.

– Obiecujesz? – pyta.

– Zaśpiewaj to dla mnie choć raz – podsuwam, a Peter patrzy na mnie dziwnie. – Proszę. Uwielbiam, kiedy śpiewasz. Masz taki czysty głos.

Nie może powstrzymać uśmiechu. Nie było jeszcze komplementu, który nie wywołałby u niego uśmiechu.

– Nie znam słów – protestuje.

– Owszem, znasz. – Udaję, że macham mu przed nosem różdżką. – Imperio! Czekaj… wiesz, co to znaczy?

– To… zaklęcie niewybaczalne?

– Tak. Jestem pod wrażeniem, Peterze K. A do czego ono służy?

– Zmusza do robienia rzeczy, których nie chcesz zrobić.

– Bardzo dobrze, młody czarodzieju. Jest dla ciebie jeszcze jakaś nadzieja. A teraz śpiewaj!

– Ty mała wiedźmo. – Rozgląda się, żeby zobaczyć, czy nikt nie słucha, a potem cicho

śpiewa: − „I need someone older and wiser telling me what to do… You are seventeen going on eighteen… I'll depend on you".

Klaszczę w dłonie z zachwytu. Czy istnieje coś bardziej odurzającego niż nagięcie chłopaka do własnej woli? Przysuwam się do niego bliżej i zarzucam mu ręce na szyję.

– Teraz to ty zachowujesz się nieprzystojnie w miejscu publicznym! – mówi.

– Masz naprawdę piękny głos, Peterze. Nie powinieneś był rezygnować z chóru.

– Zapisałem się do niego wyłącznie dlatego, że śpiewały tam wszystkie dziewczyny.

– W takim razie zapomnij o chórze w UW. O grupach *a cappella* również. – Mówię to żartem, szczerze, ale Peter wygląda na przejętego. – Żartuję! Zapisz się do wszystkich grup, na jakie masz ochotę! I tak w Hullabahoos są tylko faceci.

– Nie chcę wstępować do żadnej grupy *a cappella*. I nie zamierzam patrzeć na inne dziewczyny.

O.

– Oczywiście, że będziesz patrzył na inne dziewczyny. Masz oczy, prawda? Słowo daję, że to równie durne, jak kiedy ludzie mówią, że nie zauważają koloru skóry. Przecież każdy go zauważa. Nie ma na to rady.

– Nie to miałem na myśli!

– Wiem, wiem. – Siadam i kładę sobie z powrotem na kolanach podręcznik do francuskiego. – Naprawdę nie zamierzasz w ogóle się uczyć do egzaminu z historii Stanów, który masz w środę?

– Muszę go jedynie zaliczyć – przypomina mi.

– To miłe uczucie – mówię.

– Ej, przecież nie odbiorą ci miejsca w Wilhelmie i Marii, jeśli dostaniesz tróję z francuskiego – zauważa Peter.

– Nie martwię się o francuski. Martwię się o matematykę w piątek.

– Dobra, nie wykopią cię też za tróję z matmy.

– Pewnie nie, ale chcę skończyć z dobrymi ocenami – mówię.

Odliczanie zaczęło się na dobre, bo maj dobiega już końca. Ostatni tydzień szkoły. Wyciągam ręce i nogi, mrużę oczy w słońcu i wydaję z siebie westchnienie szczęścia.

– Przyjdźmy tu w przyszłym tygodniu.

– Nie mogę. Jadę na weekendowy trening, zapomniałaś?

– Już?

– No. Dziwne uczucie, sezon się zakończył i już nie zagramy razem meczu.

Nasza szkolna drużyna lacrosse nie dostała się do mistrzostw stanowych. Wiedzieli, że mają marne szanse, ale Peter „jest tylko jeden" – jak sam zwykł mawiać. Ha! W przyszły weekend wyjeżdża na obóz treningowy z nową drużyną z UW.

– Cieszysz się, że poznasz kolegów z drużyny? – pytam go.

– Znam już paru gości, ale tak. Będzie fajnie. – Wyciąga ręce i zaczyna zaplatać mi pasmo włosów w warkocz. – Chyba nabieram wprawy.

– Masz całe lato na ćwiczenia – mówię, nachylając się, żeby mógł dosięgnąć moich włosów.

Nic nie odpowiada.

24

Koniec szkoły zawsze niesie ze sobą szczególne uczucie. Dzieje się tak każdego roku, ale tym razem uczucie jest wzmocnione, bo następnego roku nie będzie. Panuje atmosfera zamknięcia. Nauczyciele ubierają się na lekcje w szorty i podkoszulki. Puszczają nam filmy i sprzątają w swoich biurkach. Nikt nie ma już siły się przejmować. Wszyscy tylko odliczamy dni, robiąc coś dla zabicia czasu. Wszyscy wiedzą, gdzie idą, a chwila obecna zdaje się już należeć do przeszłości. Nagle życie nabiera tempa i spowalnia jednocześnie. Jakby się było w dwóch miejscach naraz.

Egzaminy idą dobrze. Nawet matematyka nie jest tak zła, jak się spodziewałam. I oto moja licealna kariera dobiega końca. Peter wyjechał na obóz treningowy. Minął zaledwie dzień, a ja już za nim tęsknię, tak jak tęskni się za Bożym Narodzeniem w lipcu. Peter to moje kakao w kubku, moje czerwone rękawiczki, mój bożonarodzeniowy poranek.

Powiedział, że zadzwoni, jak tylko wróci z sali, więc trzymam telefon koło siebie z włączonym dźwiękiem. Wcześniej tego ranka zadzwonił, kiedy brałam prysznic, a gdy zobaczyłam połączenie, nie mógł już rozmawiać. Czy tak będzie wyglądać nasza przyszłość? Będzie inaczej, kiedy zaczną się zajęcia i będę miała własny grafik, ale póki co mam wrażenie, jakbym stała na szczycie latarni morskiej i czekała, aż statek ukochanego zawinie do portu. Dla osoby o romantycznym usposobieniu nie jest to zupełnie niemiłe uczucie, przynajmniej na razie. Zmieni się to, kiedy przestanie być takie nowe, kiedy niewidzenie go na co dzień stanie się nową normą, ale na razie tęsknota to swego rodzaju perwersyjna przyjemność.

Późnym popołudniem schodzę na dół w długiej białej koszuli nocnej, w której zdaniem Margot wyglądam jak z *Domku na prerii*, a zdaniem Kitty jak duch. Siadam przy blacie z jedną nogą na stołku i otwieram puszkę brzoskwiń, po czym zjadam je widelcem prosto z puszki. Jest coś niezwykle przyjemnego we wgryzaniu się w skórkę brzoskwiń w syropie.

Wzdycham, a Kitty podnosi na mnie wzrok znad swojego komputera i pyta:

– Nad czym tak głośno wzdychasz?

– Tęsknię za… Bożym Narodzeniem.

Wgryzam się w kolejny plaster brzoskwini.

Kitty się ożywia.

– Ja też! Myślę, że powinniśmy w tym roku kupić renifery do ogrodu przed domem. Nie te tanie, te stylowe, elektryczne, całe w światełkach.

Wzdycham ponownie i odstawiam puszkę.

– Pewnie.

Syrop zaczyna ciążyć mi na żołądku.

– Przestań wzdychać!

– Czemu wzdychanie jest takie przyjemne? – zastanawiam się.

Kitty wzdycha głęboko.

– To w zasadzie to samo co oddychanie. A przyjemnie jest oddychać. Powietrze jest przepyszne.

– Jest, prawda? – Nabijam kolejny plaster brzoskwini. – Zastanawiam się, gdzie się kupuje takie renifery. Pewnie będą je mieli w supermarkecie.

– Powinniśmy pojechać do tego sklepu Christmas Mouse. Moglibyśmy zaopatrzyć się w mnóstwo rzeczy. Nie ma go w Williamsburgu?

– Jest, na drodze do centrów outletowych. Wiesz co, przydałby się nam też nowy wieniec

adwentowy. A gdyby mieli lawendowe światełka, byłoby super. Dawałby wrażenie zimowo-baśniowej krainy. Może całe drzewko ubralibyśmy na pastelowo.

– Nie dajmy się ponieść – mówi oschle.

Ignoruję ją.

– Nie zapominaj, że Trina ma mnóstwo własnych ozdób. Ma całą świąteczną wioskę, pamiętasz? Leży zapakowana w pudłach w garażu.

Wioska Triny to nie jakaś mała scenka z jasełek. Jest tam fryzjer i piekarnia, i sklep z zabawkami. Jest moc.

– Nawet nie wiem, gdzie moglibyśmy ją postawić.

Wzrusza ramionami.

– Pewnie będziemy musieli wyrzucić część naszych starych rzeczy.

Rety, Kitty nie ma za grosz sentymentu! Tym samym praktycznym tonem dodaje:

– I tak nie wszystko, co mamy, jest takie świetne. Nasz dywanik pod choinkę jest postrzępiony i wygląda jak przeżuty. Po co trzymać coś tylko dlatego, że jest stare? Nowe niemal zawsze jest lepsze niż stare, wiesz?

Odwracam wzrok. Mama kupiła ten dywanik na kiermaszu świątecznym w naszej podstawówce. Jedna ze szkolnych mam robiła na drutach. Kłóciłyśmy się z Margot, który wybrać. Jej podobał się czerwony z lamówką w kratę, a mnie biały, bo uważałam, że nasze drzewko będzie wyglądało, jakby stało na śniegu. Mama zdecydowała się na czerwony, bo biały według niej szybko by się brudził. Czerwony nieźle się trzymał, ale Kitty ma rację, pewnie już czas, żeby przeszedł na emeryturę. Ale w życiu ani ja, ani Margot nie pozwolimy jej go wyrzucić. W najgorszym razie powycinam z niego kwadraty i włożę na pamiątkę do pudełka na kapelusze.

– Trina ma ładny dywanik – mówię cicho. – Z białego futerka. Jamie Fox-Pickle będzie uwielbiał na nim leżeć.

Brzęczy mój telefon, podskakuję więc, żeby sprawdzić, czy to Peter, ale to tylko tata z informacją, że kupuje tajskie jedzenie na kolację i czy chcemy pad thai czy pad see ew. Znowu wzdycham.

– Słowo daję, Laro Jean, spróbuj westchnąć kolejny raz! – grozi mi Kitty, po czym przyglądając mi się, mówi: − Wiem, że to nie za Bożym Narodzeniem tęsknisz. Petera nie ma jeden dzień, a ty zachowujesz się, jakby wyjechał na wojnę czy coś.

Ignoruję ją i wybieram pad see ew z czystej zemsty, bo wiem, że Kitty woli pad thai.

I wtedy dostaję na maila powiadomienie. Z sekcji przyjęć Uniwersytetu Karoliny Północnej. Zaktualizowano moje podanie. Klikam w link. „Gratulujemy…”

Nie jestem już na liście rezerwowej.

Co takiego?

Siedzę osłupiała, czytając wiadomość raz po raz. Ja, Lara Jean Song Covey, dostałam się na Uniwersytet Karoliny Północnej w Chapel Hill. Nie mogę uwierzyć. Nie sądziłam, że mogłabym się tam dostać. Ale mnie przyjęli.

– Laro Jean? Halo?

Zaskoczona podnoszę wzrok.

– Zadałam ci właśnie trzy razy pytanie. Co z tobą?

– Hmm… Chyba właśnie dostałam się na UKP w Chapel Hill.

Szczęka Kitty opada.

– Wow!

– Dziwne, prawda? – Kręcę głową z niedowierzaniem.

Kto by pomyślał? Nie ja. W ogóle zapomniałam o UKP po tym, jak dostałam się na listę

rezerwową.

– Naprawdę ciężko się tam dostać, Laro Jean!

– Wiem.

Nadal jestem oszołomiona. Po tym, jak nie przyjęli mnie na UW, czułam się kompletnie zdołowana, jakbym nie była wystarczająco dobra. Ale UKP! Tam nawet trudniej o przyjęcie niż na UW z samej Wirginii.

Kitty rzednie nieco mina.

– Ale czy nie idziesz do Wilhelma i Marii? Nie wysłałaś już zaliczki? I czy nie przenosisz się w przyszłym roku na UW?

UW. Przez ułamek sekundy zapomniałam o przeniesieniu na UW i byłam szczęśliwa z powodu UKP.

– Taki mam plan – mówię.

Brzęczy mój telefon i serce mi podskakuję, bo myślę, że to Peter, ale nie. To esemes od Chris.

Masz ochotę na Starbucksa?

Odpisuję:

NIE ZGADNIESZ CO! Dostałam się na UKP!

OMG!

Dzwonię.

Sekundę później mój telefon dzwoni, a Chris wykrzykuje:

– Ja pierniczę!

– Dziękuję! To znaczy – wow. Ja tylko… to taka świetna szkoła. Sądziłam, że…

– Co zamierzasz zrobić? – pyta.

– No… − Zerkam na Kitty, która bacznie mnie obserwuje. – Nic. Nadal idę do Wilhelma i Marii.

– Ale czy UKP nie jest lepszy?

– Wyżej w rankingach. Nie wiem. Nigdy tam nie byłam.

– To pojedźmy – mówi.

– Zajrzeć tam? Kiedy?

– Teraz! Spontaniczna wycieczka!

– Zwariowałaś? To cztery godziny drogi!

– Wcale nie. Zaledwie trzy godziny i dwadzieścia pięć minut. Właśnie sprawdziłam.

– Kiedy dojedziemy na miejsce, będzie…

– Szósta. Wielkie rzeczy. Rozejrzymy się, zjemy kolację i wrócimy. Czemu nie! Jesteśmy młode. A ty musisz wiedzieć, z czego rezygnujesz. – Zanim zdążę znów zaprotestować, mówi: − Podjadę za dziesięć minut. Spakuj coś do żarcia. – A potem się rozłącza.

Kitty mi się przygląda.

– Jedziesz do Karoliny Północnej? Teraz?

Czuję w tej chwili euforię. Śmieję się i mówię:

– Na to wygląda!

– Czy to znaczy, że pójdziesz tam zamiast do Wilhelma i Marii?

– Nie, tylko… tam zajrzę. Nic się nie zmienia. Ale nie mów tacie.

– Czemu nie?

– Bo… tak. Możesz mu powiedzieć, że jestem z Chris i że nie będzie mnie na kolacji, ale nie wspominaj nic na temat UKP.

A potem ubieram się i biegam po domu jak strzyga, wrzucając rzeczy do plecaka. Suszony groszek z wasabi, paluszki grissini, butelkę wody. Nigdy dotąd nie wybrałyśmy się z Chris na taką wycieczkę. Zawsze chciałam to z nią zrobić. A co szkodzi rzucić okiem na Chapel Hill, po prostu zobaczyć? Nie pójdę tam, ale fajnie o tym pomyśleć.

Jesteśmy z Chris w połowie drogi do Chapel Hill, kiedy zdaję sobie sprawę, że telefon mi się rozładowuje, a zapomniałam zapakować ładowarkę.

– Masz ładowarkę w samochodzie? – pytam.

Wyśpiewuje razem z radiem.

– Nie.

– Cholerka!

Zużyłyśmy już połowę baterii jej telefonu z powodu GPS-u. Czuję się niepewnie, wyjeżdżając poza stan bez naładowanego porządnie telefonu. Poza tym kazałam Kitty nie mówić tacie, gdzie jadę. A jeśli coś się wydarzy?

– Jak myślisz, o której wrócimy?

– Przestań się zamartwiać, babciu Laro Jean. Nic nam nie będzie.

Opuszcza nasze szyby i zaczyna szukać torebki. Znajduję jej torebkę na podłodze z tyłu i wyjmuję dla niej papierosa, zanim rozbije samochód. Kiedy stoimy na czerwonym, zapala go i głęboko się zaciąga.

– Będziemy jak pionierzy. To tylko dodaje dreszczyku emocji. Nasi przodkowie też nie mieli komórek.

– Pamiętaj, że jedziemy się tylko rozejrzeć. Nadal wybieram się do Wilhelma i Marii.

– Pamiętaj… najważniejsze są możliwości – mówi Chris.

Margot też zawsze mi to powtarza. Te dwie mają ze sobą więcej wspólnego, niż im się wydaje.

Resztę drogi spędzamy, przeszukując stacje radiowe, śpiewając i rozmawiając o tym, czy Chris powinna przefarbować włosy z przodu na różowo. Jestem zaskoczona, jak szybko mija czas. Dojeżdżamy do Chapel Hill w niespełna trzy i pół godziny, zgodnie z zapowiedzią Chris. Znajdujemy miejsce parkingowe na Franklin Street, która jest chyba główną ulicą. Pierwsze uderza mnie, jak bardzo kampus UKP przypomina kampus UW. Mnóstwo klonów, mnóstwo zieleni, mnóstwo budynków z cegły.

– Ładnie tu, prawda? – Przystaję, żeby popodziwiać kwitnący na różowo dereń. – Zaskakujące, jak dużo mają tu dereni, skoro to stanowy kwiat Wirginii. Jak myślisz, jaki kwiat reprezentuje Karolinę Północną?

– Nie mam pojęcia. Czy możemy coś zjeść? Umieram z głodu.

Chris ma zdolność koncentracji muchy, a kiedy jest głodna, lepiej mieć się na baczności.

Obejmuję ją w pasie. Czuję nagły przypływ ciepłych uczuć w związku z tym, że zabrała mnie na tę wycieczkę, żebym mogła zobaczyć, co by było gdyby.

– W takim razie napełnijmy twój brzuch. Na co masz ochotę? Pizza? Kanapka z bagietki? Chińskie żarcie?

Obejmuje mnie za ramiona. Nastrój jej się poprawia, gdy tylko słyszy o rozmaitych kuchniach.

– Ty wybierz. Wszystko oprócz chińszczyzny. I pizzy. Wiesz co, zjedzmy sushi.

Mija nas na ulicy dwóch gości i Chris woła:

– Hej!

Obracają się.

– Co tam? – pyta jeden z nich.

Jest ciemnoskóry, przystojny, wysoki, ma umięśnione ramiona i podkoszulek drużyny zapaśniczej Karoliny.

– Gdzie tu dostaniemy najlepsze sushi? – pyta Chris.

– Nie jadam sushi, więc nie umiem powiedzieć. – Patrzy na swojego rudego przyjaciela, który jest mniej atrakcyjny, ale i tak atrakcyjny. – Gdzie ty chodzisz?

– Pikantna Dziewiątka – mówi, lustrując Chris. – Idźcie Franklin Street w tamtym kierunku, a traficie. – Puszcza do niej oczko i obaj ruszają w przeciwną stronę.

– Powinnyśmy pójść za nimi? – pyta, odprowadzając ich wzrokiem. – Zobaczyć, jakie mają plany na dzisiejszy wieczór?

Obracam ją w kierunku, który nam wskazali.

– Myślałam, że jesteś głodna – przypominam jej.

– A, tak – mówi. – No to mamy jeden plus po stronie UKP, prawda? Seksowniejsi kolesie?

– Jestem pewna, że do Wilhelma i Marii też chodzą przystojniaki. – I szybko dodaję: − Nie żeby to miało znaczenie, bo mam przecież chłopaka.

Który, nadmieńmy, nadal nie zadzwonił. Zostało mi pięć procent baterii, więc kiedy zadzwoni, będzie za późno.

Po sushi spacerujemy Franklin Street, zatrzymując się w sklepach. Rozważam kupno bejsbolówki z logo Tar Heels dla Petera, ale pewnie by jej nie nosił, bo kibicuje drużynie Cavaliers.

Mijamy drogowskaz, a Chris zatrzymuje się w pół kroku. Wskazuje na znak prowadzący do teatru o nazwie Kocia Kołyska. Gra dzisiaj zespół Miau Mixx.

– Chodźmy! – mówi.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś Miau Mixx? – pytam. – Jaki rodzaj muzyki grają?

– Kogo to obchodzi. Chodźmy! – Łapie mnie za rękę.

Biegniemy ulicą roześmiane.

Na zewnątrz stoi kolejka, a zespół już zaczął grać. Z otwartych drzwi dobiegają urywki muzyki tanecznej. Przed nami czeka w kolejce parę dziewczyn, więc Chris obejmuje mnie ramieniem i mówi:

– Moja najlepsza przyjaciółka właśnie dostała się na UKP.

Kiedy słyszę, że Chris nazywa mnie najlepszą przyjaciółką, robi mi się ciepło na sercu. Wiem, że nadal jesteśmy dla siebie ważne, mimo że ona ma przyjaciół z pracy, a ja mam Petera. Czuję dzięki temu pewność, że kiedy będzie w Kostaryce czy w Hiszpanii, czy gdzie tam wyląduje, nadal będziemy ze sobą blisko.

Jedna z dziewczyn przytula mnie i mówi:

– Gratulacje! Spodoba ci się tu.

Włosy ma splecione w warkocze, a na sobie podkoszulek z napisem: „Hillary jest moim prezydentem”.

Poprawiając emaliowaną wsuwkę w kształcie lizaka we włosach, jej koleżanka mówi:

– Zapisz się do akademika Ehaus albo Craige. Są najfajniejsze.

Z zażenowaniem mówię:

– W zasadzie to wcale się tu nie wybieram. Przyjechałam tylko zajrzeć. Dla zabawy.

– O, a gdzie idziesz? – pyta, lekko krzywiąc piegowatą twarz.

– Do Wilhelma i Marii – mówię.

– Ale to nic pewnego – wtrąca się Chris.

– To dość pewne – mówię.

– Ja przyjechałam tu zamiast Princeton – mówi ta z warkoczami. – Aż tak mi się tu spodobało, kiedy przyjechałam z wizytą. Zobaczysz. Nawiasem mówiąc, jestem Hollis.

Przedstawiamy się wszystkie i dziewczyny mówią mi o wydziale anglistyki, meczach koszykówki w Dean Dome i miejscach przy Franklin Street, w których nie sprawdzają legitek. Chris, która wyłączyła się z fragmentu rozmowy o wydziale anglistyki, nagle nadstawia uszu. Przed wejściem do środka Hollis podaje mi swój numer telefonu.

– Na wypadek gdybyś się zdecydowała – mówi.

Kiedy wchodzimy do środka, sala jest prawie pełna, mnóstwo osób stoi pod sceną, pije piwo i tańczy do muzyki. Zespół to tak naprawdę dwóch chłopaków z gitarami i laptopem, a ich brzmienie to rodzaj elektronicznego popu, który wypełnia całe pomieszczenie. Publiczność jest mieszana: trochę starszych gości, którym bliżej wiekiem do mojego taty, w podkoszulkach zespołów rockowych i z brodami, ale też sporo studentów. Chris usiłuje zetrzeć pieczątkę z ręki, żeby zdobyć dla nas piwo, ale jej się to nie udaje. Nie przeszkadza mi to, bo tak naprawdę nie lubię piwa, a poza tym ona musi odwieźć nas dziś wieczorem do domu. Zaczynam podpytywać, czy ktoś nie ma ładowarki, za co dostaję strzał w ramię od Chris.

– To nasza przygoda! – krzyczy. – Nie potrzeba nam komórek, żeby przeżyć przygodę!

Potem łapie mnie za rękę i ciągnie pod samą scenę. Tańcząc, przesuwamy się do środka i podskakujemy do muzyki, chociaż nie znamy żadnego kawałka. Jeden z muzyków chodził do UKP i w połowie imprezy intonuje pieśń bojową koszykarzy z Karoliny. Tłum szaleje, cała sala aż się trzęsie. My z Chris nie znamy słów, ale razem ze wszystkimi krzyczymy: „Idź do diabła, Duke!”. Włosy opadły nam dziko na twarz. Jestem spocona i nagle czuję, że świetnie się bawię.

– To jest naprawdę super! – krzyczę Chris prosto w twarz.

– No! – odpowiada.

Po chwili Chris oznajmia, że jest głodna, więc znikamy w mrokach wieczoru.

Idziemy ulicą chyba całe wieki, aż docieramy do miejsca o nazwie Kosmiczna Kantyna. To maleńka meksykańska knajpka z długą kolejką, która zdaniem Chris oznacza, że mają żarcie albo dobre, albo naprawdę tanie. Wchłaniamy z Chris nasze burrito faszerowane ryżem, fasolą, stopionym serem i salsą pomidorową domowej roboty. Smakowałyby nijako, gdyby nie ostry sos. Tak ostry, że wypala mi usta. Gdyby telefon mi nie padł, a Chris prawie nie padł, poszukałabym w sieci najlepszego burrito w Chapel Hill. Ale wtedy nie znalazłybyśmy tego miejsca. Z jakiegoś powodu to najlepsze burrito, jakie w życiu jadłam.

Po kolacji mówię:

– Która godzina? Powinnyśmy pewnie wkrótce wracać, jeśli mamy być z powrotem przed pierwszą.

– Ale prawie nie obejrzałaś kampusu – mówi Chris. – Nie ma nic, co chciałabyś szczególnie zobaczyć? Na przykład, nie wiem, nudna biblioteka czy coś?

– Nikt nie zna mnie tak dobrze jak ty, Chris – mówię, a ona trzepocze rzęsami. – Jest miejsce, które chciałabym zobaczyć… widnieje na wszystkich ulotkach. Stara studnia.

– To chodźmy – mówi.

W drodze pytam:

– Czy twoim zdaniem Chapel Hill jest podobne Charlottesville?

– Nie, fajniejsze.

– Jesteś zupełnie jak Kitty. Uważasz, że wszystko, co nowe, jest lepsze – mówię.

– A ty uważasz, że wszystko, co stare, jest lepsze – ripostuje.

I ma rację. Resztę drogi spędzamy w przyjacielskim milczeniu. Rozmyślam o tym, w czym UKP przypomina mi UW, a w czym nie. Kampus jest spokojny, pewnie dlatego, że większość studentów wyjechała do domów na letnie wakacje. Ale i tak napotykamy parę

spacerujących osób: dziewczyny w plażówkach i sandałach i chłopaków w szortach khaki i czapeczkach bejsbolowych UKP.

Przecinamy zielony trawnik i oto ona: stara studnia. Stoi pomiędzy dwoma akademikami z cegły. To niewielka rotunda, jakby miniwersja tej z UW, a pośrodku znajduje się fontanna z wodą pitną. Tuż za nią rośnie wielki biały dąb, a wokół azalie, intensywnie różowe jak szminka, której używała Stormy. Jest tu magicznie.

– Trzeba wypowiedzieć jakieś życzenie czy coś? – pyta Chris, podchodząc do fontanny.

– Słyszałam, że pierwszego dnia zajęć studenci piją z fontanny łyk wody na szczęście – mówię. – Na szczęście albo same piątki.

– Tam, gdzie jadę, same piątki mi się nie przydadzą, ale szczęściem nie pogardzę.

Chris pochyla się i pije, przechodzące obok dziewczyny ostrzegają:

– Chłopaki z klubu studenckiego stale tu sikają, nie rób tego.

Chris podrywa głowę i odskakuje od fontanny.

– Fuj! – Podskakując, mówi: − Zróbmy sobie selfie.

– Nie możemy. Padły nam telefony, zapomniałaś? Będziemy musiały zachować to wspomnienie w sercach jak za starych, dobrych czasów.

– To słuszna uwaga – mówi Chris. – Czy ruszamy w drogę?

Waham się. Nie wiem czemu, ale nie jestem jeszcze gotowa do wyjazdu. A jeśli nigdy więcej tu nie wrócę? Dostrzegam ławkę stojącą przodem do jednego z ceglanych budynków, podchodzę do niej i siadam.

– Zostańmy jeszcze chwilę.

Przyciągam kolana do brody, a Chris siada obok mnie. Bawiąc się bransoletkami na ręce, mówi:

– Szkoda, że nie mogę tu z tobą przyjechać.

– Do college'u czy Karoliny Północnej?

Nostalgiczna nuta w jej głosie zbyt mnie zaskakuje, żeby jej przerwać i przypomnieć, że ja też tu nie przyjadę.

– Jedno i drugie. Nie zrozum mnie źle. Jestem podekscytowana Kostaryką. Tylko… Sama nie wiem. Co, jeśli tracę coś, nie idąc do college'u w tym samym czasie co wszyscy?

Patrzy na mnie pytająco.

– College będzie na ciebie czekał, Chris. Za rok, za dwa. Kiedy będziesz miała ochotę – mówię.

Chris odwraca się i patrzy na trawnik.

– Może. Zobaczymy. Wyobrażam sobie ciebie tutaj, Laro Jean. A ty nie?

Przełykam ślinę.

– Mam plan. Wilhelm i Maria na rok, a potem UW.

– Chcesz powiedzieć, że ty i Peter macie plan. Dlatego się wycofujesz.

– Dobrze, Peter i ja mamy pewien plan. Ale to niejedyny powód.

– Ale główny.

Nie mogę temu zaprzeczyć. Niezależnie od tego, czy pójdę do Wilhelma i Marii czy tutaj, będzie brakowało Petera.

– To czemu nie pójdziesz tutaj na rok? – pyta Chris. – Jaka różnica, czy będziesz tu czy w Wilhelmie i Marii? Godziny? Tak czy inaczej nie jesteś na UW. To czemu nie tutaj?

Nie czeka na moją odpowiedź, podskakuje i pędzi na trawnik, zrzuca kopnięciem buty i robi serię gwiazd.

A gdybym tu poszła i pokochała to miejsce? Gdybym po roku nie miała ochoty się przenosić? Co wtedy? Ale czy nie byłoby wspaniale, gdybym je pokochała? Czy nie o to w tym

chodzi? Po co decydować się na niekochanie miejsca? Czemu nie zaryzykować i nie postawić na szczęście?

Kładę się i wyciągam nogi na ławce, po czym patrzę w niebo. Wysoko nad moją głową rozpościera się baldachim z gałęzi drzew – jedno stoi koło budynku, drugie zasadzono na trawniku. Ich gałęzie sięgają ponad alejką i spotykają się pośrodku. A gdybyśmy mogli być z Peterem jak te drzewa, daleko, ale w kontakcie? Bo myślę, że chyba mogłabym być tu szczęśliwa. Myślę, że chyba też mogłabym sobie wyobrazić siebie tutaj.

Co powiedziała Stormy? Ostatniego dnia, kiedy ją widziałam, kiedy dała mi swój pierścionek? „Nigdy nie mów »nie«, kiedy tak naprawdę chcesz powiedzieć »tak«".

Kiedy zajeżdżamy pod mój dom, jest po trzeciej nad ranem i wszystkie światła się palą. Ups. Odwracam się do Chris.

– Wejdziesz ze mną? – błagam.

– Nie ma mowy. Radź sobie sama. Muszę wracać do domu i zmierzyć się z własną mamą.

Ściskam Chris na pożegnanie, wysiadam z auta i idę ciężkim krokiem w stronę schodków. Gdy tylko zaczynam przeczesywać plecak w poszukiwaniu kluczy, drzwi otwierają się na oścież. To Kitty w wielkim podkoszulku do spania.

– Masz kłopoty – szepcze.

Wchodzę do środka, a za nią staje tata, wciąż jeszcze w ubraniu roboczym. Trina siedzi na kanapie, rzucając mi spojrzenie pod tytułem: „Doigrałaś się i współczuję ci, ale mogłaś przynajmniej zadzwonić".

– Gdzie podziewałaś się całą noc?! – wrzeszczy tata. – I czemu nie odbierałaś telefonu?!

Kulę się w sobie.

– Padła mi bateria. Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak późno.

Zastanawiam się przez moment nad żartem, że właśnie dlatego millenialsi powinni nosić zegarki, żeby rozluźnić atmosferę, ale nie sądzę, żeby tym razem zadziałał.

Tata zaczyna krążyć po salonie.

– Czemu więc nie skorzystałaś z telefonu Chris?!

– Jej telefon też padł…

– Zamartwialiśmy się na śmierć! Kitty mówi, że wyszłaś z Chris, nie wyjaśniając, dokąd jedziecie… − Na te słowa Kitty na mnie patrzy. – Mało brakowało, a zadzwoniłbym na policję, Laro Jean! Gdybyś właśnie nie weszła w próg…

– Przepraszam – zaczynam. – Naprawdę przepraszam.

– To strasznie nieodpowiedzialne. – Mruczy do siebie tata, nawet mnie nie słuchając. – Laro Jean, może i masz osiemnaście lat, ale…

Z kanapy Trina rzuca:

– Dan, proszę, nie mów „ale nadal mieszkasz pod moim dachem". To takie oklepane.

Tata odwraca się na pięcie i mówi do niej:

– Ale jest po temu powód! To bardzo dobry tekst!

– Laro Jean, powiedz im, gdzie byłaś – mówi zniecierpliwionym głosem Kitty.

Tata rzuca jej oskarżycielskie spojrzenie.

– Kitty, wiedziałaś, dokąd pojechała?

– Kazała mi przysiąc, że nie powiem!

Zanim tata zdąży zareagować, mówię:

– Byłam z Chris w Karolinie Północnej.

Tata wyrzuca ręce w górę.

– W Karolinie Północnej! Co ty… co ty sobie wyobrażasz! Przekroczyłaś granicę stanów, nawet mnie o tym nie informując? Z rozładowaną baterią w telefonie na dokładkę!

Mdli mnie na myśl, że go tak przestraszyłam. Nie wiem, czemu nie zadzwoniłam. Mogłam pożyczyć od kogoś telefon. Chyba dałam się ponieść chwili, obecności w tamtym miejscu. Nie chciałam myśleć o domu ani o prawdziwym życiu.

– Przepraszam – szepczę. – Naprawdę strasznie mi przykro. Powinnam była zadzwonić.

Kręci głową.

– Czemu pojechałaś do Karoliny Północnej?

– Pojechałam do Karoliny Północnej, bo… − Milknę. Jeśli powiem to głośno, klamka zapadnie. – Bo dostałam się na UKP.

Tata wybałusza oczy.

– Naprawdę? To… to wspaniale. Ale co z Wilhelmem i Marią?

Z uśmiechem unoszę bezradnie ramiona.

Trina wydaje z siebie okrzyk, zeskakuje z kanapy, zrzucając flanelowy kocyk, którym była opatulona, i prawie się przy tym przewraca. Tata chwyta mnie w ramiona i przytula, a Trina się przyłącza.

– Rety, Laro Jean! – mówi, klepiąc mnie po plecach. – Będziesz kibicowała Tar Heels!

– Jestem szczęśliwy, że jesteś szczęśliwa – mówi tata, ocierając łzy z oczu. – Nadal jestem wściekły, że nie zadzwoniłaś. Ale jestem też szczęśliwy.

– Więc naprawdę tam idziesz? – pyta Kitty ze swojego miejsca na schodach.

Patrzę na nią, uśmiecham się niepewnie i mówię:

– Tak, idę.

Coś z Peterem wymyślimy. Jakoś damy sobie radę.

Opowiadam im szczegóły dzisiejszego wieczoru: o koncercie w Kociej Kołysce, o burrito w Kosmicznej Kantynie, o starej studni. Trina praży popcorn i prawie świta, zanim którekolwiek z nas kładzie się spać. Kiedy tata, powłócząc nogami, człapie do sypialni, Trina szepcze:

– Twój tata postarzał się dziesięć lat w ciągu jednego wieczoru. Patrz, idzie, jakby potrzebował laski. Przez ciebie wychodzę za starca.

Obie wybuchamy śmiechem i nie możemy przestać. Chyba wpadłyśmy w delirium z braku snu. Trina przewraca się na plecy i młóci nogami powietrze, tak bardzo się śmieje. Kitty, która zasnęła na kanapie, budzi się i mówi:

– Co was tak rozbawiło?

Na to wybuchamy śmiechem jeszcze bardziej. W drodze na górę tata przystaje, odwraca się i kręci głową na nasz widok.

– Już się przeciw mnie zmawiacie – mówi.

– Spójrz prawdzie w oczy, tato. Zawsze żyłeś w matriarchacie.

Posyłam mu buziaka. Marszczy brwi.

– Nie myśl sobie, że zapomniałem o twoim całonocnym pobycie poza domem bez choćby jednego telefonu.

Ups. Może za wcześnie na taką radość. Rusza dalej po schodach, a ja wołam:

– Naprawdę bardzo przepraszam!

Przepraszam, że nie zadzwoniłam, ale nie, że pojechałam.

25

Po przebudzeniu leżę przez chwilę w łóżku, wyciągając ręce i nogi w wielkie X, sięgające na północ, południe, wschód i zachód. Ubiegła noc zdaje się snem. Czy to się naprawdę dzieje? Czy idę na UKP?

Tak, naprawdę tak. Jakie to niesamowite, jakie ekscytujące, że cała trajektoria życia może zmienić się w ciągu jednego wieczoru. Zawsze bałam się zmian, ale w tej chwili niczego takiego nie czuję. Jestem podekscytowana. Widzę teraz, jaki to przywilej cieszyć się tym, gdzie się idzie na studia. Peter, Chris, Lucas – wszyscy idą tam, gdzie chcą, ale moja przyszłość sprawiała wrażenie planu B, i tak właśnie było, niezależnie od tego, jak dobrą szkołą jest Wilhelm i Maria. UKP to szansa, z której istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak drzwi, które magicznie się pojawiają, drzwi, które mogą prowadzić w dowolne miejsce.

Kończę marzyć na jawie, patrzę na zegarek i widzę, że przespałam cały dzień. Siadam, włączam telefon i widzę nieodebrane połączenia i wiadomości głosowe od taty i Kitty z zeszłego wieczoru. Usuwam je, nawet nie odsłuchawszy, żebym nie musiała słyszeć wściekłego głosu taty. A potem widzę, że Peter też zostawił mi wiadomość głosową. Na widok jego imienia na ekranie czuję serce w żołądku. Są też esemesy z pytaniami, gdzie jestem. Oddzwaniam, ale nie odbiera, więc dochodzę do wniosku, że musi być na treningu. Zostawiam mu wiadomość, żeby wpadł do mnie, jak wróci do domu. Mamy dziś iść na imprezę u Steve'a Bledella. Denerwuję się na myśl o przekazaniu Peterowi nowiny. Mieliśmy ustalony plan, a teraz wszystko zmieniam, ale przecież nie wiedziałam, że te drzwi się przede mną otworzą. Zrozumie to. Wiem, że zrozumie.

Opadam na wznak na łóżko i dzwonię na wideoczacie do Margot. Jest poza domem i gdzieś idzie.

– Co tam? – pyta.

– Nie zgadniesz.

– Co!

– Dostałam się na UKP!

Zgodnie z przewidywaniem krzyczy i upuszcza telefon. Na szczęście na trawę. Kuca, żeby go podnieść. Nadal krzyczy.

– Nie wierzę! To wspaniale! Cudowne wieści! Kiedy się dowiedziałaś?

Przewracam się na brzuch.

– Wczoraj! Pojechałyśmy tam wczoraj wieczorem z Chris, Gogo, było tak fajnie. Byłyśmy na jakimś koncercie, tańczyłyśmy i krzyczały jak głupie. Boli mnie gardło!

– Czekaj… idziesz tam, prawda?

– Tak!

Margot znów krzyczy, a ja się śmieję.

– Jak wygląda ich kampus? – pyta.

– Bardzo podobny do UW.

– Słyszałam. Słyszałam, że kampusy mają bardzo podobne. Miasteczka też. Oba liberalne, ale Chapel Hill chyba jeszcze bardziej. Dużo wielkich umysłów. Nie mogę się doczekać, żeby przejrzeć z tobą listę kursów. – Znów rusza. – Będzie ci się tam podobało. Maggie Cohen, która była ode mnie rok wyżej, jest *zachwycona*. Powinnaś z nią pogadać. – Uśmiechając się promiennie, Margot mówi: − Teraz wszystko się zaczyna, Laro Jean. Zobaczysz.

Po rozmowie z Margot biorę kąpiel z bąbelkami i odprawiam swoje rytuały: maseczka na twarz, masaż gąbką naturalną, peeling z brązowego cukru i lawendy. W wannie ćwiczę to, co

zamierzam powiedzieć Peterowi. „Rosną tam naprzeciw siebie dwa drzewa, a ich gałęzie spotykają się pośrodku…” Siedzę w łazience tak długo, że Kitty krzyczy, żebym się pospieszyła. Wychodzę z wanny, suszę włosy, a potem je kręcę. Poprawiam paznokcie, a nawet nakładam na skórki krem cytrynowy, który sobie kupiłam, ale nigdy nie pamiętam, żeby go użyć.

Tata, Trina i Kitty poszli na jakiś film, więc kiedy Peter przyjeżdża koło ósmej, jestem w domu sama. Ma na sobie nową bluzę UW, a włosy świeżo umyte, jeszcze wilgotne. Pachnie mydłem dove, co bardzo lubię. Przytula mnie, przyciskając swoje ciało do mojego.

– Mam takie zakwasy – mówi, padając na kanapę w salonie. – Czy możemy nie iść dziś do Steve’a? Mam ochotę zostać i posiedzieć z tobą, nie musieć rozmawiać z ludźmi. Jestem pierońsko wykończony.

– Jasne – mówię i biorę głęboki oddech, żeby przekazać mu wieści, ale wtedy on podnosi na mnie zmęczone spojrzenie.

– Chłopaki z drużyny są w niesamowitej kondycji. Trudno było za nimi nadążyć.

Marszczę brwi.

– Ej, ty też masz dobrą kondycję.

– Nie tak dobrą jak oni. Muszę się doszkolić. – Pociera kark. – Powiesz mi wreszcie, gdzie byłaś wczoraj wieczorem?

Siadam na kanapie przodem do niego, na podwiniętych nogach. Przykładam wierzchy dłoni do policzków, które aż płoną. A potem kładę ręce na kolanach.

– No dobra. – Milknę. – Jesteś na to gotowy?

Śmieje się.

– Tak, gotowy.

– Dobrze. To wariactwo, ale byłam z Chris w Karolinie Północnej.

Peter unosi brwi.

– Dziwne. Dobra. Mów dalej.

– Pojechałam tam, bo… dostałam się na UKP!

Mruga.

– Wow. To… wow. Niesamowite.

Biorę kolejny oddech.

– Nie sądziłam, że będę chciała tam pójść, ale kiedy się tam znalazłyśmy, okazało się, że miasteczko jest urocze, a ludzie naprawdę mili, i jest tam taka ławeczka, koło starej studni, na której jak się położysz i podniesiesz wzrok, zobaczysz dwa drzewa naprzeciw siebie, które spotykają się pośrodku. Ich gałęzie stykają się, o tak. – Zaczynam demonstrować, a potem przestaję, bo zdaję sobie sprawę, że Peter wcale mnie nie słucha, tylko wpatruje się w przestrzeń. – O czym myślisz?

– Czy to oznacza, że idziesz tam, a nie do Wilhelma i Marii?

Waham się.

– Tak.

Kiwa głową.

– Cieszę się twoim szczęściem, naprawdę. Tylko do bani, że będziesz tak daleko. Jakbym miał wsiąść do samochodu i jechać teraz do Chapel Hill, zasnąłbym za kierownicą. Jak daleko leży Charlottesville od Chapel Hill? Cztery godziny?

Czuję, jak żołądek mi się zaciska.

– Trzy godziny dwadzieścia pięć minut. Wiem, że to wygląda na dużo, ale słowo daję, że czas mija szybko!

– To dwa razy tyle, ile z Charlottesville do Wilhelma i Marii. I to bez korków.

Opiera głowę o kanapę.

– Nie dwa razy – mówię cicho. – To tylko dodatkowe półtorej godziny.

Patrzy na mnie i widzę w jego oczach żal.

– Przepraszam. Jestem teraz naprawdę wykończony. To będzie znacznie trudniejsze, niż się spodziewałem. Nie ty i ja, tylko college. Będę na treningach dwadzieścia cztery na dobę, a w przerwach będę ćwiczył albo będę na zajęciach, albo spał. Będzie intensywnie. Nie tak jak w liceum. Duża presja. I… nie sądziłem, że będziesz tak daleko.

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Wygląda na zrezygnowanego. W kwestii lacrosse i szkoły zawsze jest taki wyluzowany, pewny siebie. Wszystko zawsze przychodziło mu z łatwością.

– Peter, będziesz świetny. Dopiero zaczynasz. Jak się do wszystkiego przyzwyczaisz, będzie tak jak zawsze. – Nieśmiało dodaję: − I… my też się do tego przyzwyczaimy.

Nagle siada wyprostowany.

– Wiesz co? Chodźmy na tę imprezę.

– Jesteś pewien?

– Jasne. Jesteś ubrana. Nie marnujmy twojej fryzury. – Przyciąga mnie do siebie. – Świętujmy twoje zwycięstwo.

Obejmuję go i przytulam. Ramiona ma spięte, czuję napięcie w jego plecach. Większość chłopców nie zauważyłaby czegoś takiego: że zakręciłam włosy, włożyłam bluzkę. Próbuję się skoncentrować na tym, a nie na fakcie, że właściwie wcale mi nie pogratulował.

26

U Steve'a Bledella grupka ludzi siedzi w salonie, pali trawkę i ogląda piłkę nożną na wielkim płaskim ekranie telewizora zawieszonego na ścianie. Jest tu Lucas, a kiedy przekazuję mu nowiny, podnosi mnie i obraca.

– Ty też się stąd wynosisz! – wykrzykuje.

– Jadę tylko do sąsiedniej Karoliny Północnej – mówię ze śmiechem.

Wypowiedzenie tych słów na głos wywołuje nieoczekiwany dreszczyk emocji.

– To nie jest daleko.

– Ale nie *tutaj*. – Lucas odstawia mnie na ziemię i ujmuje w dłonie moją twarz. – To bardzo dobrze ci zrobi, Laro Jean.

– Myślisz?

– Ja to wiem.

Nalewam sobie w kuchni colę, kiedy do środka wchodzi Genevieve, boso, w bluzie Politechniki Stanu Wirginia, niosąc piwo w kubku z logo uczelni. Kiwa się przez chwilę na nogach, a potem mówi:

– Słyszałam, że dostałaś się do Chapel Hill. Gratulacje.

Czekam na docinek, na zaserwowaną między wierszami złośliwość, ale nie nadchodzi. Gen stoi sobie, lekko wstawiona, ale wystarczająco trzeźwa.

– Dziękuję – mówię. – Gratuluję Politechniki. Wiem, że zawsze chciałaś tam iść. Twoja mama musi się cieszyć.

– Tak. Słyszałaś, że Chris jedzie do Kostaryki? Cholerna fuksiara. – Popija piwo. – Chapel Hill jest dość daleko, co?

– Nie aż tak. Tylko trzy godziny – kłamię.

– No to w takim razie powodzenia. Mam nadzieję, że będzie ci tak oddany jak teraz. Ale znając go, szczerze w to wątpię.

A potem beka głośno, a wyraz kompletnego zaskoczenia na jej twarzy jest tak zabawny, że omal nie wybucham śmiechem. Przez ułamek sekundy wygląda, jakby też miała się roześmiać, ale się powstrzymuje, rzuca gniewne spojrzenie i wychodzi z kuchni.

Przez cały wieczór widuję Petera tylko z dala, jak rozmawia z ludźmi, pijąc piwo. Humor mu się chyba poprawił. Uśmiecha się. Twarz ma zaczerwienioną od alkoholu. Pije znacznie więcej niż kiedykolwiek.

Około pierwszej rozglądam się za nim po domu, a kiedy go znajduję, gra z grupką ludzi w kubki na stole do ping-ponga w garażu Steve'a. Wszyscy śmieją się głośno z czegoś, co właśnie powiedział. Dostrzega mnie na szczycie schodów i kiwa na mnie palcem.

– Chodź z nami zagrać, Covey – mówi zbyt głośno.

Nie ruszam się ze swojego stopnia.

– Nie mogę. Muszę wracać do domu.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Dobrze, odwiozę cię.

– Nie, nie trzeba. Zabiorę się z kimś albo zadzwonię po ubera. – Odwracam się do wyjścia, a Peter idzie za mną.

– Nie rób tego. Ja cię odwiozę – mówi.

– Nie możesz. Jesteś pijany.

Staram się, żeby nie zabrzmiało to nieprzyjemnie, ale jest jak jest.

Wybucha śmiechem.

– Nie jestem pijany. Wypiłem zaledwie trzy piwka w ciągu jakichś trzech godzin? Nic mi nie jest. Nie pijesz, to nie wiesz, ale to nic. Słowo.

– Czuję twój oddech, więc wiem, że nie wyszedłbyś cało z dmuchania w balonik.

Peter wbija we mnie wzrok.

– Zwariowałaś?

– Nie. Nie chcę tylko, żebyś odwoził mnie do domu. Ty też nie powinieneś wracać sam do domu. Powinieneś zostać tu na noc.

– Zwariowałaś. – Nachyla się do mnie i rozgląda, po czym mówi: − Przepraszam za tamto, powinienem się bardziej ucieszyć. Byłem tylko zmęczony i tyle.

– Nie szkodzi – mówię, choć to nie do końca prawda.

Stormy miała takie powiedzenie: opuszczaj imprezę z tym, z kim przyszłaś, chyba że jest pijany – wtedy wracaj do domu sama. Ostatecznie odwozi mnie Lucas i jestem na miejscu tuż przed godziną policyjną. Po wczorajszym wieczorze nie mogę przeginać.

Peter do mnie wypisuje, a ja jestem tak małostkowa, że cieszę się, że już się dobrze nie bawi. Każę mu długo czekać na lakoniczną odpowiedź, żeby nie siadał dziś za kółkiem, a on wysyła mi zdjęcie, jak leży na kanapie Steve'a przykryty czyjąś kurtką jak kocem.

Nie mogę spać, więc schodzę na dół zrobić sobie tosta z serem. Kitty też siedzi na dole, oglądając jakiś nocny program i grając w coś na telefonie.

– Masz ochotę na tosta z serem? – pytam.

– Jasne – mówi, podnosząc głowę znad telefonu.

Najpierw robię dla Kitty. Przyciskam kanapkę do patelni, żeby spodnia warstwa zrobiła się chrupka, a kanapka płaska. Odcinam kolejny kawałeczek masła i patrzę, jak roztapia się w kałużę, wciąż czując się nieswojo po wczorajszym wieczorze, kiedy nagle do mnie dociera. Kontakt bezpośredni. Chleb potrzebuje bezpośredniego kontaktu z gorącą patelnią, żeby się odpowiednio przypiekł.

O to chodzi. To jest odpowiedź na mój problem z czekoladowymi ciasteczkami. Przez cały ten czas używałam maty do pieczenia, żeby ciastka nie przywarły do blachy. Rozwiązaniem jest pergamin. W odróżnieniu od maty jest cieniuteńki. Na takim papierze ciasto ma więcej bezpośredniego kontaktu z ciepłem i dlatego się bardziej rozpływa! *Voilà*, cieńsze ciasteczka.

Jestem zdeterminowana, więc zaczynam przynosić składniki ze spiżarki. Jeśli teraz przyrządzę ciasto, może odpocząć przez noc i jutro będę mogła przetestować swoją teorię.

Znów śpię do późna, bo przez konferencję nauczycieli nie ma lekcji, a do trzeciej robiłam ciasto i oglądałam z Kitty telewizję. Kiedy się budzę, tak jak poprzedniego dnia znajduję esemesy od Petera.

Przepraszam. Jestem dupkiem.

Nie gniewaj się.

Czytam jego esemesy raz po raz. Dzielą je minuty, więc wiem, że musi się niepokoić, że nadal jestem zła. Nie chcę być zła. Chcę, żeby wszystko wróciło do normy.

Odpisuję:

Masz ochotę wpaść na niespodziankę?

Natychmiast odpisuje:

JADĘ

– Doskonałe ciasteczka z kawałkami czekolady – recytuję – powinny mieć trzy kręgi. Środkowy powinien być miękki i lekko kleisty. Następny powinien się ciągnąć. A zewnętrzny powinien być chrupiący.

– Nie mogę słuchać tej przemowy po raz kolejny – mówi Kitty do Petera. – Po prostu nie mogę.

– Cierpliwości – mówi, ściskając jej ramię. – Już prawie skończyła, a potem dostaniemy ciastka.

– Doskonałe ciastko najlepiej jeść, póki jest jeszcze ciepłe, ale nadal smakuje wyśmienicie w temperaturze pokojowej.

– Jeśli nie przestaniesz gadać, nie będą już ciepłe – marudzi Kitty.

Rzucam jej groźne spojrzenie, ale szczerze mówiąc, cieszę się, że tu jest i służy jako bufor między mną i Peterem. Jej obecność sprawia, że wszystko jest normalnie.

– W cukierniczym świecie powszechnie wiadomo, że to Jacques Torres udoskonalił recepturę ciasteczek z czekoladą. Peterze, sami ich spróbowaliśmy parę miesięcy temu. – Teraz naprawdę przeciągam, żeby cierpieli. – Jak wypadną moje ciasteczka? Podpowiedź. Są niesamowite.

Kitty zsuwa się ze stołka.

– Dosyć. Wychodzę. Ciastko z czekoladą nie jest tego warte.

Klepię ją po głowie.

– O, naiwny mały kociaku. Droga głupiutka dziewczynko. To ciastko jest warte absolutnie wszystkiego. Siadaj albo nie dostąpisz zaszczytu.

Przewracając oczami, siada z powrotem na miejscu.

– Przyjaciele, wreszcie dokonałam odkrycia. Oto mój biały wieloryb. Mój złoty pierścień. Ciastko, które będzie wszystkimi rządziło.

Zamaszystym ruchem podnoszę ścierkę i pokazuję im moje płaskie, ciągnące się, niewyrośnięte ciastka, artystycznie ułożone na talerzu.

Ku mojej rozpaczy Peter wpycha całe naraz do ust. Z pełnymi ustami mówi:

– Pycha!

Nadal martwi się, że jest mi przykro, więc w tej chwili powiedziałby wszystko.

– Jedz wolniej. Delektuj się, Peterze.

– Delektuję się, wierz mi.

Kitty jest prawdziwym krytykiem, którego muszę zadowolić. Rzucam gorliwie:

– Użyłam cukru trzcinowego. Czujesz nutkę melasy?

Przeżuwa z rozmysłem.

– Nie czuję różnicy między tym ciastkiem a tym, które robiłaś dwie partie temu.

– Tym razem użyłam czekolady w kształcie *fèves*, nie kawałków. Widzisz, jak roztopiła się w pasma.

– Co to *fève*?

– Krążek.

– To mów, że krążek. Poza tym czy tata się nie wkurzył, że wydałaś na czekoladę trzydzieści dolarów?

– Nie powiedziałabym, że się wkurzył. Może zirytował. Ale myślę, że zgodzi się, że było warto. – Kitty posyła mi spojrzenie pod tytułem „Ta, na pewno", a ja mamroczę: − To dobra firma, rozumiesz? Nie jest tania. A poza tym to prawie kilogramowa torba! W ogóle nie o to chodzi. Nie czujesz, że są dużo bardziej chrupkie na krawędziach i bardziej ciągną się w środku? Czy muszę wam znów wyjaśnić kwestię mata kontra pergamin?

– Rozumiemy – mówi Kitty.

Peter zahacza palec o szlufkę w moich dżinsach i przyciąga mnie do siebie.

– Najlepsze ciastko w moim życiu – oświadcza.

Naprawdę grubo przesadza, ale jeszcze nie całkiem przeszła mi złość.

– Jesteście kiczowaci – mówi Kitty. – Biorę swoją porcję i się stąd wynoszę.

Z prędkością błyskawicy zaczyna nakładać ciastka na serwetkę.

– Tylko trzy!

Odkłada dwa, a potem rusza na górę.

Peter czeka, aż zniknie, po czym pyta:

– Nadal jesteś na mnie wkurzona? Nigdy więcej nie będę pił w wieczór, kiedy mam cię odwieźć do domu, słowo.

Posyła mi swój najbardziej promienny uśmiech.

– Naprawdę nie przeszkadza ci, że idę na UKP? – pytam.

Mina mu rzednie. Po chwili wahania kiwa głową.

– Jak mówiłaś: przyzwyczaimy się do tego, jakkolwiek będzie.

Przez ułamek sekundy jego oczy wpatrują się pytająco w moje i wiem, że szuka wsparcia. Wtedy obejmuję go i przytulam mocno, wystarczająco mocno, żeby wiedział, że tu jestem. I nigdzie się nie wybieram.

27

Teraz, kiedy już podjęłam decyzję o pójściu na UKP, nagle mam masę spraw do załatwienia, i to na już. Informuję Wilhelma i Marię, że rezygnuję, wysyłam zaliczkę do UKP. Opowiadam o wszystkim pedagog, pani Duvall, która jest uszczęśliwiona. Mówi, że idę tam jako jedyna z naszego rocznika, więc nie może się doczekać, żeby dodać UKP do listy uczelni absolwentów.

– Wiedziałam, że dasz mi powody do dumy – mówi, kiwając głową. – Wiedziałam.

Przyjechały nasze birety i togi, idziemy więc z Peterem na salę gimnastyczną, żeby je odebrać, razem z zaproszeniami na rozdanie dyplomów.

Siadamy na trybunach, żeby przymierzyć birety, a Peter przekrzywia mój na bok i mówi:

– Wyglądasz słodko.

Posyłam mu całusa.

– Pokaż swoje zaproszenia.

Chcę zobaczyć jego imię i nazwisko elegancko wykaligrafowane.

Podaje mi pudełko, a ja je otwieram. Dotykam palcami wypukłych liter. *Peter Grant Kavinsky*. A potem pytam:

– Zastanawiałeś się nad zaproszeniem taty?

Peter rozgląda się, żeby się upewnić, że nikt nie słyszy, po czym mówi ściszonym głosem:

– Czemu ciągle do tego wracasz?

Wyciągam rękę i dotykam biretu Petera.

– Bo myślę, że w głębi duszy chcesz, żeby tu był. Choćby po to, żeby zobaczył wszystko, co osiągnąłeś, i wszystko, co przegapił.

– Zobaczymy – mówi, a ja nie ciągnę tematu.

Decyzja należy do Petera.

W drodze do domu ze szkoły Peter pyta mnie:

– Masz ochotę na film dziś wieczorem?

– Nie mogę – mówię. – Przychodzi przyjaciółka Triny, Kristen, żeby omówić ostatnie szczegóły wieczoru panieńskiego.

Rzuca mi chytre spojrzenie.

– Wybieracie się do klubu ze striptizem?

– Nie! Fuj. Dziękuję za takie widoki.

– Jakie widoki? – pyta.

– Natłuszczone muskuły – wzdrygam się. – Cieszę się, że nie masz wielkich mięśni.

Peter marszczy brwi.

– Ej, mam muskulaturę.

Ściskam jego biceps, a on automatycznie pręży go pod moimi palcami.

– Jesteś ładny i szczupły i masz niewiele mięśni.

– Ty to wiesz, jak wykastrować mężczyznę, Covey – mówi, skręcając w moją ulicę.

Czuję się źle, bo przypominam sobie, jak mówił, że nie jest w takiej formie jak pozostałe chłopaki z drużyny lacrosse.

– Podobasz mi się taki, jaki jesteś – mówię pospiesznie, a on się śmieje, więc chyba nie uraziłam go aż tak.

– A co twój tata planuje w ramach wieczoru kawalerskiego?

Śmieję się.

– Znasz mojego tatę. Jest ostatnią osobą na świecie, która urządziłaby wieczór kawalerski. On nawet nie ma kumpli, z którymi by mógł imprezować! – Milknę i się zastanawiam. – Chyba Josh jest z nim najbliżej. Rzadko go widujemy, odkąd poszedł na studia, ale nadal od czasu do czasu wymieniają z tatą maile.

– Nie rozumiem, co twoja rodzina widzi w tym kolesiu – mówi gorzko Peter. – Co jest w nim takiego wyjątkowego?

To drażliwy temat. Peter ma obsesję, że tata woli Josha od niego, a ja usiłuję mu wytłumaczyć, że nie ma tu rywalizacji – bo z całą pewnością nie ma. Tata zna Josha od dziecka. Wymieniają się komiksami, na litość boską. Więc nie ma rywalizacji. Wiadomo, że tata woli Josha. Ale tylko dlatego, że zna go lepiej. I tylko dlatego, że są do siebie bardziej podobni: żaden z nich nie jest cool. A Peter z całą pewnością jest. Tata nie rozumie bycia cool.

– Josh uwielbia, jak tata gotuje.

– Ja też!

– Mają taki sam gust w kwestii filmów.

– A Josh nigdy nie znalazł się na nagraniu w jacuzzi z jedną z jego córek – dorzuca Peter.

– O matko, daj już z tym spokój! Tata o wszystkim zapomniał.

„Zapomniał" to może przesada. Raczej nigdy więcej o tym nie wspominał i miejmy nadzieję, że tak zostanie.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Nie masz wyjścia. Tata jest bardzo wyrozumiały i łatwo puszcza sprawy w niepamięć.

Kiedy zajeżdżamy pod dom, Peter mówi nagle:

– A gdybym tak zorganizował twojemu tacie wieczór kawalerski? Steki, może cygara…

– Tata nie pali cygar.

– To w takim razie same steki. Rany.

– Steki i żadnych striptizów.

– Ja nie mogę, miej trochę zaufania, Covey! Poza tym nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat. Wątpię, żeby wpuścili mnie do klubu.

Posyłam mu paskudne spojrzenie.

Szybko dodaje:

– Nie żebym miał ochotę. A już z pewnością nie miałbym ochoty pójść do takiego klubu z tatą mojej dziewczyny. – Wzdryga się. – To chore.

– To jaki masz plan? Zgrillować stek?

– Nie. Poszlibyśmy do fajnego grillbaru. Ubralibyśmy się odświętnie, prawdziwy męski wieczór. Może nawet w garniturach.

Próbuję pohamować uśmiech. Peter w życiu się nie przyzna, ale uwielbia się stroić. Laluś.

– Brzmi nieźle.

– Spytasz go o to? – pyta.

– Myślę, że to *ty* powinieneś go spytać.

– Jeśli się zgodzi, to kogo powinienem zaprosić?

– Josha? – proponuję słabo, świadoma, że się nie zgodzi.

– Nie ma mowy. Nie ma jakichś przyjaciół w pracy?

– Nie ma zbyt wielu bliskich kumpli – mówię. – Tylko doktor Kang… Mógłbyś zaprosić mojego wujka Victora. I czasem chodzi na rower z panem Shahem, sąsiadem z naszej ulicy.

– Zdobyłabyś dla mnie ich adresy mailowe, na już? – prosi Peter. – Chcę rozesłać zaproszenia, jak tylko dostanę od twojego taty zielone światło. Kiedy jest wieczór panieński? Weekend za dwa tygodnie?

Rośnie mi serce. Jestem wzruszona, jak bardzo Peter pragnie zaimponować mojemu tacie.

– Trzeci piątek tego miesiąca. Czekamy, aż Margot wróci do domu.



Kitty z podejrzanym spokojem przyjęła wiadomość, że nie jest zaproszona na wieczór panieński Triny, a ja sobie pomyślałam: „Wow, ona naprawdę dorasta". Rozumie, że to nie o nią chodzi, rozumie, że ten wieczór należy do Triny.

Ale Kitty zawsze coś knuje.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu jedzie z nami do szkoły. Chciała, żeby Peter zabrał ją swoim audi, ale ja byłam twarda i powiedziałam, że też potrzebuję transportu do szkoły. Siedzimy więc w minivanie jego mamy, jak za dawnych czasów.

Kitty jednak zajęła miejsce z przodu, a ja siedzę z tyłu.

Wzdycha ciężko ze swojego fotela i opiera głowę o okno.

– Co się dzieje? – pyta Peter.

– Druhny nie pozwalają mi iść na wieczór panieński – mówi. – Tylko mnie nie zaprosiły.

Mrużę oczy i wbijam wzrok w tył jej głowy.

– Nonsens! – Peter patrzy we wsteczne lusterko. – Czemu nie pozwalacie jej iść?

– Idziemy do baru karaoke! Nie możemy zabrać Kitty, bo jest za młoda. Szczerze mówiąc, na mnie też ledwo się zgodziły.

– Czemu nie możecie pójść po prostu do restauracji, jak my?

– Bo to nie jest prawdziwy wieczór panieński.

Peter przewraca oczami.

– Przecież nie idziecie do nocnego klubu czy coś… moment, zmieniłyście zdanie? Idziecie na striptiz?

– Nie!

– Więc o co chodzi? Idźcie gdzie indziej.

– Peter, to nie moja decyzja. Musisz porozmawiać o tym z Kristen. – Strzelam Kitty w ramię. – To samo dotyczy ciebie, mała diablico! Skończ te próby wkręcenia się na imprezę przez manipulowanie Peterem. On nie ma tu nic do powiedzenia.

– Przykro mi, mała – mówi Peter.

Kitty garbi się w fotelu, a potem prostuje.

– A gdybym tak poszła zamiast tego na wieczór kawalerski? – proponuje. – Skoro idziecie tylko do restauracji?

Peter zaczyna się jąkać:

– A… y… no nie wiem, musiałbym pogadać z chłopakami…

– Spytasz? Bo ja też lubię steki. I to bardzo. Zamówiłabym stek z pieczonymi ziemniakami, a na deser lody truskawkowe z bitą śmietaną. – Kitty uśmiecha się promiennie do Petera, który odwzajemnia się słabym uśmiechem.

Kiedy dojeżdżamy do podstawówki i Kitty wyskakuje z auta, dziarska i ożywiona jak sikorka, pochylam się do przodu i mówię Peterowi na ucho:

– Właśnie zostałeś wrobiony.

28

Na trzy dni przed końcem szkoły przychodzą roczniki. Na tyłach znajduje się kilka pustych stron na podpisy, ale wszyscy wiedzą, że miejscem honorowym jest tylna okładka. Oczywiście ja zachowałam swoją dla Petera. Nie chcę nigdy zapomnieć, jaki ten rok był wyjątkowy.

Moje motto w roczniku to: „Więc ci rzuciłem marzenia pod stopy, / stąpaj ostrożnie, stąpasz po marzeniach”*. Nie mogłam zdecydować między tym i: „Bez ciebie dzisiejsze wzruszenia byłyby tylko martwym naskórkiem dawnych uniesień”**. Peter skwitował to:

– Wiem, że to z *Amelii*, ale co to, do cholery, martwy naskórek uniesień?

Szczerze mówiąc, rozumiałam jego wątpliwości. Peter pozwolił mi też wymyślić motto dla niego.

– Zaskocz mnie – powiedział.

Kiedy wchodzimy do stołówki, ktoś przytrzymuje nam drzwi, a Peter mówi:

– Dziękówa.

Nauczył się mówić „dziękówa” zamiast „dzięki” od Raviego. Za każdym razem wywołuje to uśmiech na mojej twarzy. Przez ostatni miesiąc z hakiem stołówka była niemal pusta w porze lunchu. Większość uczniów ostatniego roku jadała poza szkołą, ale Peter lubi drugie śniadania, które robi mu mama, a ja lubię stołówkowe frytki. Ponieważ jednak dziś samorząd uczniowski rozdaje roczniki, sala wypełniła się po brzegi. Biorę swój egzemplarz i wracam z nim do stolika. Najpierw otwieram na jego stronie. Oto Peter, uśmiechnięty, w smokingu. I jego cytat: „Proszę bardzo – Peter Kavinsky”.

Peter marszczy brwi na ten widok.

– Co to w ogóle znaczy?

– To znaczy: oto jestem, przystojny i miły dla oka. – Rozkładam dobrotliwie ręce, jakbym była papieżem. – Proszę bardzo.

Darrell wybucha śmiechem, podobnie jak Gabe, który również rozkłada ręce.

– Proszę bardzo.

Powtarzają w kółko.

Peter kręci głową.

– Jesteście stuknięci.

Nachylam się i całuję go w usta.

– I to w nas uwielbiasz! – Kładę przed nim swój rocznik. – Napisz coś wiekopomnego – mówię, opierając się na jego ramieniu. – Coś romantycznego.

– Twoje włosy łaskoczą mnie w szyję – narzeka. – Nie mogę się skupić.

Podnoszę się i odchylam na piętach z założonymi rękami.

– Czekam.

– Jak mam wymyślić coś dobrego, skoro zaglądasz mi przez ramię? – mówi. – Zrobię to później.

Kręcę stanowczo głową.

– Nie, bo wtedy nigdy tego nie zrobisz.

Naciskam na niego tak długo, aż wreszcie mówi:

– Po prostu nie wiem, co napisać.

Na co marszczę brwi.

– Opisz wspomnienie albo nadzieję, albo… albo cokolwiek.

Jestem rozczarowana i próbuję tego nie okazywać, ale czy naprawdę tak trudno mu wymyślić coś samemu?

– Zabiorę go dziś do domu, żebym mógł się nad tym zastanowić – mówi pospiesznie.

Resztę dnia spędzam na wypełnianiu rocznika. Ludzie piszą ogólnikowe teksty z gatunku „Powodzenia na studiach" i „Fajnie było z Tobą na wuefie w pierwszej klasie" i „Dodaj mnie na Instagramie", ale też i głębsze rzeczy, jak: „Szkoda, że wcześniej nie zaczęłaś wychodzić do ludzi, bo mógłbym poznać Cię lepiej". Ben Simonoff pisze: „Ludzie, którzy najmniej rzucają się w oczy, są zawsze najciekawsi. Nie zmieniaj się". Na zakończenie dnia podaję rocznik Peterowi.

– Dbaj o niego – mówię.

Nazajutrz rano zapomina przynieść go ze sobą do szkoły, co jest irytujące, bo chcę zebrać podpisy od całego rocznika, a jeszcze mi parę osób zostało. Jutro ostatni dzień szkoły.

– A przynajmniej napisałeś coś? – pytam go.

– Tak! Tylko zapomniałem wziąć – mówi, mrugając. – Przyniosę jutro, słowo.

Tydzień na plaży to u nas tradycja. I chodzi dokładnie o to. Dzień po rozdaniu dyplomów absolwenci pakują się i jadą na tydzień do Nags Head. W życiu nie sądziłam, że też pojadę. Po pierwsze trzeba zebrać dziesięć osób, żeby wspólnie wynająć domek. Przed Peterem nie miałam dziesięciorga przyjaciół, z którymi mogłabym wynająć domek na plaży. Któreś z rodziców musi wynająć domek w twoim imieniu, bo nikt nie chciałby wynająć domku grupce uczniaków. Margot tam nie pojechała. Wybrała się z Joshem i paroma przyjaciółmi pod namiot. Powiedziała, że Tydzień na plaży to nie jej klimaty. Rok temu nie były to też moje klimaty. Ale teraz mam Petera, Pammy, Chris i Lucasa.

Kiedy temat Tygodnia na plaży wypłynął jakiś miesiąc temu, Peter spytał mnie, czy sądzę, że tata pozwoli mi mieszkać w jego domku. Powiedziałam, że nie ma mowy. Zatrzymam się natomiast z paroma dziewczynami. Domek wynajęła starsza siostra Pammy, Julia, a Pammy zapewniła mnie, że jest tam klimatyzacja i inne udogodnienia. Powiedziała, że domek chłopców jest na plaży, a nasz dwa rzędy w głąb, ale tak jest lepiej, bo możemy zasypać ich domek piaskiem, a nasz pozostanie nieskazitelnie czysty.

Tata się wtedy zgodził, ale jestem niemal pewna, że o tym zapomniał, bo kiedy poruszam ten temat przy kolacji, wygląda na zdezorientowanego.

– Chwileczkę, przypomnij mi, co to ten Tydzień na plaży?

– Wszyscy jadą na plażę po rozdaniu dyplomów i przez cały tydzień imprezują – wyjaśnia Kitty, wpychając sobie kawałek pizzy do ust.

Rzucam jej wkurzone spojrzenie.

– Mój Tydzień na plaży był *niesamowity* – mówi Trina i przez jej twarz przebiega uśmiech rozczulenia.

Trinie też posyłam gniewne spojrzenie.

Tata marszczy czoło.

– Niesamowity?

– No, nie aż *taki* niesamowity – poprawia się Trina. – Fajna wyprawa z dziewczynami. Ostatnie wolne z przyjaciółkami przed college'em.

– A gdzie zatrzyma się Peter? – pyta tata, a jego czoło zmarszczyło się już jak orzech włoski.

– W domku chłopców. Mówiłam ci o tym dawno temu i się zgodziłeś, więc nie możesz się teraz wycofać. To dzień po zakończeniu szkoły!

– I nie będzie opieki dorosłych? Same dzieciaki?

Trina kładzie dłoń na ramieniu taty.

– Dan, Lara Jean nie jest już dzieckiem. Za parę miesięcy będzie mieszkała sama. Niech

się uczy.

– Masz rację. Wiem, że masz rację. To nie oznacza, że musi mi się to podobać. – Wzdycha ciężko i wstaje. – Kitty, pomóż mi sprzątnąć ze stołu, dobrze?

Gdy tylko znikają, Trina odwraca się do mnie i ściszonym głosem mówi:

– Laro Jean, wiem, że nie pijesz, ale dam ci profesjonalną wskazówkę, którą możesz zabrać ze sobą na Tydzień na plaży, studia i całe życie. Zawsze, zawsze pamiętaj o systemie wsparcia. To działa tak: jednego wieczoru pijesz ty, następnego pije twoja przyjaciółka. W ten sposób jedna osoba jest zawsze wystarczająco trzeźwa, żeby przytrzymać drugiej włosy i zadbać, by nic złego się nie stało.

Z uśmiechem odpowiadam:

– Będzie ze mną Peter. On potrzyma mi włosy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Albo mogę je spiąć w kucyk.

– Prawda. Tak tylko mówię, na przyszłość. – Kiedy go przy mnie nie będzie. Mój uśmiech gaśnie, a ona szybko dodaje: − W trakcie mojego Tygodnia na plaży na zmianę gotowałyśmy dla całego domku. Kiedy przyszła moja kolej, zrobiłam kurczaka z parmezanem, wszystkie czujniki dymu się włączyły i przez całą noc nie mogłyśmy się zorientować, jak wyłączyć piszczenie!

Śmieje się. Trina ma zaraźliwy śmiech.

– Wątpię, żeby mój Tydzień na plaży był aż tak zwariowany – mówię.

– Miejmy nadzieję, że choć trochę będzie – stwierdza.

* W. B. Yeats, *Poeta pragnie szaty niebios*, tłum. L. Engelking.

** Cytat pochodzi z filmu *Amelia* (J.-P. Jeunet, 2001), tłum. A. Wolicka.

29

Po raz ostatni wejdziemy razem po tych schodach. Peter wskakuje po dwa stopnie naraz, ja truchtam tuż za nim, sapiąc, by dotrzymać mu kroku. To ostatni dzień szkoły dla najstarszego rocznika, ostatni dzień mojej licealnej kariery.

Kiedy docieramy na samą górę, mówię:

– Wydaje mi się, że wskakiwanie po dwa stopnie naraz to czysty popis. Zauważyłeś, że robią to tylko chłopcy?

– Dziewczyny też by to robiły, gdyby były równie wysokie.

– Przyjaciółka Margot, Chelsea, ma metr osiemdziesiąt, a nie sądzę, żeby to robiła.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że chłopcy bardziej się popisują?

– Chyba tak. Nie sądzisz?

– Pewnie – przyznaje.

Dzwoni dzwonek i ludzie ruszają do klas.

– Urwiemy się z pierwszych zajęć? Pójdziemy na naleśniki? – Unosi brwi kusząco, przyciągając mnie za paski zwisające z mojego plecaka. – No, wiem, że masz ochotę.

– Nie ma mowy. To ostatni dzień szkoły. Chcę się pożegnać z panem Lopezem.

Peter jęczy.

– Świętoszka.

– Wiedziałeś, z kim masz do czynienia, kiedy zacząłeś się ze mną spotykać – mówię.

– Prawda – odpowiada.

Zanim się rozejdziemy, wyciągam ręce i patrzę na niego wyczekująco. Peter rzuca mi zaskoczone spojrzenie.

– Mój rocznik!

– O cholera! Znów zapomniałem.

– Peter! To ostatni dzień szkoły! Zebrałam tylko połowę podpisów, które chciałam!

– Przepraszam – mówi, przeczesując dłonią włosy i czochrając je. – Chcesz, żebym wrócił po niego do domu? Mogę pojechać. – Wygląda na szczerze zmartwionego, ale i tak jestem zdenerwowana.

Nie odpowiadam od razu, więc Peter rusza z powrotem w kierunku schodów, ale go powstrzymuję.

– Nie, nie jedź. Trudno. Przyniosę go na rozdanie dyplomów.

– Jesteś pewna? – pyta.

– Tak – mówię.

Nawet nie ma dziś pełnej dniówki. Nie chcę, żeby musiał wracać do domu tylko z powodu mojego rocznika.

Zajęcia są dość luźne. Głównie chodzimy i żegnamy się z nauczycielami, administracją, paniami ze stołówki, szkolną pielęgniarką. Większość z nich zobaczymy na rozdaniu dyplomów, ale nie wszystkich. Rozdaję ciasteczka, które upiekłam zeszłego wieczoru. Dostajemy ostatnie oceny – wszystkie dobre, więc nie ma powodów do zmartwień.

Sto lat zajmuje mi sprzątnięcie szafki. Znajduję w niej przypadkowo zachowane liściki od Petera, które wkładam ostrożnie do plecaka, żeby dodać je do jego scrapbooka. I stary batonik zbożowy. Zakurzone czarne gumki do włosów, co zakrawa na ironię, bo nigdy nie da się ich znaleźć, kiedy są potrzebne.

– Trudno mi wyrzucić którąkolwiek z tych rzeczy, nawet ten stary batonik – mówię do

Lucasa, który siedzi na podłodze i dotrzymuje mi towarzystwa. – Widywałam go codziennie na dnie szafki. Jest jak stary kumpel. Może się nim podzielimy, żeby upamiętnić dzisiejszy dzień?

– Chore – mówi Lucas. – Pewnie już zapleśniał. − I dodaje rzeczowo: − Po zakończeniu roku pewnie więcej nie zobaczę tych ludzi.

Rzucam mu zranione spojrzenie.

– Hej! A co ze mną?

– O tobie nie mówię. Ty będziesz mnie odwiedzać w Nowym Jorku.

– O! Tak.

– Sarah Lawrence jest tak blisko miasta. Będę mógł oglądać przedstawienia na Broadwayu, kiedy tylko będę chciał. Jest taka apka sprzedająca bilety na dziś.

Jego spojrzenie robi się rozmarzone.

– Masz szczęście – mówię.

– Zabiorę cię. Pójdziemy też do gejowskiego klubu. Będzie świetnie.

– Dziękuję!

– Ale co do reszty: ani mnie ziębią, ani grzeją.

– Nadal przed nami Tydzień na plaży – przypominam mu, a on kiwa głową.

– Tydzień na plaży będziemy mieli przez resztę życia – mówi żartobliwie, a ja rzucam w niego gumką do włosów.

Lucas może sobie żartować z mojej nostalgii, ile wlezie. Wiem, że te dni są wyjątkowe. Okres liceum zapamiętamy na resztę życia.

Po szkole jedziemy z Peterem do niego, bo mój dom to strefa katastrofy z tymi wszystkimi ślubnymi rzeczami, a mama Petera idzie po pracy do klubu książki, Owen natomiast ma trening, więc mamy dom tylko dla siebie. Wydaje się, że jedyne miejsce, w którym jesteśmy naprawdę sami, to jego samochód, więc takie chwile jak ta są rzadkie i ważne. Moja ostatnia droga ze szkoły do domu i Peter K. jest moim kierowcą. Dobrze skończyć rok tak, jak go spędziłam – na fotelu pasażera w samochodzie Petera.

Idziemy na górę do jego pokoju, siadam na jego łóżku, które jest porządnie zaścielone i gładko przykryte kocem. Nawet poduszki wyglądają na przetrzepane. Koc jest nowy, pewnie do college'u – tartan w kolorach radośnie czerwonym, kremowym i granatowym – i jestem pewna, że wybrała go jego mama.

– Mama ścieli ci łóżko, prawda? – pytam, opierając się na poduszkach.

– Tak – mówi bez cienia zażenowania.

Wskakuje na łóżko, a ja się przesuwam, żeby zrobić dla niego miejsce.

Późnopopołudniowe światło przesącza się przez jasne zasłony i zalewa pokój barwą jak ze snu. Gdybym miała ją nazwać, powiedziałabym, że to „lato na przedmieściach". Peter wygląda w tym świetle pięknie. Wygląda pięknie w każdym świetle, ale w tym szczególnie. Robię mu w myślach zdjęcie, tak po prostu. Cała irytacja, jaką czułam za to, że zapomniał rocznika, odpływa, kiedy Peter się do mnie przytula, kładzie mi głowę na piersi i mówi:

– Czuję bicie twojego serca.

Zaczynam bawić się jego włosami, wiem, że to lubi. Są miękkie jak u małego chłopca. Uwielbiam zapach jego kosmetyków, mydła, wszystkiego.

Podnosi na mnie wzrok i dotyka łuku moich ust.

– Tę część lubię najbardziej – mówi.

Potem podnosi się i muska ustami moje wargi, droczy się ze mną. Przygryza żartobliwie moją dolną wargę. Lubię wszystkie rodzaje jego pocałunków, ale ten chyba jest najlepszy. A potem całuje mnie zachłannie, jakby całkiem się zatracił, jego dłonie lądują w moich włosach i myślę: nie, ten jest najlepszy.

Pomiędzy pocałunkami pyta mnie:

– Czemu masz na to ochotę tylko u mnie?

– No… nie wiem. Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

To prawda, że całujemy się jedynie w domu Petera. Dziwnie tak robić to na łóżku, w którym spałam, odkąd byłam małą dziewczynką. Ale kiedy jestem na łóżku Petera albo w jego samochodzie, zapominam o tym i pozwalam się ponieść chwili.

Wracamy znów do pocałunków – Peter zdjął podkoszulek, ja jeszcze nie – kiedy na dole dzwoni telefon, a Peter mówi, że to pewnie gość, który ma naprawić rynny, dzwoni, żeby umówić się na godzinę. Wkłada koszulkę i zbiega na dół, żeby odebrać, a wtedy dostrzegam na jego biurku mój rocznik.

Podnoszę się z łóżka, biorę go i odwracam na tył. Nadal pusty. Kiedy Peter wraca na górę, siedzę na jego łóżku i nie wspominam o roczniku, nie pytam, czemu wciąż nic nie napisał. Nie wiem dlaczego. Mówię mu, że już pójdę, bo Margot przylatuje dziś ze Szkocji, i chcę napełnić lodówkę jej ulubionym jedzeniem.

Peterowi rzednie mina.

– Nie chcesz zostać troszkę dłużej? Zawiozę cię do sklepu.

– Ale muszę też sprzątnąć na górze – mówię i wstaję.

Ciągnie mnie za bluzkę i próbuje posadzić z powrotem na łóżku.

– No, jeszcze pięć minut.

Kładę się koło niego, a on się do mnie przytula, ale wciąż myślę o roczniku. Od miesięcy pracuję nad jego scrapbookiem. On przynajmniej mógłby napisać coś miłego w moim roczniku.

– Dobre ćwiczenie przed studiami – mruczy, przyciągając mnie do siebie i obejmując. – Na UW łóżka są małe. Jak duże są w UKP?

Odwrócona plecami do niego, mówię:

– Nie wiem. Nie widziałam akademików.

Wtula głowę w przestrzeń między moją szyją a ramieniem.

– To było podchwytliwe pytanie – mówi i czuję, jak się uśmiecha. – Żeby sprawdzić, czy nie zajrzałaś z Chris do pokoju jakiegoś przypadkowo poznanego chłopaka. Gratulacje, zdałaś test.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Potem poważnieję i sama go testuję.

– Przypomnij mi, żebym przed wyjściem zabrała ze sobą rocznik.

Na moment sztywnieje, a potem mówi swobodnie:

– Muszę go wyszperać. Gdzieś tu jest. Jeśli go nie znajdę, to po prostu przywiozę ci go później.

Odsuwam się od niego i siadam. Podnosi na mnie zdezorientowany wzrok.

– Widziałam mój rocznik na twoim biurku, Peterze. Wiem, że nic jeszcze w nim nie napisałeś!

Peter siada, wzdycha i przegarnia włosy dłonią. Zerka na mnie, a potem znów spuszcza wzrok.

– Nie wiem, co napisać. Wiem, że chcesz, żebym napisał coś wiekopomnego, romantycznego, ale nie wiem, co powiedzieć. Zrobiłem parę podejść i po prostu… nie mogę. Wiesz, że nie jestem w takich rzeczach dobry.

Mówię do niego z uczuciem:

– Nie obchodzi mnie, co napiszesz, jeśli tylko będzie to z głębi serca. Bądź uroczy. Bądź sobą. – Przysuwam się bliżej niego i obejmuję go za szyję. – Dobrze?

Peter kiwa głową, a ja całuję go delikatnie. Podrywa się i całuje mnie mocniej, a potem już nawet nie obchodzi mnie ten głupi rocznik. Jestem świadoma każdego oddechu, każdego

ruchu. Wszystkie zapamiętuję, wszystkie chowam w sercu.

Kiedy się od siebie odrywamy, on patrzy na mnie i mówi:

– Poszedłem wczoraj do taty.

Robię wielkie oczy.

– Tak?

– Tak. Zaprosił mnie i Owena na kolację, nie miałem zamiaru iść, ale Owen poprosił, żebym z nim poszedł, i nie mogłem odmówić.

Kładę się z powrotem, opierając głowę na jego piersi.

– Jak było?

– Chyba dobrze. Ma ładny dom.

Nic nie mówię. Czekam tylko, aż powie coś więcej. Po dłuższym czasie odzywa się:

– Pamiętasz ten stary film, do którego oglądania mnie zmusiłaś, gdzie ubogi chłopiec stał na dworze z nosem przyciśniętym do szyby? Tak się właśnie czułem.

Ten „stary film", o którym mówi, to *Charlie i fabryka czekolady*. Charlie patrzy, jak wszystkie dzieci obżerają się w sklepie z cukierkami, ale nie może wejść do środka, bo nie ma pieniędzy. Na myśl o tym, że Peter – przystojny, pewny siebie, wyluzowany Peter – czuł się w ten sposób, chce mi się płakać. Może nie powinnam była tak bardzo naciskać, żeby odnowił relacje z tatą?

– Zawiesił dla dzieciaków obręcz do koszykówki. Tyle razy go o taką prosiłem, ale nigdy mi jej nie dał. Jego dzieci nawet nie lubią sportu. Nie sądzę, żeby Everett choć raz w życiu miał w rękach piłkę do kosza.

– Czy Owen dobrze się bawił?

Przytakuje niechętnie.

– Tak, on, Clayton i Everett grali w gry komputerowe. Tata zrobił hamburgery i steki. Włożył nawet cholerny fartuch. Nie przypominam sobie, żeby choć raz przez cały czas małżeństwa pomógł mamie w kuchni. – Peter milknie. – Ale nie pozmywał, więc chyba nie zmienił się aż tak bardzo. Mimo to widziałem, że oboje z Gayle się starają. Upiekła ciasto. Ale nie tak dobre jak twoje.

– Jakie? – pytam.

– Red velvet. Dość suche. – Po chwili wahania dodaje: − Zaprosiłem go na rozdanie dyplomów.

– Naprawdę? – Serce pęka mi z dumy.

– Pytał ciągle o szkołę i… sam nie wiem. Myślałem o tym, co powiedziałaś, i po prostu to zrobiłem.

Wzrusza ramionami, jakby nie obchodziło go, czy tata będzie na zakończeniu, czy nie. To poza. Zależy mu. To jasne.

– Więc wtedy go poznasz.

Przytulam się do niego.

– Jestem z ciebie taka dumna, Peterze.

Śmieje się cicho.

– Z czego?

– Z tego, że dałeś tacie szansę, choć na nią nie zasługuje. – Patrzę na niego i mówię: − Jesteś dobrym chłopakiem, Peterze K.

A uśmiech, który pojawia się na jego twarzy, sprawia, że kocham go jeszcze mocniej.

30

Peter odwozi mnie do domu, a mnie zostaje tylko tyle czasu, żeby pobiec do sklepu po chipsy, sos, lody, pity, brie, napój z czerwonych pomarańczy – no, wszystkie najniezbędniejsze rzeczy – a potem wrócić, sprzątnąć łazienkę na górze i oblec Margot świeżą pościel.

Tata odbiera Margot z lotniska w drodze z pracy. Margot będzie w domu po raz pierwszy, odkąd Trina się wprowadziła. Kiedy wchodzimy do środka z jej walizkami, widzę, że rozgląda się po salonie. Widzę, jak jej wzrok biegnie nad kominek, gdzie teraz wisi oprawiony obraz, który Trina przyniosła od siebie – abstrakcyjny rysunek linii brzegowej. Mina Margot nie ulega zmianie, ale wiem, że zauważyła. Jak mogłoby być inaczej? Przeniosłam zdjęcie ślubne mamy i taty do swojego pokoju w dniu, kiedy Trina się wprowadziła. Margot rozgląda się po całym pokoju, w milczeniu odnotowując wszystkie zmiany. Haftowane poduchy, które przyniosła Trina, zdjęcie jej i taty z dnia oświadczyn stojące na stoliku koło kanapy, fotel Triny zamiast naszego. Wszystkie drobiazgi Triny, których jest wiele. Teraz, kiedy patrzę na to wszystko oczami Margot, rzeczywiście jest tu trochę zagracone.

Margot zdejmuje buty, otwiera drzwiczki szafki i widzi, jak jest pełno – Trina ma mnóstwo butów.

– Rety, ale tu butów – mówi, przesuwając na bok rowerowe buty Triny, żeby zrobić miejsce na swoje niskie kozaki.

Tachamy jej walizki na górę i Margot przebiera się w wygodne ubranie, po czym wracamy na dół, żeby coś przekąsić, w czasie gdy tata przygotowuje kolację. Siedzę na kanapie, chrupiąc chipsy, kiedy Margot nagle wstaje i oświadcza, że przejrzy szafkę na buty i pozbędzie się wszystkich swoich starych butów.

– Teraz? – pytam z ustami pełnymi chipsów.

– Czemu nie? – mówi.

Kiedy Margot coś wpadnie do głowy, nie czeka ani chwili.

Wyrzuca wszystko z szafki i siada po turecku na podłodze, przeglądając stos i decydując, które zatrzymać, a które oddać Armii Zbawienia. Podnosi parę czarnych botków.

– Zatrzymać czy wyrzucić?

– Zatrzymać albo oddać mnie – mówię, nabierając sos nachosem. – Wyglądają świetnie z rajtkami.

Rzuca je na stos, który zostaje.

– Pies Triny gubi strasznie dużo sierści – zrzędzi Margot, obierając legginsy z psich kudłów. – Jak można w ogóle nosić tu coś czarnego?

– W pudełku leży rolka do czyszczenia. A ja chyba nie noszę zbyt wiele czarnego?

Naprawdę powinnam nosić czarny częściej. Wszystkie blogi modowe podkreślają wagę posiadania małej czarnej. Zastanawiam się, czy na studiach będę miała wiele okazji na małą czarną.

– Jak często ubierasz się elegancko w Saint Andrews?

– Niezbyt często. Większość wkłada na imprezy głównie dżinsy i glany. Saint Andrews nie jest szczególnie eleganckim miejscem.

– Nie stroisz się nawet na wino i sery u wykładowców?

– Ubieramy się elegancko na kolację z wykładowcami, ale nigdy nie zostałam zaproszona do domu. Może robią tak na UKP.

– Może!

Margot podnosi parę żółtych gumiaków.

– Zatrzymać czy wyrzucić?

– Zatrzymać.

– Nie ma z ciebie pożytku. Ty byś wszystko zatrzymała.

Wrzuca kalosze do kartonowego pudła do oddania.

Wygląda na to, że obie moje siostry są bezlitosne w kwestii wyrzucania starych rzeczy. Kiedy Margot kończy przegląd, ja sprawdzam pudełko jeszcze raz, żeby zobaczyć, czy nie ma w nim czegoś, co mogłabym sobie zostawić. Ostatecznie wybieram jej kalosze i parę skórzanych półbutów.

Tego wieczoru, kiedy idę do łazienki umyć zęby, słyszę ściszony głos Triny dobiegający z pokoju Margot. Zatrzymuję się w korytarzu, żeby posłuchać jak jakiś szpieg, jak Kitty.

– To trochę niezręczne, ale zostawiłaś to w łazience, więc schowałam do szuflady, na wypadek gdybyś nie chciała, żeby to ktoś zobaczył.

Lodowaty głos Margot odpowiada:

– Kto nie miałby tego zobaczyć? Kitty?

– Tata. Ktokolwiek. Po prostu nie byłam pewna.

– Tata jest położnikiem. Widział już pigułki antykoncepcyjne.

– Wiem. Ja tylko… − Próbuje znów słabo. – Ja tylko nie byłam pewna. Czy to tajemnica, czy nie.

– Dzięki. Doceniam staranie, ale nie mam przed tatą tajemnic.

Wracam pospiesznie do pokoju, zanim zdążę usłyszeć odpowiedź Triny. Oj.

Dzień przed zakończeniem roku Peter przyjeżdża posiedzieć u mnie. Przyszywam do swojego biretu małe kwiatki, Kitty ogląda ze swojego pufa telewizję, a Margot obiera nad miską fasolkę. Ma przepis, który chce wypróbować na dzisiejszą kolację. W telewizji leci program o ślubach, jeden z tych z gatunku „kto miał najlepsze wesele".

– Co myślicie o ceremonii lampionów na ślubie waszego taty, w czasie której zapala się lampiony, myśli życzenie, a potem wypuszcza je w niebo? – Wtrąca Peter. – Widziałem coś takiego na filmie.

Jestem pod wrażeniem.

– Peter, to naprawdę dobry pomysł!

– Ja też widziałam coś takiego na filmie – mówi Kitty. – *Kac Vegas 2*?

– Tak!

Posyłam im obojgu paskudne spojrzenie. Peter pyta pospiesznie:

– Czy to azjatycka tradycja? Mogłoby być miło.

– Nie koreańska, tylko tajska – mówi Kitty. – Pamiętasz, akcja filmu rozgrywa się w Tajlandii?

– To i tak nie ma znaczenia, bo przecież Trina nie jest Azjatką – mówi Margot. – Czemu miałaby czerpać z azjatyckiej kultury podczas wesela tylko dlatego, że my jesteśmy Azjatkami? To nie ma z nią nic wspólnego.

– Nie posuwałabym się aż tak daleko – mówię. – Nie chce, żebyśmy czuły się pominięte. Mówiła niedawno, że miło byłoby jakoś oddać hołd mamie.

Margot przewraca oczami.

– Nawet jej nie znała.

– Znała ją troszkę. W końcu były sąsiadkami. Nie wiem, pomyślałam, że w trakcie ceremonii my trzy mogłybyśmy na przykład zapalić świeczkę… − Urywam, bo Margot nie wygląda na przekonaną. – To tylko luźna myśl – mówię, a Peter robi do mnie minę pod tytułem: „O cholerka".

– No nie wiem, myślę, że to brzmi trochę dziwacznie. To ślub Triny i taty, którzy zaczynają nowe, wspólne życie, a nie wspominki z przeszłości.

– Słuszna uwaga – zgadza się Peter.

Peter wychodzi z siebie, żeby zaimponować Margot. Zawsze staje po jej stronie. Udaję, że mnie to irytuje, ale tak naprawdę jestem wzruszona. Jasne, że powinien stawać po jej stronie. Na tym polega jego zadanie. To pokazuje, że wie, jak ważna jest dla mnie jej pochlebna opinia, i pojmuje, jak ważne miejsce Margot zajmuje w moim życiu. Nie mogłabym być z kimś, kto nie rozumie, jak ważna jest dla mnie rodzina.

Kiedy Margot wychodzi, żeby zawieźć Kitty na lekcję fortepianu, Peter mówi:

– Twoja siostra raczej nie darzy pani Rothschild miłością, hmm.

Peter wciąż nie przywykł do nazywania pani Rothschild Triną i pewnie nigdy nie przywyknie. W naszej okolicy nikt z młodych nie zwracał się do dorosłych po imieniu. Wszyscy byli panią albo panem, oprócz taty, który był doktorem.

– Nie powiedziałabym, że Gogo *nie lubi* Triny – mówię. – Lubi ją. Tylko jeszcze się do niej nie przyzwyczaiła. Wiesz, jaka jest Trina.

– To prawda – mówi. – Wiem też, jaka jest twoja siostra. Sto lat zajęło jej przekonanie się do mnie.

– Jakie tam sto lat. Przywykłeś po prostu do tego, że ludzie lubią cię od pierwszej minuty znajomości. – Patrzę na niego z ukosa. – Bo jesteś taki czarujący. – Krzywi się, bo nie mówię tego tonem komplementu. – Gogo to nie interesuje. Dla niej ważne jest to, co pod spodem.

– Teraz mnie uwielbia – mówi Peter z pewnością siebie.

Kiedy nie odpowiadam od razu, pyta:

– Prawda? Uwielbia mnie?

Śmieję się.

– Tak, uwielbia.

Później tego samego dnia, kiedy Peter jedzie pomóc mamie w sklepie, Margot i Trina spinają się o, aż trudno uwierzyć, włosy. Prasuję w pralni sukienkę, kiedy słyszę Trinę:

– Margot, czy mogłabyś wyciągać włosy z odpływu? Czyściłam dziś rano wannę i zwróciłam na to uwagę.

– Jasne – następuje szybka odpowiedź Margot.

– Dzięki. Nie chcę, żeby rura się zatkała.

Chwilkę później Margot wchodzi do pralni.

– Słyszałaś to? Dasz wiarę? Skąd w ogóle wie, że to moje włosy, a nie twoje albo Kitty?

– Twoje są jaśniejsze i krótsze – zauważam. – Poza tym ja i Kitty wyciągamy swoje z odpływu, bo wiemy, że to obrzydza Trinę.

– A mnie obrzydza sierść psa na ubraniu! Przy każdym oddechu mam wrażenie, że wciągam do płuc psie kłaki. Jeśli tak jej zależy na czystości, powinna częściej odkurzać.

Za plecami Margot pojawia się Trina i z kamienną miną mówi:

– Odkurzam raz w tygodniu, czyli standardowo.

Margot robi się czerwona.

– Przepraszam. Ale jeśli masz psa, który leni się tak jak Simone, to raczej przydałoby się dwa razy na tydzień.

– Powiedz to swojemu tacie, bo odkąd go znam, nie widziałam, by choć raz dotknął odkurzacza.

Trina wychodzi, Margot szczęka opada, a ja wracam do prasowania.

– Nie sądzisz, że trochę przegięła? – szepcze do mnie.

– Ale ma rację. Tata nigdy nie odkurza. Zamiata, myje mopem, ale nie odkurza.

– Mimo wszystko!

– Z Triną nie ma żartów – mówię. – Zwłaszcza kiedy zbliża się jej okres. – Margot wbija we mnie wzrok. – Zsynchronizowałyśmy się. To tylko kwestia czasu, zanim do nas dołączysz.

Jedziemy z Margot do centrum handlowego teoretycznie po to, żebym mogła kupić nowy stanik bez ramiączek do sukienki, ale tak naprawdę dlatego, że Margot chce odpocząć od Triny. Gdy wracamy, dywany na dole są świeżo odkurzone i czyste jak nowe, a Kitty chowa właśnie odkurzacz, przez co, jak widzę, Margot robi się głupio.

Przy kolacji Trina i Margot są dla siebie serdeczne, jakby nic się nie wydarzyło. Co w jakimś sensie jest znacznie gorsze niż kłótnia. Podczas kłótni dochodzi przynajmniej do prawdziwej interakcji.

31

W dniu zakończenia szkoły budzę się wcześnie i leżę w łóżku, słuchając odgłosów budzącego się domu. Tata kręci się na dole, parząc kawę. U Margot leje się woda pod prysznicem. Kitty pewnie wciąż smacznie śpi. Trina też. Obie lubią spać do późna.

Kiedy wyjadę, będzie mi brakowało tych odgłosów. Kawałek mnie już za nimi tęskni. A kawałek jest niesamowicie podekscytowany tym kolejnym krokiem, choć nie spodziewałam się, że tak będzie, nie po tym, jak sprawy przybrały inny obrót, niż miałam nadzieję.

W ramach prezentu na ukończenie szkoły Margot daje mi zestaw studencki. Różową satynową maskę na oczy z moim imieniem wyhaftowanym bladą srebrzystoniebieską nitką. Pendrive w kształcie złotej szminki. Zatyczki do uszu przypominające orzeszki ziemne, różowe kudłate pantofle, nylonową kosmetyczkę we wzór z kokardek. Wszystkie elementy zestawu podobają mi się w równym stopniu.

Kitty przygotowuje piękną kartkę. To kolaż z naszych zdjęć, ale wykorzystała jakąś aplikację, żeby przerobić je na linearty jak w kolorowance. Pokolorowała je kredkami. Z boku napisała: „Gratulacje. Baw się dobrze w college'u. PS Będę za tobą tęsknić 11". Do oczu napływają mi łzy, porywam Kitty w ramiona i mocno przytulam tak długo, że mówi:

– Dobra, już dobra… wystarczy.

Ale widzę, że jest zadowolona.

– Oprawię ją – oświadczam.

Od Triny dostaję retro serwis do herbaty – kremowy z różowymi pączkami róż i złotą obwódką.

– Należał do mojej mamy – mówi, a mnie chce się płakać, tak bardzo mi się podoba.

Kiedy ją ściskam, szepczę jej do ucha:

– To mój ulubiony prezent.

A ona puszcza do mnie oko. Puszczanie oka to jeden z talentów Triny. Jest w tym świetna, robi to bardzo naturalnie.

Tata popija kawę, a potem odchrząkuje.

– Laro Jean, w prezencie ode mnie wezmą też udział Margot i Kitty.

– Co to, co to? – naciska Kitty.

– Cicho, to mój prezent – mówię, patrząc wyczekująco na tatę.

On kontynuuje z szerokim uśmiechem:

– Wysyłam was trzy z babcią na wakacje do Korei. Wszystkiego najlepszego z okazji ukończenia szkoły, Laro Jean!

Kitty krzyczy, Margot promienieje, a ja jestem w szoku. Od lat rozmawialiśmy o wyjeździe do Korei. Mama zawsze chciała nas tam zabrać.

– Kiedy, kiedy? – pyta Kitty.

– W przyszłym miesiącu – mówi Trina, uśmiechając się do niej. – Tata i ja wyjedziemy w podróż poślubną, a wy polecicie do Korei.

W przyszłym miesiącu?

– O nie, wy z nami nie jedziecie? – Smuci się Kitty.

Ale Margot jest uśmiechnięta. Ravi w lecie odwiedza rodzinę w Indiach, a ona nie miała wielkich planów.

– Bardzo chcielibyśmy polecieć, ale nie mogę wziąć tak długiego urlopu w szpitalu – mówi tata z żalem.

– Na jak długo? – pytam. – Na jak długo lecimy?

– Na cały lipiec – mówi tata, dopijając resztę kawy. – Ustaliliśmy wszystko z babcią. Zatrzymacie się u ciotecznej babci w Seulu i parę razy w tygodniu będziecie chodzić na lekcje koreańskiego. Objedziecie też cały kraj. Czedżu, Pusan, wszystko co trzeba. A dla ciebie coś wyjątkowego, Laro Jean: zajęcia z pieczenia koreańskich ciast! Nie martw się, będą po angielsku.

Kitty zaczyna tańczyć w miejscu.

Margot patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

– Zawsze chciałaś się nauczyć, jak robić koreańskie babeczki z kremem! Będziemy kupować maseczki do twarzy, artykuły papiernicze i urocze drobiazgi, codziennie. Po powrocie będziemy w stanie oglądać koreańskie filmy bez napisów!

– Nie mogę się doczekać – mówię.

Margot, Kitty i tata zaczynają omawiać logistykę, ale Trina przygląda mi się uważnie. Wytrwale się uśmiecham.

Cały miesiąc. Kiedy wrócę, będzie już niemal pora wyjazdu na uczelnię, a Peter i ja spędzimy lato oddzielnie.

Na rozdaniu dyplomów wszystkie dziewczyny są ubrane na biało. Całkowicie. Ja mam na sobie sukienkę Margot sprzed dwóch lat – bez rękawów, w kropki, z szeleszczącą spódnicą do kolan. Trina skróciła dół, bo jestem niższa. Margot włożyła do niej conversy, a ja białe skórzane sandałki z paskiem w kształcie litery T i ażurowym wzorem.

W drodze do szkoły rozprostowuję spódnicę i mówię do Kitty:

– Może ty też włożysz tę sukienkę na zakończenie liceum. I zrobisz sobie zdjęcie pod dębem jak my. To byłby piękny tryptyk.

Zastanawiam się, jakie buty włożyłaby do niej Kitty. Mogłaby równie dobrze włożyć białe szpilki jak białe reeboki czy białe rolki.

Kitty robi kwaśną minę.

– Nie chcę wkładać tej samej sukienki co ty i Margot. Chcę mieć własną. Poza tym ona naprawdę wyjdzie do tego czasu z mody. – Milknie. – Co to tryptyk?

– To, hmm, trzy dzieła sztuki, które tworzą całość. – Ukradkiem googluję „tryptyk" w telefonie, żeby się upewnić, czy mówię prawdę. – Takie trzy obrazy połączone ze sobą zawiasami. Mają być podziwiane razem.

– Czytasz z telefonu.

– Tylko sprawdzałam – mówię.

Ponownie wygładzam spódnicę i upewniam się, że w torbie mam biret. Dziś kończę liceum. Dopadło mnie podstępnie – mam na myśli dojrzewanie. Prowadząca samochód Trina rozgląda się za miejscem do zaparkowania, a siedząca obok Margot pisze coś na telefonie. Kitty jest koło mnie i wygląda przez okno. Tata pojechał oddzielnie, żeby zabrać babcię. Babunia, mama taty, jest na Florydzie ze swoim chłopakiem i nie da rady przyjechać. Żałuję tylko, że nie ma tu mamy. Traci i straci jeszcze tyle wielkich chwil. Muszę wierzyć, że wie, że w jakiś sposób nadal widzi. Ale jednocześnie żałuję, że nie może mnie uściskać w dniu zakończenia szkoły.



Przez całe przemówienie najlepszego z absolwentów rozglądam się po twarzach w poszukiwaniu rodziny Petera. Zastanawiam się, czy jego tata siedzi z bratem i mamą Petera czy osobno. Zastanawiam się, czy poznam też dwóch przyrodnich braci Petera. Już znalazłam własną rodzinę – trudno ich nie zauważyć. Za każdym razem, gdy patrzę w ich kierunku, wszyscy machają jak szaleni. Poza tym Trina ma na sobie kapelusz z bardzo szerokim rondem.

Ten, kto siedzi w rzędzie za nią, pewnie nic nie widzi. Margot wykazała się ogromnym opanowaniem, żeby nie przewrócić oczami, kiedy Trina zeszła w nim na dół. Nawet Kitty stwierdziła, że to „trochę przesada", ale Trina spytała, co sądzę, a ja powiedziałam, że mi się strasznie podoba, bo tak w sumie jest.

Dyrektor wyczytuje moje nazwisko: Lara Jean Song Covey, ale myli imię z Laurą, przez co reaguję z lekkim opóźnieniem.

Przyjmując dyplom i ściskając jego dłoń, szepczę:

– *Lara*, nie Laura.

Planowałam posłać rodzinie buziaka z podium, ale tak się denerwuję, że zapominam. Ponad aplauzem słyszę okrzyki Kitty i gwizdy taty. Kiedy przychodzi kolej Petera, klaszczę i wydzieram się jak wariatka, zresztą jak wszyscy, rzecz jasna. Nawet nauczyciele oklaskują go wyjątkowo głośno. Tak bardzo widać, gdy nauczyciele mają swoich ulubieńców. Nie żebym ich winiła za sympatię do Petera. Wszyscy go uwielbiamy.

Po ogłoszeniu, że jesteśmy absolwentami, po wyrzuceniu biretów w górę, Peter przeciska się przez tłum, żeby mnie odnaleźć. Mija ludzi, uśmiecha się, żartuje, wita się, ale coś jest nie tak. W jego oczach jest jakaś pustka, nawet kiedy mnie przytula.

– Hej – mówi, całując mnie delikatnie w usta. – A więc jesteśmy oficjalnie studentami college'u.

Rozglądając się wkoło, wygładzam spódnicę i mówię:

– Nie widziałam na widowni twojej mamy ani Owena. Czy twój tata siedział razem z nimi? Przyszli twoi przyrodni bracia? Mam podejść do nich teraz czy po zdjęciach rodzinnych?

Peter kręci głową. Nie patrzy mi w oczy.

– Tacie wypadło coś w ostatniej chwili.

– Co takiego? Czemu?

– Jakiś nagły wypadek. Kto wie.

Jestem w szoku. Jego tata wydawał się tak szczery, kiedy widziałam go na meczu lacrosse.

– Mam nadzieję, że to był naprawdę duży wypadek. Żeby opuścić rozdanie dyplomów własnego syna…

– To nic.

Peter wzrusza ramionami, jakby go to szczególnie nie obchodziło, ale wiem, że to nieprawda. Szczęki zacisnął tak mocno, że mógłby połamać zęby.

Ponad jego ramieniem widzę moją rodzinę przeciskającą się między ludźmi w naszym kierunku. Nie da się przegapić kapelusza Triny, nawet w gęstym tłumie. Tata niesie wielki bukiet wielokolorowych róż. Babcia ma garsonkę w kolorze żurawinowym i świeżo zrobioną trwałą.

Czuję się przyciśnięta do muru i spanikowana, bo potrzebuję więcej czasu z Peterem, żeby go pocieszyć, być u jego boku. Łapię go za rękę:

– Przykro mi – mówię.

Chcę powiedzieć więcej, to jasne, ale zjawia się moja rodzina i wszyscy mnie ściskają. Peter wita się z babcią i robi sobie z nami parę zdjęć, a potem wymyka się, żeby znaleźć mamę i brata. Wołam za nim, ale jest zbyt daleko i się nie odwraca.

Robimy zdjęcia, a następnie tata, Trina, babcia, Kitty, Margot i ja idziemy na lunch do japońskiej restauracji. Zamawiamy mnóstwo sashimi i sushi, a ja zakładam sobie serwetkę jak śliniak, żeby sos sojowy nie wylądował na mojej białej sukience. Trina siedzi koło babci i trajkocze jej do ucha o różnych różnościach, a ja niemal słyszę, jak babcia myśli: „Ależ ta dziewczyna ma gadane". Ale Trina się stara, a babcia to docenia. Próbuję być radosna i cieszyć się chwilą, ponieważ lunch jest na moją cześć, ale mogę myśleć jedynie o Peterze i tym, jak

zraniona czuję się w jego imieniu.

Przy lodach w cieście babcia opowiada nam o wszystkich miejscach, do których chce nas zabrać w Korei: świątyniach buddyjskich, targach spożywczych, klinice dermatologicznej, w której usuwa się laserem pieprzyki. Wskazuje na maleńki pieprzyk na policzku Kitty i mówi:

– Zajmiemy się tym.

Tata wygląda na zaniepokojonego, a Trina pyta pospiesznie:

– Czy Kitty nie jest za młoda?

Babcia macha ręką.

– Nic jej nie będzie.

A potem Kitty pyta:

– A ile trzeba mieć lat, żeby zrobić operację plastyczną nosa w Korei?

Tata omal nie dławi się piwem, a babcia posyła jej groźne spojrzenie.

– Nigdy, przenigdy, nie wolno ci zmieniać nosa. Przynosi szczęście.

Kitty dotyka go ostrożnie.

– Tak?

– Wielkie – mówi babcia. – Jeśli zrobisz coś z nosem, zmienisz swój los. Więc nigdy tego nie rób.

Dotykam własnego nosa. Babcia nigdy nie twierdziła, jakoby mój nos przynosił szczęście.

– Margot, ty możesz zrobić sobie w Korei nowe okulary – mówi babcia. – W Korei okulary są bardzo tanie. Najnowsze modele.

– Oo – mówi Margot, mocząc w sosie sojowym kawałek tuńczyka. – Zawsze miałam ochotę na czerwone oprawki.

Babcia odwraca się do mnie i pyta:

– A ty, Laro Jean? Cieszysz się na kurs pieczenia?

– I to jak – mówię radośnie.

Pod stołem piszę do Petera:

Żyjesz?

Prawie skończyliśmy lunch.

Możesz wpadać w każdej chwili.

Z restauracji wracam z samym tatą, bo Trina, Margot i Kitty odwożą babcię do domu. Kiedy Margot powiedziała, że zabierze się z nami, babcia zaczęła nalegać, żeby pojechała z nimi. Wie, że Margot nie przepada za Triną. A ja wiem, że chce, by się trochę zaprzyjaźniły. Babci nic nie umknie.

W drodze do domu tata patrzy na mnie wilgotnymi oczami i mówi:

– Mama byłaby dziś z ciebie taka dumna, Laro Jean. Wiesz, jak ważna była dla niej wasza edukacja. Chciała, żebyście miały jak największe możliwości.

Bawiąc się chwostem przy birecie leżącym na moich kolanach, pytam:

– Myślisz, że mamie było przykro, że nigdy nie zrobiła magistra? Nie żeby żałowała, że urodziła Kitty czy coś. Tylko… myślisz, że żałowała, że sprawy nie potoczyły się inaczej?

Jest zaskoczony. Zerkając na mnie, mówi:

– No, nie. Kitty była radosną niespodzianką. Naprawdę tak uważam. Zawsze chcieliśmy mieć dużą rodzinę. A ona zamierzała wrócić na studia, kiedy Kitty zacznie chodzić do przedszkola w pełnym wymiarze. Nigdy nie zarzuciła tego planu.

– Nie?

– Coś ty. Miała zamiar uzyskać stopień magistra. Właściwie to zamierzała zacząć zajęcia tamtej jesieni. Tylko… zabrakło jej czasu. – Głos trochę mu się łamie. – Przeżyliśmy ze sobą tylko osiemnaście lat. Mieliśmy tyle czasu, ile ty chodzisz po świecie, Laro Jean.

W gardle rośnie mi gula. Kiedy się nad tym zastanowić, osiemnaście lat z osobą, którą się kocha, to niewiele.

– Tato, możemy zatrzymać się w sklepie? Chcę kupić papier do zdjęć.

Zrobiliśmy z Peterem dziś rano, przed ceremonią zdjęcie w naszych biretach. To będzie ostatnia strona jego scrapbooka, nasz ostatni licealny rozdział.

32

Zjadłszy obiad z mamą i Owenem, Peter przychodzi do nas. Kiedy dzwoni do drzwi, biegnę i od razu pytam, czy rozmawiał z tatą, ale on – uosobienie nonszalancji – mnie zbywa.

– Spoko – mówi, zdejmując buty. – I tak mi nie zależało, żeby przychodził.

Przykro mi, bo mam wrażenie, jakby mnie obwiniał, a może i powinien – w końcu to ja naciskałam, żeby zaprosił tatę. Powinnam była posłuchać, kiedy powiedział „nie".

Idziemy na górę do mojego pokoju, a tata woła żartobliwie:

– Zostawcie drzwi otwarte!

Zawsze tak mówi, na co Peter się wzdryga.

Siadam na łóżku, a on z dala ode mnie przy biurku. Podchodzę do niego i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Przepraszam. To moja wina. Nie powinnam była naciskać, żebyś go zapraszał. Jeśli jesteś na mnie zły, nie winię cię ani trochę.

– Czemu miałbym być zły na ciebie? To nie twoja wina, że on jest do dupy. – Kiedy nic nie mówię, mięknie. – Słuchaj, naprawdę nie jest mi przykro. Nic mi nie jest. Poznasz go innym razem, dobra?

Po chwili wahania mówię:

– Ja już go właściwie poznałam.

Wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

– *Kiedy?*

Przełykam ślinę…

– Natknęłam się na niego przez przypadek na jednym z twoich meczów. Poprosił, żebym ci o tym nie mówiła, nie chciał, żebyś wiedział, że tam był. Chciał tylko popatrzeć, jak grasz. Powiedział, że mu tego brakuje. – Mięśnie na szczękach Petera tężeją. – Powinnam była ci powiedzieć, przepraszam.

– Niepotrzebnie. Jak już mówiłem, gówno mnie obchodzi, co on robi. – Zaczynam coś odpowiadać, ale on przerywa mi, zanim zdążę. – Możemy już więcej o nim nie rozmawiać? Proszę.

Kiwam głową. Widok bólu w jego oczach, który usilnie próbuje ukryć, zabija mnie, ale czuję, że jeśli będę naciskała, tylko pogorszę sytuację. Chcę po prostu, żeby poczuł się lepiej. I wtedy przypominam sobie o prezencie.

– Mam coś dla ciebie!

Jego twarz zalewa fala ulgi, napięcie w barkach opada.

– Oo, masz dla mnie prezent na zakończenie szkoły? Ja dla ciebie nic nie mam.

– Nie szkodzi, niczego nie oczekiwałam.

Podrywam się i wyjmuję scrapbook z pudełka na kapelusze. Kiedy mu go podaję, czuję, jak serce skacze mi w piersi. Z podekscytowania i ze stresu. To go pocieszy, na pewno.

– Pospiesz się i otwórz!

Powoli otwiera. Na pierwszej stronie widnieje zdjęcie, które znalazłam w pudełku po butach, kiedy sprzątałyśmy z Kitty na strychu, żeby zrobić miejsce na pudła Triny. To jedno z niewielu zdjęć z miejscowego gimnazjum. Pierwszy dzień szkoły, czekamy na autobus. Peter zarzucił ramiona na barki Johna McClarena i Trevora Pike'a. Genevieve i ja trzymamy się pod ręce. Ona coś szepcze mi do ucha, pewnie na temat Petera. Jestem zwrócona w jej stronę i nie patrzę w obiektyw. Mam na sobie wrzosowoszarą bluzeczkę Margot i dżinsową spódnicę

i pamiętam, że czułam się w nich bardzo dorosła, jak nastolatka. Włosy mam długie, rozpuszczone na plecach i wyglądają właściwie tak samo jak teraz. Genevieve usiłowała namówić mnie w gimnazjum na obcięcie, ale się nie zgodziłam. Wszyscy wyglądamy tak młodo. John z tymi swoimi różowymi policzkami, pyzaty Trevor, Peter z nogami patyczaka.

Pod zdjęciem napisałam: „Początki".

– Ooo – mówi czule. – Mała Lara Jean i mały Peter. Gdzie je znalazłaś?

– W pudełku po butach.

Stuka w uśmiechniętą twarz Johna.

– Smarkacz.

– Peter!

– Żartuję – mówi.

Jest też zdjęcie z ostatniego halloween, kiedy przebrałam się za Mulan, a Peter włożył kostium smoka. Jest paragon z baru. Jeden z jego liścików do mnie. „Jeśli upieczesz głupie ciastka Johna z żurawiną i białą czekoladą zamiast moich owocowych, to koniec". Nasze zdjęcie z ostatniego tygodnia. Z balu. Ususzone płatki róż z bukiecika. Zdjęcie à la *Szesnaście świeczek.*

Nie wszystko dołączyłam, jak na przykład bilety z naszej pierwszej prawdziwej randki, liścik, który do mnie napisał: „Podobasz mi się w niebieskim". Te rzeczy leżą schowane w moim pudełku na kapelusze. Nigdy ich nie oddam.

Element specjalny, który załączyłam, to mój list, ten, który napisałam do niego dawno temu, ten, dzięki któremu jesteśmy razem. Chciałam go zachować, ale wydało mi się słuszne, żeby miał go Peter. Pewnego dnia to będzie dowód, że tu byliśmy, dowód, że się kochaliśmy. To gwarancja, że niezależnie od tego, co czeka nas w przyszłości, ten czas będzie na zawsze należał do nas.

Dociera do tej strony i się zatrzymuje.

– Myślałem, że chcesz go zatrzymać – mówi.

– Chciałam, ale potem pomyślałam, że to ty powinieneś go mieć. Obiecaj tylko, że go zachowasz.

Odwraca stronę. To zdjęcie z dnia, w którym zabraliśmy moją babcię na karaoke. Zaśpiewałam piosenkę *You're So Vain* i zadedykowałam ją Peterowi. Peter wstał i zaśpiewał *Style* Taylor Swift. A potem razem z babcią *Unchained Melody*. Później kazała nam obiecać, że oboje pójdziemy na UW na kurs koreańskiego. Tamtego wieczoru zrobili sobie razem mnóstwo selfie. Jedno ustawiła jako ekran startowy na swoim telefonie. Jej przyjaciółki z osiedla doszły do wniosku, że Peter wygląda jak gwiazda filmowa. Popełniłam błąd i mu o tym powiedziałam – przechwalał się tym jeszcze długo.

Przez chwilę zatrzymuje się na tej stronie. Kiedy nic nie mówi, odzywam się:

– To pamiątka po nas.

Zamyka zeszyt.

– Dzięki. – Posyła mi uśmieszek. – Jest ekstra.

– Nie obejrzysz reszty?

– Obejrzę, później.

Peter mówi, że musi wracać do domu, żeby spakować się na Tydzień na plaży. Zanim zejdziemy na dół, pytam go raz jeszcze, czy nic mu nie jest, a on zapewnia mnie, że nie.



Po wyjściu Petera Margot przychodzi do mnie i pomaga mi się spakować. Siedzę po turecku na podłodze, układając rzeczy w walizce, a ona podaje mi stosiki. Ciągle martwię się

o Petera, więc cieszę się z jej towarzystwa, bo odwraca moją uwagę od trosk.

– Nie mogę uwierzyć, że właśnie skończyłaś liceum – mówi Margot, składając dla mnie stosik podkoszulków. – Dla mnie masz wciąż tyle lat, ile miałaś, kiedy wyjeżdżałam. – Żartobliwie dodaje: − Na zawsze *sweet sixteen*, Lara Jean.

– Jestem już prawie tak dorosła jak ty, Gogo – mówię.

– Przynajmniej zawsze będziesz niższa – stwierdza, a ja rzucam jej w twarz stanikiem od bikini. – Już niebawem będziemy pakować cię na studia.

Wsuwam lokówkę do włosów do bocznej kieszeni walizki.

– Margot, kiedy wyjechałaś na pierwszy rok, za czym najbardziej tęskniłaś?

– Za wami, rzecz jasna.

– Ale oprócz nas? Za jakimi niespodziewanymi rzeczami tęskniłaś?

– Tęskniłam za całowaniem Kitty na dobranoc po kąpieli, kiedy ma takie czyste włosy.

Parskam.

– Rzadka okazja!

Margot zastanawia się niespiesznie, co jeszcze.

– Tęskniłam za dobrym hamburgerem. W Szkocji smakują inaczej. Bardziej przypominają… klops. Klops na bułce. Hmm, co jeszcze? Tęskniłam za wożeniem was. Czułam się wtedy jak kapitan statku. I brakowało mi twoich wypieków!

– Których? – pyta.

– Hmm?

– Których brakowało ci najbardziej?

– Ciasta cytrynowego.

– Gdybyś powiedziała, to bym ci je przysłała.

– Jestem pewna, że wysyłanie ciasta za ocean jest horrendalnie drogie – mówi z uśmiechem.

– To upieczmy je teraz – stwierdzam, a Margot z radości wyrzuca nogi w powietrze.

Schodzimy więc na dół i to właśnie robimy. Kitty śpi. Tata i Trina siedzą za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju. Jakkolwiek uwielbiałabym Trinę, to dziwna rzecz, do której trzeba przywyknąć. Tata nigdy nie zamykał drzwi. Ale pewnie on też potrzebuje czasu dla siebie, czasu, kiedy nie jest tatą. Nawet nie chodzi o seks, tylko rozmowę, złapanie oddechu. Ale też pewnie o seks.

Margot odmierza mąkę, a ja pytam:

– Pierwszy raz robiliście to z Joshem przy muzyce?

– Straciłam przez ciebie rachubę! – Margot wsypuje mąkę z powrotem do pojemnika i zaczyna od nowa.

– To jak?

– Nie. Wścibska! Słowo daję, że jesteś gorsza niż Kitty.

Roluję cytrynę na blacie, żeby ją rozgrzać, zanim zacznę wyciskać.

– Więc było… cicho?

– Nie było *cicho*. Dochodziły odgłosy koszenia trawnika. I jego mama zostawiła włączoną suszarkę. Ich suszarka jest naprawdę hałaśliwa…

– Ale jego mamy nie było w domu, prawda?

– No coś ty! Nie mogłabym tego zrobić. Moja współlokatorka przyprowadziła raz kogoś, a ja udawałam, że śpię, ale szczerze mówiąc, usiłowałam się nie roześmiać. Koleś ciężko dyszał. I jęczał.

Obie chichoczemy.

– Mam nadzieję, że moja współlokatorka nie będzie tego robić.

– Ustalcie na początku zasady. Kto i kiedy może korzystać z pokoju, takie tam. I pamiętaj, że powinnaś starać się o wyrozumiałość, bo Peter będzie cię często odwiedzał, a nie chcesz nadużywać jej dobrej woli. – Milknie. – Jeszcze ze sobą nie spaliście, prawda? – I szybko dodaje: − Nie musisz mówić, jeśli nie masz ochoty.

– Nie – mówię. – To znaczy jeszcze nie.

– Myślicie o tym? – pyta Margot, przybierając swobodny ton. – Z powodu Tygodnia na plaży?

Nie odpowiadam od razu.

Nie zastanawiałam się nad tym, a w każdym razie nie z racji wyjazdu. Wizja, że będziemy w przyszłości uprawiali z Peterem seks, że będzie to tak zwyczajne, jak pójście do kina czy trzymanie się za ręce, jest nieco trudna do wyobrażenia. Nie chcę, żeby nasza relacja straciła na wyjątkowości, kiedy już to zrobimy. Chcę, żeby to zawsze była świętość, nie coś, co bierze się za oczywistość, bo wszyscy to robią albo dlatego, że robiło się to już wcześniej. Pewnie wszystko może stać się zwyczajne i codzienne, jeśli robi się to wystarczająco długo, ale mam nadzieję, że tak nie będzie. Nie z nami.

– Myślę, że chciałabym mieć muzykę – mówię, wyciskając sok z cytryny do szklanej miarki. – W ten sposób, jeśli któreś z nas będzie ciężko dyszeć, nie usłyszymy tego. I będzie bardziej romantycznie. Przy muzyce wszystko wydaje się bardziej romantyczne, prawda? W jednej chwili wychodzisz z psem na spacer na przedmieściach, w drugiej włączasz Adele i czujesz się, jakbyś była w filmie i właśnie ktoś brutalnie złamał ci serce.

Margot mówi:

– W filmach nigdy nie używają gumki, więc w tej kwestii zostań w świecie realnym.

To wystarcza, żeby wytrącić mnie z marzeń.

– Tata dał mi cały zestaw. Zostawił go dla mnie w łazience na górze. Kondomy, krem, ślinochron. – Wybucham śmiechem. – Czy „ślinochron" to nie najmniej seksowne słowo, jakie słyszałaś?

– Nie, rzeżączka brzmi gorzej!

Gwałtownie poważnieję.

– Peter nie ma rzeżączki! – Teraz Margot chichocze. – Nie ma!

– Wiem, tylko żartuję. Ale myślę, że powinnaś zabrać zestaw ze sobą, na wypadek gdyby sprawy zmierzały w tym kierunku.

– Gogo, nie zamierzam uprawiać seksu podczas Tygodnia na plaży.

– Powiedziałam „na wypadek"! Nigdy nie wiadomo. – Odgarnia włosy z twarzy i poważnym tonem mówi: − Naprawdę cieszę się, że pierwszy raz zrobiłam to z Joshem. Powinno się to robić z kimś, kto cię dobrze zna. Z kimś, kto cię kocha.

Przed pójściem do łóżka otwieram zestaw, wyjmuję z niego gumki i pakuję je na samo dno walizki. A potem wybieram najładniejszą bieliznę, bladoróżową z lamówką z jaskrawoniebieskiej koronki, nigdy nienoszoną, i ją też pakuję. Na wszelki wypadek.

33

Peter zjawia się u mnie bardzo wcześnie. Wszyscy jadą razem przyczepą kempingową, ale Peter chciał, żebyśmy pojechali sami w jego dwuosobówce. Jest w dobrym nastroju. Kupił nam pączki, jak za starych, dobrych czasów. Ale mówi, że wszystkie są dla mnie. Odkąd wrócił z obozu kondycyjnego z drużyną lacrosse, włączył mu się tryb fitness.

Przesuwamy rzeczy w jego samochodzie, żeby zrobić miejsce dla mojej walizki, kiedy wybiega Kitty, żeby się przywitać. Dostrzega torbę pączków spoczywającą na moim plecaku i jednego podkrada. Z pełnymi ustami mówi:

– Peter, czy Lara Jean powiedziała ci już o Korei?

– Co takiego? – pyta.

Gwałtownie podnoszę głowę i posyłam Kitty wkurzone spojrzenie.

– Właśnie zamierzałam. Peterze, nie miałam okazji powiedzieć ci o tym wczoraj… W ramach prezentu na zakończenie szkoły tata wysyła nas do Korei.

– Wow, ale super – mówi Peter.

– Tak, poznamy naszych krewnych i objedziemy cały kraj.

– Kiedy?

Zerkam na niego.

– W przyszłym miesiącu.

– Na jak długo? – pyta.

– Na miesiąc.

Patrzy na mnie z przerażeniem.

– Na *miesiąc*? Tak długo?

– Wiem.

Już jest połowa czerwca. Po dwóch miesiącach wakacji on będzie wciąż tutaj, a ja w Chapel Hill.

– Miesiąc – powtarza.

Przed Peterem nie zastanawiałabym się ani sekundy nad wyjazdem na miesiąc do Korei. Byłabym zachwycona. A teraz… Nie powiedziałam tego tacie ani Margot, ani Kitty, ale nie chcę jechać. Po prostu nie chcę. Chcę. Ale nie chcę.

W samochodzie w drodze na plażę mówię:

– Będziemy codziennie rozmawiać na wideoczacie. To trzynaście godzin różnicy czasu, więc jeśli zadzwonię wieczorem, to będzie twój ranek.

Peter wygląda na przybitego.

– Mieliśmy spędzić u Bledella weekend ze Świętem Niepodległości, pamiętasz? Jego tata kupił nową łódkę. Miałem cię nauczyć, jak pływać na desce.

– Wiem.

– Co ja zrobię, kiedy ty będziesz tak daleko? Wakacje będą do dupy. Chciałem zabrać cię do Pony Pasture.

Pony Pasture to mały park przy James River w Richmond. Znajdują się tam wielkie głazy, na których można się wylegiwać, można też spływać w dół rzeki na pontonach. Peter już tam był z kolegami ze szkoły, ale ja jeszcze nie.

– Pojedziemy, jak wrócę – mówię, a on kiwa głową bez zapału. – I przywiozę mnóstwo prezentów. Maseczki. Koreańskie cukierki. Jeden prezent na każdy dzień rozłąki!

– Przywieź mi skarpetki w tygryski.

– Jeśli będą mieli w wystarczająco dużym rozmiarze – mówię żartobliwie, żeby się uśmiechnął.

Nadchodzący tydzień musi być najdoskonalszy, najlepszy na świecie, żeby zrekompensować mu to, że nie będzie mnie przez całe lato.

Telefon Petera wibruje, on ignoruje połączenie, nie patrząc nawet, kto to. Chwilkę później dzwoni po raz kolejny, a wyraz twarzy Petera robi się zacięty.

– Kto to? – pytam.

– Tata – odpowiada krótko.

– Mam nadzieję, że dzwoni, żeby cię przeprosić i wyjaśnić, jak mógł opuścić ceremonię rozdania dyplomów własnego syna.

– Już wiem czemu. Powiedział mamie, że Everett dostał reakcji alergicznej i musieli zabrać go na pogotowie.

– O – mówię. – To chyba dość dobre wyjaśnienie. Czy Everett dobrze się czuje?

– Nic mu nie jest. Nie sądzę, żeby miał aż taką alergię. Kiedy jem truskawki, język mnie kłuje. Wielkie rzeczy. – Z tymi słowami Peter włącza muzykę i przez jakiś czas nie rozmawiamy.

Dom dziewczyn stoi w drugim rzędzie i ma widok na plażę. Jest na palach, jak wszystkie domki w drugim rzędzie. Ma trzy poziomy, kuchnia i salon mieszczą się na dole, a sypialnie wyżej. Dzielimy z Chris pokój na najwyższym poziomie. Jakbyśmy mieszkały na szczycie latarni morskiej. Pościel jest turkusowa w muszelki. Wszystko pachnie pleśnią, ale domek nie jest zły.

Każda z dziewczyn w domku przyjęła jakąś rolę, oprócz Chris, której główne zadanie polega na spaniu cały dzień na plaży z butelką piwa. Pierwszego dnia wróciła z dekoltem i twarzą w kolorze homara. Jedyną niespaloną częścią były oczy, na których miała okulary. Była skrępowana, ale zbagatelizowała sprawę, mówiąc, że to jej podkład przed Kostaryką. Pammy jest mamą. Obiecała rodzicom, że nie będzie piła, więc zajmuje się doglądaniem pozostałych dziewczyn, przynoszeniem wody i aspiryny rano do ich łóżek.

Kaila świetnie sobie radzi z prostownicą. Potrafi nią nawet kręcić loki, czego ja nigdy się tak naprawdę nie nauczyłam. Harley koordynuje plany w porozumieniu z innymi domkami.

Ja jestem kucharką. Zaraz po przyjeździe poszłyśmy na wielkie zakupy i nakupiłyśmy wędlin, granoli, makaronu, słoików z sosami, salsy i płatków. Nie kupiłyśmy jedynie papieru toaletowego, który skończył się nam drugiego dnia. Za każdym razem, kiedy wychodzimy na lunch lub kolację, jedna z nas kradnie rolkę papieru z łazienki w knajpie. Czemu po prostu go nie dokupimy, nie wiem, ale zrobił się z tego rodzaj zabawy. Chris bije wszystkich na głowę, bo udało się jej wydostać z dyspensera ekstradużą rolkę, którą następnie przemyciła pod koszulką.

Chłopcy wpadają do nas codziennie na darmowe żarcie, ale też dlatego, że w ich domku już jest pełno piasku. Nazywamy go zamkiem z piasku. Siedzenie u nich na kanapie przypomina peeling ciała, a stanie daje efekt złuszczający naskórek, ale nie w przyjemnym tego słowa znaczeniu.

Ciekawe, czy tak właśnie mieszka się w akademiku. Z początku jest uroczo, jak w jednym z tych internatów z lat czterdziestych, pożyczacie sobie lakier do paznokci i puszczacie muzykę, przygotowując się do wyjścia i jedząc na łóżku lody. Ale w środę Kaila i Harley popadają w głośny konflikt o pierwszej nad ranem na temat tego, kto zostawił włączoną prostownicę, przez co sąsiedzi wezwali policję. Tej samej nocy Pammy się upija, więc siedzę z nią długie godziny na plaży, a ona płacze, bo czuje się winna, że nie dotrzymała słowa danego rodzicom. Następnego wieczoru część dziewczyn wychodzi do klubu i przyprowadza trzech chłopaków z Montany. Jeden z nich nie budzi zaufania, więc zamykam porządnie drzwi sypialni na noc. Z naszego pokoju piszę do Petera, który wrócił już do swojego domku. Natychmiast przychodzi i siedzi na dole, żeby „mieć na nich oko”.

Spędzamy z Peterem dnie na plaży, gdzie ja siedzę i czytam, a on biega. Odkąd tu przyjechaliśmy, ciągle biega, bo nie może ćwiczyć tak jak w domu, w siłowni. Idzie na długą przebieżkę rano, zanim zrobi się gorąco, krótką w środku dnia i kolejną długą o zmierzchu. Oprócz dnia, kiedy zmuszam go do pójścia ze mną do Muzeum Braci Wright w Kill Devil Hills. Pojechałam tam w dzieciństwie z rodziną, zanim Kitty się urodziła, ale byłam za mała, żeby wspiąć się na szczyt. Wchodzimy na samą górę i chłonę widoki.

Cały tydzień Peter jest ujmujący jak zawsze, szczególnie w stosunku do innych ludzi – na jego twarzy stale gości swobodny uśmiech, zawsze jako pierwszy proponuje różne zajęcia, gry. Ale w stosunku do mnie zachowuje chłód. Jakby był gdzieś daleko, mimo że siedzi obok. Nieosiągalny. Próbowałam poruszyć jeszcze raz temat jego taty, ale tylko mnie wyśmiał. Nie wspominał też o moim wyjeździe do Korei.

Co wieczór w jednym z domków – oprócz naszego – odbywa się impreza. Nigdy nie robimy jej u siebie, bo Pammy boi się utraty kaucji. To miłe, że różni ludzie spędzają ze sobą czas tak, jak nigdy nie robili tego w liceum. Świadomość, że już po wszystkim, jest wyzwalająca. Już nigdy więcej nie będziemy razem w takim gronie, więc czemu nie? W tym właśnie duchu Chris wdaje się w romans z Patrickiem Shaw, chłopakiem z klubu anime, do którego należał Josh.

Dzisiejsza impreza odbywa się w domku Petera. Nie mam pojęcia, jak mają zamiar odzyskać swoją kaucję, bo wszystko jest w opłakanym, upiaszczonym stanie: jeden z wiklinowych foteli na werandzie jest złamany, wszędzie walają się puszki po piwie, a ktoś usiadł na beżowej kanapie w salonie w mokrym pomarańczowym ręczniku i teraz widnieje na jej środku wielka pomarańczowa plama. Idę do kuchni, gdzie zastaję Johna Ambrose'a McClarena przeczesującego lodówkę.

Zamieram. Peter jest w nieprzewidywalnym nastroju. Nie wiem, co zrobi, kiedy zobaczy Johna w swoim domku.

Próbuję zdecydować, czy szukać Petera, żeby powiedzieć mu, że jest tu John, kiedy głowa Johna wyłania się zza drzwi lodówki. Trzyma marchewkę i ją pogryza.

– Hej! Tak myślałem, że mogę cię tu zastać.

– Cześć! – mówię radośnie, jakbym przed chwilą nie rozważała wycofania się, zanim mnie zauważy. Podchodzę, a on przytula mnie jedną ręką, bo w drugiej nadal trzyma marchewkę.

– Czy widziałeś Petera? – pytam go. – Mieszka w tym domku.

– Nie, dopiero co przyszliśmy.

John jest opalony, włosy pojaśniały mu od słońca, a na sobie ma znoszoną koszulkę w niebiesko-białą kratkę i szorty khaki.

– Gdzie mieszkasz?

– Naprawdę blisko. A ty?

– Mamy domek w Duck. – Uśmiecha się do mnie, a potem proponuje mi marchewkę. – Chcesz gryza?

Śmieję się.

– Nie, dzięki. To gdzie postanowiłeś iść na studia?

– Wilhelm i Maria. – John unosi rękę do przybicia piątki. – Więc się tam spotkamy, tak?

– Właściwie to… idę do Chapel Hill. Dostałam się z listy rezerwowej.

Johnowi szczęka opada.

– Powaga? Fantastycznie! – Przytula mnie do siebie. – Wspaniale. To idealne miejsce dla ciebie. Spodoba ci się tam.

Zerkam w kierunku drzwi do kuchni, zastanawiając się, jak by tu zgrabnie wycofać się z rozmowy, kiedy do środka wchodzi Peter z puszką piwa w dłoni. Na nasz widok zatrzymuje się

w pół kroku. Aż się w środku krzywię, ale on tylko się uśmiecha i woła:

– McClaren! Siema!

Ściskają się po męsku, czyli przyciągają się, a potem jakby stukają. Wzrok Petera ląduje na marchewce w dłoni Johna. Peter przygotowuje sobie codziennie napój proteinowy z marchewki i jagód, więc wiem, że nie podoba mu się, że John sobie jedną wziął. Peter wyliczył, ile dokładnie marchewek potrzebuje do końca tygodnia.

– Lara Jean właśnie mówiła mi, że dostała się do Karoliny Północnej – mówi John, opierając się plecami o blat. – Strasznie jej zazdroszczę.

– Prawda, zawsze chciałeś tam pójść. – Peter nie odrywa wzroku od marchewki.

– Od dziecka. To było moje marzenie. – John szturcha mnie żartobliwie. – Ta dziewczyna zakradła się jak złodziej nocą. Wyjęła mi miejsce prosto spod tyłka.

– Przykro mi – mówię z uśmiechem.

– Nie, tak się tylko z tobą droczę. – John gryzie marchewkę. – Ale naprawdę chyba się tam przeniosę. Zobaczymy.

Peter obejmuje mnie w pasie i bierze łyk piwa.

– Powinieneś. Moglibyście chodzić razem na mecze koszykówki.

Mówi to dość miłym tonem, ale ja słyszę kryjące się w nim napięcie.

Johnowi też ono nie umyka.

– Pewnie – mówi.

Pochłania resztę marchewki i wrzuca końcówkę do zlewu.

– Chcę, żebyście poznali moją dziewczynę, Dipti. Gdzieś tu powinna być.

Wyjmuje telefon i pisze do niej esemesa.

Wciąż stoimy w tym samym miejscu, kiedy do nas dołącza. Jest ode mnie wyższa, wysportowana, ma czarne włosy do ramion, ciemną skórę, może w typie induskim. Ma ładny biały uśmiech i dołeczek w jednym policzku. Jest ubrana w jedwabisty biały kombinezon i sandały. Żałuję, że zdecydowałam się włożyć podkoszulek z logo UW Petera i obcięte dżinsy. Przedstawiamy się, a potem Dipti wskakuje na blat i pyta:

– Skąd się znacie?

– McClaren był moim najlepszym przyjacielem w gimnazjum – mówi Peter. – Nazywali nas Butch Cassidy i Sundance Kid. Jak sądzisz, kto był Butchem, a kto Sundance Kidem, Dipti?

Śmieje się.

– Nie wiem. Nie widziałam tego filmu.

– Butch był głównym bohaterem – Peter wskazuje na siebie. – A ten tu Sundance Kid – wskazuje na Johna – jego pomocnikiem.

Peter wybucha śmiechem, a mnie aż skręca, ale John kręci tylko głową na swój łagodny sposób. Peter łapie Johna za biceps.

– Ej, czyżbyś ćwiczył? – A do Dipti mówi: − Zawsze miał ramiona jak spaghetti i całymi dniami czytał, a teraz proszę bardzo. Ogier z niego.

– Nadal czytam – mówi John.

– Kiedy zaczęłam spotykać się z Peterem, myślałam, że może nie umie czytać – mówię, a John śmieje się do rozpuku.

Peter też się śmieje, ale nie z takim zapałem jak przed chwilą.

Kiedy robi się późno, Peter mówi, że powinnam zostać u nich zamiast wracać do swojego domku. Odmawiam, bo nie mam ze sobą szczoteczki do zębów ani żadnych rzeczy, ale tak naprawdę jestem na niego wkurzona za to, jak zachowywał się w obecności Johna.

W drodze do mojego domku Peter mówi:

– Dipti wydaje się fajna. Dobrze dla McClarena. Ale wątpię, żeby zostali razem. Pewnie

odwiedzą się raz i do Bożego Narodzenia zerwą, jeśli nie wcześniej.

Zatrzymuję się.

– To, co mówisz, jest paskudne.

– Co? Jestem tylko szczery.

Staję z nim twarzą w twarz, a słony wiatr od plaży rozwiewa mi włosy.

– Dobra, skoro „jesteś tylko szczery", to może ja też będę. – Peter unosi brew i czeka na to, co powiem. – Zachowywałeś się dziś jak dupek. Nie jest ci do twarzy z zazdrością, Peterze.

– Ja? – Peter wydaje z siebie pogardliwy dźwięk. – Zazdrosny? O kogo? O McClarena? Błagam cię. Widziałaś, jak wpakował się do mojej lodówki i wyżarł moje marchewki?

Znów ruszam, tym razem szybciej.

– Kogo obchodzą twoje marchewki!

Podbiega, żeby dotrzymać mi kroku.

– Wiesz, że próbuję trzymać formę ze względu na lacrosse!

– Jesteś śmieszny, wiesz o tym? – Stoimy już przed moim domkiem. Szybko dociera się na miejsce w gniewie. – Dobranoc, Peterze.

Odwracam się na pięcie i wchodzę na schody, a Peter nie próbuje mnie zatrzymać.

34

Nazajutrz rano budzę się niepewna, czy mamy z Peterem konflikt. Wczoraj wieczorem wszystko na to wskazywało, ale nie wiem, czy to on jest zły na mnie, czy to ja powinnam być zła na niego. To niepokojące uczucie.

Nie chcę się na niego gniewać. Pierwszego lipca wylatuję do Korei. Nie mamy czasu na głupie kłótnie o marchewki i Johna Ambrose'a McClarena. Liczy się każda wspólna sekunda, która nam została.

Postanawiam zrobić mu francuskie tosty w charakterze gałązki oliwnej. To jego ulubione śniadanie, oprócz pączków. W kuchni znajduję w szafce pudełko cukru, mleko, pół bochenka chleba, parę jajek, ale nie mam cynamonu. Cynamon jest niezbędny.

Biorę od Pammy kluczyki i jadę do małego sklepiku niedaleko naszego domku, gdzie kupuję cynamon w dozowniku, masło, tuzin jajek i nowy bochenek białego chleba, bo dochodzę do wniosku, że skoro już, to mogę zrobić tosty dla całego domku Petera. W ostatniej chwili wrzucam do koszyka siatkę marchewek.

Cały jego dom jest jeszcze pogrążony we śnie, a miejsce wygląda jeszcze gorzej niż wczorajszej nocy. Wszędzie butelki po piwie, porozrzucane puste paczki po chipsach, kąpielówki suszące się na meblach. Brudne naczynia piętrzą się w zlewie, a ja muszę umyć oblepione jajkiem miskę i łopatkę, żeby zabrać się do roboty.

Ponieważ chleb jest świeży, dwie pierwsze kromki rozpadają się w roztrzepanych jajkach, ale przy trzecim podejściu już mi wychodzi, bo zanurzam chleb tylko na parę sekund, a potem wrzucam go na patelnię.

Chłopcy schodzą na dół, a ją smażę kolejne tosty. Za każdym razem, kiedy stos maleje, dodaję kolejne. Peter schodzi jako ostatni, a kiedy proponuję mu kawałek, jeden z porządnie chrupiących, kręci głową i mówi, że lepiej nie, bo jest na diecie. Mówiąc to, nie patrzy na mnie. Po prostu nie chce jeść tego, co ja przygotowałam.

Po śniadaniu nie siedzę u nich dłużej i po raz kolejny Peter mnie nie zatrzymuje. Wracam do domku i budzę Chris, która nadal ma na sobie ubranie z zeszłego wieczoru.

– Mam dla ciebie na dole francuski tost – mówię.

Przyniosłam jej kawałek, który zachowałam dla Petera.

Tego wieczoru domek kilka rzędów dalej organizuje grilla. Nasz dom przynosi pudełka z jaskrawożółtą sałatką ziemniaczaną i wszystkie napoje, które nam zostały. To ostatni wieczór, więc opróżniamy lodówkę.

Siedzę na werandzie i rozmawiam z Kailą i Emily Nussbaum, jedną z przyjaciółek Genevieve. Przez cały tydzień prawie nie widziałam Gen, bo przyjechała tu z przyjaciółmi z Kościoła, a jej domek nie spoufala się z ludźmi z innych szkół.

Emily pyta mnie:

– Naprawdę macie zamiar zostać z Kavinskym razem?

W tej chwili? Nie mam pojęcia, skoro dzisiejszego wieczoru zamieniliśmy ze sobą ledwie dwa słowa. Oczywiście nie mówię tego głośno. Wszystko, co powiem Emily, trafi do Genevieve. Gen może i pogodziła się z sytuacją, ale z pewnością czerpałaby satysfakcję z tego, że pokłóciliśmy się z Peterem.

– Tak, zostajemy razem. UKP i UW nie są od siebie tak daleko – mówię.

Kaila popija przez słomkę rum z dietetyczną colą, patrząc na mnie z ukosa.

– Wiesz co, ciekawa z ciebie dziewczyna, Laro Jean. Z początku wydajesz się nieśmiała

i trochę dziecinna, ale tak naprawdę jesteś bardzo pewna siebie. To był, tak nawiasem mówiąc, komplement.

– Dzięki – mówię.

Jeśli ktoś cię komplementuje, to chyba nie powinien mówić ci, że to robi. To raczej powinno być jasne dla komplementowanego. Biorę łyk drinka, który zrobiła dla mnie Chris, i omal go nie wypluwam, bo jest tak mocny. Nazwała go „Dorosła Shirley Temple", cokolwiek to znaczy.

– Rozumiem, czemu podobasz się Kavinsky'emu – mówi Kaila. – Mam nadzieję, że się wam uda.

– Dziękuję – mówię.

Emily opiera nogi na moim krześle i mówi:

– Gdyby Blake ze mną zerwał, tobym oszalała. Byłabym totalnie rozwalona.

– Między wami iskrzy, że hej. Pewnie zaraz po studiach się pobierzecie.

– Coś ty – mówi Emily, ale widać, że jej miło.

– Wy wszyscy idziecie na tę samą uczelnię. To co innego. – Kaila mi się przygląda. – Nie sądzę, żebym dała radę wytrzymać w związku na odległość.

– Czemu nie? – pytam.

– Lubię widywać się z moim facetem codziennie. Nie chcę zastanawiać się, co porabia. Czy jestem zaborcza? Tak. Ale chodzi też o to, że nie chcę na koniec dnia bawić się w aktualizację. Muszę być częścią jego codziennego życia, a on musi być częścią mojego.

Rozgryza między zębami lód. To właśnie stało się ze mną i Margot, kiedy wyjechała na studia. Dystans pogłębiał się stopniowo, jak woda morska napełniająca łódź, a my nawet nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy. Zanim się orientujesz, już jesteś pod wodą. Przetrwałyśmy, ale jesteśmy siostrami. Siostry zawsze znajdą do siebie drogę powrotną. Nie sądzę, żeby to samo dotyczyło relacji z chłopakami. Na myśl o tym, że mogłoby to przydarzyć się mnie i Peterowi, przepełnia mnie ogromny smutek. Jak temu zapobiegniemy? Co dzień rozmawiając? Odwiedzając się przynajmniej raz w miesiącu? Sam powiedział – będzie bardzo zajęty, jego życie będzie wypełnione zajęciami z powodu lacrosse. Już się zmienia, ta jego zdrowa dieta i treningi. I kłócimy się, a nigdy dotąd nam się to nie zdarzało, nie na poważnie. Nie tak, żeby nie dało się tego cofnąć. I co teraz? Jak dokonać następnego kroku?

Zostaję jeszcze chwilę, a kiedy Emily i Kaila zaczynają rozmawiać o tym, czy wstąpić szybko do bractwa czy nie, wymykam się, żeby znaleźć Petera. Po tej rozmowie i wczorajszej kłótni chcę go mieć przy sobie, póki jesteśmy jeszcze w tej samej okolicy. Znajduję go z paroma chłopakami, którzy przygotowują ognisko. Już wydaje mi się taki odległy, a ja tak bardzo chciałabym, żeby między nami znów było tak jak zwykle. Biorę duży łyk Dorosłej Shirley Temple, dla kurażu. Nasze spojrzenia spotykają się, a ja mówię bezgłośnie: „Chcesz stąd iść?". Kiwa głową. Ruszam z powrotem, a on idzie za mną.

Kiedy biorę kolejny łyk Dorosłej Shirley Temple, pyta:

– Co pijesz?

– Coś, co zrobiła dla mnie Chris.

Wyjmuje mi z ręki czerwony kubek i wyrzuca go do kubła przy wyjściu.

Droga do mojego domku mija nam w ciszy, nie licząc szumu fal oceanu. Chyba żadne z nas nie wie, co powiedzieć, bo dobrze wiemy, że między nami nie chodzi wcale o Johna Ambrose'a McClarena ani marchewki.

Kiedy tak idziemy uliczką, słyszę przygnębiony głos Petera:

– Wciąż jesteś zła za wczoraj?

– Nie.

– To dobrze – mówi. – Widziałem w lodówce marchewki, które kupiłaś. Przepraszam, że nie zjadłem twojego tosta.

– Czemu to zrobiłeś? Wiem, że nie z powodu diety.

Peter pociera kark.

– Nie wiem, w czym tkwi problem. Jestem w dziwnym nastroju.

Patrzę na niego. Twarz ma schowaną w cieniu.

– Mamy niewiele czasu do mojego wyjazdu do Korei. Nie marnujmy go.

A potem wsuwam swoją dłoń w jego, a on ją ściska.

Po raz pierwszy od tygodnia domek jest całkowicie opustoszały. Wszystkie dziewczyny są na imprezie, oprócz Chris, która wpadła na kogoś, kogo zna z Applebee's. Idziemy do mojego pokoju, Peter zdejmuje buty i kładzie się na łóżku.

– Chcesz obejrzeć film? – pyta, wyciągając ręce pod głową.

Nie, nie chcę oglądać filmu. Nagle serce wali mi jak młotem, bo wiem, czego chcę. Jestem gotowa.

Siadam koło niego na łóżku, a on mówi:

– Moglibyśmy zacząć jakiś nowy serial…

Przyciskam usta do jego szyi i czuję, jak tętno mu przyspiesza.

– A gdybyśmy tak nie oglądali filmu ani serialu. Gdybyśmy… zrobili coś innego.

Patrzę na niego znacząco. Jego ciało aż podskakuje z zaskoczenia.

– Tak teraz?

– Tak.

Teraz. Teraz to dobry moment. Zaczynam całować go powoli w okolicy gardła.

– Podoba ci się?

Czuję, jak przełyka ślinę.

– Tak.

Odsuwa mnie od siebie, żeby spojrzeć na moją twarz.

– Zatrzymajmy się na chwilę. Nie mogę myśleć. Jesteś pijana? Co Chris dodała do tego drinka?

– Nie, nie jestem pijana! – Czułam, że mnie nieco rozgrzało od środka, ale spacer do domku mnie otrzeźwił. Peter wciąż się we mnie wpatruje. – Nie jestem pijana. Słowo.

Peter przełyka głośno ślinę, patrzy pytająco w moje oczy.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić teraz?

– Tak – mówię, bo naprawdę chcę. – Ale mógłbyś najpierw puścić Franka Oceana?

Bierze telefon i chwilkę później zaczyna lecieć beat, a melodyjny głos Franka wypełnia pokój. Peter zabiera się do rozpinania koszuli, a potem się poddaje i podnosi moją koszulkę.

– Czekaj! – krzyczę.

Peter jest tak wystraszony, że aż ode mnie odskakuje.

– Co? Co się dzieje?

Zeskakuję z łóżka i zaczynam przeszukiwać walizkę. Nie mam na sobie mojego specjalnego stanika i majtek. Mam zwykły codzienny stanik w kolorze cappuccino z postrzępionymi brzegami. Nie mogę stracić dziewictwa w najbrzydszym z moich staników.

– Co robisz? – pyta.

– Daj mi jedną sekundę.

Pędzę do łazienki, zdejmuję stary stanik i majtki i wkładam koronkowy komplet. Potem myję zęby i patrzę na siebie w lustrze. Nadeszła ta chwila. Ja, Lara Jean Song Covey, zaraz stracę cnotę z Peterem K.

Peter woła:

– Wszystko w porządku?

– Jeszcze momencik!

Powinnam się z powrotem ubrać, czy wyjść w samej bieliźnie? Nigdy dotąd nie widział mnie w bieliźnie. Chyba zaraz zobaczy mnie bez jakichkolwiek ubrań, więc czemu nie.

Wychodzę z łazienki, niosąc ubranie przed sobą jak tarczę, a Peter na mój widok sprawdza, czy dobrze widzi, po czym pospiesznie zdejmuje koszulę. Czuję, że się czerwienię. Wkładam stanik i majtki do walizki, a potem szukam w środku, aż trafiam na paczkę gumek. Wyjmuję jedną, a potem wracam do łóżka i wchodzę pod kołdrę.

– Dobrze, teraz jestem gotowa.

– Podoba mi się twój stanik – mówi Peter, odkrywając mnie.

– Dziękuję.

Przysuwa się do mnie bliżej i całuje mnie w powiekę. Najpierw lewą, potem prawą.

– Denerwujesz się?

– Troszkę.

– Nie musimy robić tego dzisiaj, Covey.

– Ale ja chcę.

Wyciągam gumkę, a on unosi brwi zdziwiony.

– Z zestawu mojego taty. Pamiętasz, mówiłam ci, że przygotował dla mnie zestaw antykoncepcyjny?

Wyjmując mi z ręki prezerwatywę, całuje moją szyję i mówi:

– Możemy nie rozmawiać teraz o twoim tacie?

– Jasne – mówię.

Peter kładzie się na mnie. Serce wali mi w piersi tak, jak zawsze kiedy jestem blisko niego, ale teraz jeszcze bardziej, bo wszystko się zmieni. Przekroczymy razem granicę, której dotąd nie przekraczaliśmy. Uważa, żeby oprzeć swój ciężar na przedramionach i mnie nie zgnieść, ale mnie nie przeszkadza ciężar jego ciała na moim. Jego dłonie wsuwają się w moje włosy tak, jak lubię. Jego usta są ciepłe. Oboje mamy przyspieszone oddechy.

A potem nagle przestaje mnie całować. Otwieram oczy, a on unosi się nade mną ze zmarszczonym czołem.

– Czy to dlatego, że się wczoraj pokłóciliśmy? Bo, Covey…

– To nie z powodu kłótni. Ja tylko… Chciałam poczuć z tobą bliskość.

Peter wbija we mnie wzrok i widzę, że czeka na więcej, że dam mu jakiś wielki powód. A sprawa jest tak naprawdę dość prosta.

– To nie stało się z dnia na dzień. Chcę uprawiać z tobą seks, bo cię kocham i chcę, żebyś to był ty.

– Ale czemu ja?

– Bo… bo jesteś moją pierwszą miłością, więc kto inny?

Peter zsuwa się ze mnie i siada. Głowę ukrywa w dłoniach.

Ja też siadam, owijając się kołdrą.

– Co się dzieje?

Nie odpowiada przez, jak mi się zdaje, całą wieczność.

– Proszę, po prostu to powiedz.

Zaczyna mnie mdlić.

– Nie chcę teraz tego robić.

– Czemu nie? – szepczę.

Nie może na mnie spojrzeć.

– Nie wiem… Dużo mam na głowie. Lacrosse, tata, który nie pojawił się na zakończeniu,

a teraz ty wyjeżdżasz na całe lato.

– Nie całe. Tylko lipiec. Na koniec lipca będę z powrotem! Czemu wybiegasz tak daleko w przód?

Peter kręci głową.

– Mam wrażenie, że wyjeżdżasz, i wcale cię nie obchodzę.

– Wiesz, że to nie była moja decyzja! Tata zrobił mi niespodziankę! To nie *fair*, Peterze.

Patrzy na mnie przeciągle.

– A co z UKP? Zamierzasz jeszcze w ogóle przenieść się na UW? Przy Wilhelmie i Marii to rozumiało się samo przez się, ale teraz mi na to nie wygląda.

Oblizuję wargi. Serce tłucze mi się jak oszalałe.

– Nie jestem pewna. Może? A może nie. Z UKP jest inaczej.

– Tak, wiem. To jasne.

– Nie zachowuj się, jakby to było coś złego! Wolałbyś, żebym poszła gdzieś, gdzie będę nieszczęśliwa?

– Chwilowo nieszczęśliwa – poprawia.

– Peter!

– Daj spokój, Laro Jean. Czy naprawdę uważasz mnie za takiego dupka?

– Nie. Ja… ja tylko nie rozumiem, czemu tak się zachowujesz. Chcę dać UKP prawdziwą szansę. Chcę dać szansę sobie. – Do oczu napływają mi łzy i trudno wydobyć mi głos. – I uważam, że ty też powinieneś tego dla mnie chcieć.

Peter krzywi się, jakbym go spoliczkowała. Łóżko jest małe, ale mam wrażenie, jakby Peter znajdował się w tej chwili daleko ode mnie. Serce mi pęka, tak bardzo pragnę się do niego zbliżyć. Ale nie mogę.

W milczeniu wkłada z powrotem koszulkę.

– Chyba już pójdę – mówi.

A potem wstaje, wychodzi za drzwi i znika. Czekam, aż drzwi wejściowe się zamkną, a potem wybucham płaczem.

35

Kiedy pakujemy rano bagaże do samochodu, ciągle myślę, że może Peter zjawi się, żeby zabrać mnie do domu, ale tak się nie dzieje, a ja też go o to nie proszę. Wracam do Wirginii z dziewczynami.

Peter kontaktuje się ze mną dopiero następnego dnia. Dostaję wiadomość o treści:

Przepraszam za wczoraj.

Zachowałem się jak dupek.

Ułożymy to jakoś. Obiecuję. Muszę załatwić

coś dla mamy, ale możemy się spotkać później?

Odpisuję:
Tak.

A on:
Naprawdę mi przykro.

Kocham Cię.

Zaczynam odpisywać: „ja Ciebie też", kiedy mój telefon dzwoni. To numer domowy Petera, więc szybko odbieram.

– Ja ciebie też – mówię.

Po drugiej stronie zapada zaskoczona cisza, a potem tuszuje ją cichy śmiech.

– Witaj, Laro Jean. Tu mama Petera.

Ogarnia mnie zażenowanie.

– O! Dzień dobry.

Chce, żebym wpadła z nią pogadać. Mówi, że Petera nie ma w domu, że będziemy tylko we dwie. Pewnie wysłała go po jakieś sprawunki, żeby móc mnie zaprosić. Nie mogę zrobić nic innego, jak tylko pojechać.

Wkładam żółtą plażówkę, maluję usta, czeszę się i jadę do domu Petera. Otwiera z uśmiechem na ustach. Ma na sobie bluzkę w kratkę i bermudy.

– Wejdź do środka – mówi.

Wchodzę za nią do kuchni, a ona mówi:

– Laro Jean, napijesz się czegoś? Mrożonej herbaty?

– Chętnie – mówię, siadając na taborecie.

Mama Petera nalewa mi z plastikowego oszronionego dzbanka szklankę mrożonej herbaty. Podaje mi ją i mówi:

– Dziękuję, że przyjechałaś mnie odwiedzić, na kobiecą rozmowę. Jest coś, o czym chciałam z tobą pomówić.

– Tak – mówię, a skóra zaczyna mnie piec.

Bierze moją dłoń w swoje. Są chłodne i suche, a moje nagle wilgotne.

– Peter wiele przeszedł i ciężko pracował. Jestem pewna, że wiesz, jakim rozczarowaniem

dla niego była nieobecność taty na rozdaniu dyplomów. – Patrzy mi w oczy badawczo, a ja kiwam głową. – Udaje, że go to nie obchodzi, ale w środku cierpi. Po powrocie z Tygodnia na plaży zaczął mówić o przenoszeniu się na drugi rok na UKP. Wiedziałaś o tym?

Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy.

– Nie, nie wiedziałam. Nie… nie powiedział mi na ten temat ani słowa.

Kiwa głową, jakby to podejrzewała.

– Gdyby miał się przenieść, przez rok nie mógłby grać. To by oznaczało, że nie utrzyma stypendium sportowego. Czesne za studia na uczelni w innym stanie jest wysokie, o czym z pewnością wiesz.

Jest. Tata powiedział, że damy radę, że Margot ma jeszcze tylko dwa lata, a Kitty wciąż daleko do studiów. Ale wiem, że koszty są duże. I wiem, choć o tym nie rozmawiamy, że tata zarabia więcej niż mama Petera.

– Tata Petera chce się dołożyć, ale to nie jest ktoś, na kim można polegać. Więc nie mogę na niego liczyć. – Milknie na momencik. – Ale mam nadzieję, że mogę liczyć na ciebie.

– O mnie nie musi się pani martwić. Powiem Peterowi, żeby nie przenosił się do Karoliny Północnej – mówię pospiesznie.

– Skarbie, doceniam to, naprawdę, ale nie tylko o przeniesienie się martwię. Martwię się o jego nastawienie. Kiedy zacznie studia na UW, musi być skoncentrowany. Jest sportowcem. Nie może jeździć co weekend do Karoliny Północnej. To niepraktyczne. Jesteście oboje tacy młodzi. Peter już podejmuje ważne życiowe decyzje przez wzgląd na ciebie, a kto wie, co będzie z wami dwojgiem w przyszłości. Jesteście nastolatkami. Życie nie zawsze układa się tak, jak się tego spodziewamy… Nie wiem, czy Peter ci o tym mówił, ale jego tata i ja wzięliśmy ślub bardzo młodo. I nie chciałabym patrzeć, jak popełniacie te same błędy co my. – Waha się. – Laro Jean, znam swojego syna, nie odejdzie od ciebie, jeśli ty nie odejdziesz pierwsza.

Mrugam.

– Zrobiłby dla ciebie wszystko. Taką ma naturę. Jest lojalny do bólu. W przeciwieństwie do swojego ojca. – Pani Kavinsky patrzy na mnie współczująco. – Wiem, że dbasz o Petera i chcesz dla niego jak najlepiej. Mam nadzieję, że rozważysz to, co powiedziałam. – A po chwili wahania dodaje: − Proszę, nie mów mu o tej rozmowie. Peter byłby mną rozczarowany.

Z trudem wydobywam z siebie głos:

– Nie powiem.

Uśmiecha się promiennie, z ulgą.

– Jesteś kochaną dziewczyną, Laro Jean. Wiem, że postąpisz słusznie.

Klepie moje dłonie, a potem je puszcza. Następnie zmienia temat, pytając o ślub taty.

Po powrocie do samochodu przekrzywiam lusterko i widzę, że policzki mam wciąż zaróżowione. Czuję się jak w siódmej klasie, kiedy mama Chris znalazła swoje papierosy i sądziła, że je paliłyśmy. Chciałam zaprzeczyć, ale nie mogłam. Po prostu skuliłam się ze wstydu. Właśnie tak czuję się w tym momencie. Jakbym wpadła w tarapaty.

Czy głupotą z naszej strony było myśleć, że możemy być wyjątkiem od reguły? Czy mama Petera ma rację? Czy popełniamy ogromny błąd? Nagle mam wrażenie, jakby każda decyzja, jaką podejmiemy, była tak wielkiej wagi, że boję się podjąć niewłaściwą.

W domu tata, Margot i Kitty siedzą w salonie, debatując, gdzie pójść na kolację. To zwykły temat rozmowy, jak to w czwartkowy wieczór, a ja czuję się dziwnie, jakby ziemia usuwała mi się spod nóg, nie była już stabilna, ale wszyscy dookoła mnie rozmawiali o jedzeniu.

– A ty na co masz ochotę, Laro Jean? – pyta tata.

– Nie jestem szczególnie głodna – mówię, patrząc na telefon.

Co powiem Peterowi, kiedy zadzwoni? Mam mu o tym opowiedzieć?

– Chyba zostanę w domu.

Tata mi się przygląda.

– Wszystko w porządku? Coś cię rozkłada? Wyglądasz blado.

Kręcę głową.

– Nie, nic mi nie jest.

– A co powiecie na Seoul House? – proponuje Margot. – Strasznie za mną chodzi koreańskie jedzenie.

Tata się waha, a ja wiem czemu. Trina nie ma zbyt wyrafinowanego podniebienia. Żyje na coli dietetycznej i paluszkach z kurczaka. Sałatka z jarmużu to maksimum jej możliwości. Kiedy zamawiamy sushi, je tylko kalifornijskie gotowane krewetki. Nie je żadnych ryb. Ale nikt nie jest doskonały.

– Trina nie jest wielką fanką koreańskiej kuchni – mówię, żeby oszczędzić tego tacie.

Mój telefon wibruje, ale to tylko mail z UKP w sprawie akademików.

– Poważnie? – mówi Margot z niedowierzaniem.

– Jest dla niej trochę za ostra – mówi tata, a potem dodaje szybko: − Ale to nic. Może zamówić koreańskiego hamburgera albo smażony ryż.

– Ja też nie chcę koreańskiego – mówi Kitty.

– Idziemy do Seoul House – kwituje tata. – Trinie nic nie będzie.

Gdy tata robi rezerwację, mówię do Margot:

– Nie oceniaj Triny za to, że nie lubi koreańskiej kuchni. Nic na to nie poradzi, że nie może jeść ostrych rzeczy.

Kitty włącza się szybko:

– No, nie oceniaj jej.

Przez twarz Margot przemyka cień urazy.

– Nic nie mówiłam! – protestuje.

– Wiemy, co pomyślałaś – mówię.

Wiem, co myśli, bo myślałam tak samo. A teraz znalazłam się na dziwacznej pozycji, z której muszę bronić Triny w sprawie czegoś, co mnie też irytuje. Nic by się Trinie nie stało, gdyby poszerzyła swoje kulinarne horyzonty.

– Ale smażony ryż? Naprawdę?

– I co z tego, że nie lubi koreańskiego jedzenia? – mówi Kitty.

– Kuchnia to nasze najsilniejsze powiązanie z koreańską kulturą – tłumaczy jej Margot. – Nie będziemy jadać koreańskiego jedzenia, bo Trina go nie lubi? – Margot nie czeka na odpowiedź. – Mam tylko nadzieję, że zdaje sobie sprawę, że poślubiając tatę, przyjmuje go z całym pakietem, a Korea to część pakietu.

– Margot, ona o tym wie – mówię. – A poza tym w te wakacje będziemy jeść koreańskie potrawy codziennie. – Codziennie, kiedy będę z dala od Petera.

– Szkoda, że tata i Trina nie jadą z nami – mówi Kitty.

– Tak jest lepiej – mówi Margot. – Co Trina jadłaby w Korei? – Na poły żartuje, ale nie całkiem.

Kitty, która głaszcze Jamiego, ignoruje ją i pyta mnie:

– Kto zajmie się Jamiem Fox-Pickle'em i Simone, kiedy wszyscy wyjadą?

– Opiekun? – podsuwam jej.

Nie mam do tego serca. Angażuję się w rozmowę tylko po wierzchu. Mogę myśleć jedynie o Peterze.

– Coś wymyślimy.

Margot rozgląda się po pokoju. Jej wzrok ląduje na wielkim fotelu Triny.

– Nasz dom zrobił się nagle strasznie mały. Nie wystarcza miejsca na wszystkie rzeczy Triny.

Kitty mówi:

– Nie jest taki mały, kiedy ciebie nie ma.

Zatyka mnie.

– Kitty!

Twarz Margot robi się biała jak ściana, a na jej policzki występują czerwone plamy.

– Czy ty naprawdę to powiedziałaś?

Widzę, że Kitty żałuje, ale unosi brodę na ten swój uparty sposób.

– Tylko mówię.

– Jesteś rozpuszczonym bachorem.

Margot rzuca to twardo, ale widzę jej minę, kiedy odwraca się i rusza na górę, i wiem, że idzie do siebie popłakać na osobności.

Gdy tylko znika, odwracam się do Kitty.

– Czemu to powiedziałaś?

Z jej oczu płyną łzy.

– Bo tak! Jest taka niemiła dla Tree bez powodu.

Ocieram jej łzy wierzchem dłoni. Mnie też chce się płakać.

– Gogo czuje się pominięta, i tyle. My znamy Trinę, bo miałyśmy czas, żeby ją poznać. Ale Margot wcale jej nie zna. I Kitty… właściwie to Gogo cię wychowywała. Nie odzywaj się do niej w ten sposób.

– Do ciebie tak się odzywam – mamrocze słabo.

– To co innego i dobrze o tym wiesz. My jesteśmy bardziej zbliżone wiekiem.

– Więc mówisz, że jesteśmy sobie równe?

– No… nie. Margot i ja jesteśmy sobie prawie równe, a ty jesteś poniżej, bo jesteś najmłodsza. Ale ty i ja jesteśmy bliżej niż ty i Margot. Spróbuj ją zrozumieć. Nie chce czuć, że ktoś zajął jej miejsce.

Kitty się garbi.

– Nikt go nie zajął.

– Margot trzeba trochę wsparcia, i tyle. Bądź wyrozumiała. – Kitty nie odpowiada ani nie podnosi głowy, ale wiem, że mnie słyszy. – I *jesteś* rozpuszczonym bachorem. – Podrywa głowę i rzuca się na mnie, a ja wybucham śmiechem. – Idź na górę i przeproś Gogo. Wiesz, że tak trzeba.

Raz w życiu Kitty mnie słucha. Idzie na górę, a chwilę później obie schodzą na dół z zaczerwienionymi oczami. Tymczasem ja dostaję wiadomość od Petera z pytaniem, czy mogę wyjść. Mówię, że nie mogę, że idę na kolację z rodziną, ale zobaczymy się jutro wieczorem. Po swoich stekach panowie spotkają się z nami w barze karaoke. Mam nadzieję, że do tego czasu będę wiedziała, co robić.

Tego wieczoru w pokoju maluję paznokcie miętowym lakierem na jutrzejszy wieczór panieński, a Margot leży na moim łóżku wpatrzona w swój telefon.

– Chcesz, żebym tobie też zrobiła paznokcie? – pytam.

– Nie, to nie ma znaczenia – mówi.

Wzdycham.

– Słuchaj, musisz zmienić nastawienie do Triny. Biorą z tatą ślub, Gogo.

Margot wzdycha.

– Nie chodzi tylko o Trinę. Trina to… Trina.

– To o co chodzi?

Margot przygryza górną wargę, nie robiła tego od dziecka.

– Mam wrażenie, że wróciłam do zupełnie nowej rodziny, której nie jestem częścią.

Chcę jej powiedzieć, że nic się nie zmieniło, że wciąż należy do rodziny tak jak dawniej, ale to nie byłaby prawda. Życie biegło tu bez niej, tak jak będzie biegło beze mnie, kiedy wyjadę na jesieni.

Po jej policzku spływa łza.

– I tęsknię za mamą.

Gardło mi się zaciska.

– Ja też.

– Szkoda, że Kitty jej nie znała – wzdycha Margot. – Wiem, że to egoistyczne… ale chyba nigdy nie wyobrażałam sobie, że tata mógłby się ponownie ożenić. Myślałam, że będzie chodził na randki, może w którymś momencie zwiąże się z kimś na stałe, ale małżeństwo?

Mówię łagodnie:

– Ja też o tym nie myślałam, ale kiedy wyjechałaś do Szkocji, sama nie wiem… to zaczęło nabierać sensu. Myśl o tym, że mógłby kogoś mieć.

– Wiem. Dla Kitty to też jest dobre.

– Ona chyba sądzi, że ma Trinę na własność. Przyjaźnimy się z Triną, ale Kitty od początku łączy z nią wyjątkowa więź.

– Jest jak pitbull, kiedy chodzi o Trinę! – Margot śmieje się niepewnie. – Naprawdę ją kocha.

– Wiem, że to dlatego tak się dziś wkurzyłaś o koreańską kuchnię. Myślisz, że jeśli tata przestanie gotować po koreańsku, bo Trina tego nie lubi, to Kitty nie będzie miała łącznika z kulturą. A jeśli zapomnimy o Korei, zapomnimy o mamie.

Łzy płyną jej po policzkach, ociera je rękawem bluzy.

– Ale my nigdy nie zapomnimy o Korei i nigdy nie zapomnimy o mamie. Rozumiesz?

Margot kiwa głową i bierze głęboki oddech.

– Płakałam dziś dwa razy! To takie do mnie niepodobne. – Uśmiecha się do mnie, a ja do niej tak promiennie, jak tylko umiem. Marszczy czoło. – Laro Jean, czy coś się dzieje? Wydajesz się trochę… nie wiem, melancholijna, odkąd wróciłaś z Tygodnia na plaży. Czy coś zaszło między tobą a Peterem?

Tak bardzo pragnę jej o wszystkim powiedzieć, złożyć ten ciężar na barki mojej starszej siostry, usłyszeć od niej, co mam robić. Byłoby znacznie prościej, gdyby po prostu powiedziała mi, co mam robić. Ale wiem, co Margot zrobiłaby na moim miejscu, bo sama już to zrobiła.

„Nie idź na studia, mając chłopaka”. Tak powiedziała mama. Tak powiedziała Margot.

36

Kristen postanawia, że motywem przewodnim wieczoru panieńskiego będą lata dziewięćdziesiąte, bo Trina je uwielbia, więc wszyscy mają się ubrać w stylu tej dekady. Szczerze mówiąc, myślę, że Kristen wybrała taki temat, bo chce włożyć krótką koszulkę i odsłonić swój umięśniony brzuch. Zjawia się u nas w niebieskiej koszulce z napisem „Skater girl" i w szerokich dżinsach, a włosy ma rozdzielone na środku. Usta pomalowała ciemnobrązową szminką, bardzo matową.

Od razu włącza stację radiową z kawałkami z lat dziewięćdziesiątych, które wypełniają cały dom. Dziewczyny spotykają się tutaj, a panowie (i Kitty) w restauracji. Cieszę się z tego, bo wciąż nie wiem, co powiedzieć Peterowi.

Nadal się szykujemy. Ja zdecydowałam się na kwiecistą sukienkę w stylu baby doll, którą znalazłam na Etsy, oraz kremowe podkolanówki i czarne czółenka na grubej podeszwie. Spinam włosy w dwa kucyki, kiedy na górę wchodzi Kristen, żeby dokonać inspekcji, niosąc ze sobą kieliszek do martini z wypisanym różową kursywą *Druhna*.

– Ooo, wyglądasz słodko, Laro Jean – mówi, popijając drinka.

Podciągam kucyki.

– Dziękuję, Kristen – mówię.

Cieszę się, że mój strój jest gotowy. Mam mnóstwo na głowie, a bardzo nie chciałabym zepsuć Trinie wieczoru.

Kitty i Margot siedzą na podłodze. Kitty maluje paznokcie Margot na czarno. Margot wybrała styl grunge'owy – długa koszula flanelowa, dżinsy i martensy, które pożyczyłam dla niej od Chris.

– Co pijesz? – pyta Kitty.

– Cosmopolitan. Mam więcej na dole w butelce po spricie. Ale nie dla ciebie.

Kitty przewraca oczami.

– Gdzie Tree?

– Pod prysznicem – mówię jej.

Kristen przechyla głowę i mruży oczy.

– Czegoś tu brakuje. – Odstawia kieliszek, zagląda do swojej torebki i wyciąga szminkę. – Pomaluj.

– O… czy to ten kolor, który masz na sobie? – pytam.

– Tak! Nazywa się Toast w Nowym Jorku. W tamtych czasach był hitem!

– Hmm… − waham się.

Kristen wygląda, jakby wysmarowała usta płynną czekoladą, a potem czekolada zaschła.

– Zaufaj mi – mówi.

– Myślałam o użyciu tego. – Odkładam szczotkę i pokazuję jej połyskliwy różowy błyszczyk. – Czy Spice Girls nie nosiły takiego błyszczyka? Nie są z lat dziewięćdziesiątych?

Kristen marszczy brwi.

– Raczej z późnych lat dziewięćdziesiątych i początków dwudziestego pierwszego wieku, ale tak. Chyba może być. – Podsuwa swoją szminkę Margot. – Ale ty jej potrzebujesz. Twój strój nie jest wystarczająco z epoki. – Patrzy, jak Kitty wykańcza paznokcie Margot. – Używałam pisaków – mówi Kirsten. – Nawet nie wiecie, jakie z was szczęściary, że macie tyle możliwości. Myśmy musieli jakoś sobie radzić. Pisaki na czarno, korektor na biało.

– Co to korektor? – pyta Kitty.

– O rany. Nawet nie wiecie, co to korektor?

Gdy tylko Kristen odwraca się po swojego drinka, Kitty szczerzy do niej zęby i syczy cicho.

– Widziałam cię w lustrze – mówi Kristen.

– Miałaś widzieć – odpowiada Kitty.

Kristen się jej przygląda.

– Pospiesz się i dokończ paznokcie siostry, żebyś mogła zrobić moje.

– Prawie skończyłam – mówi Kitty.

Chwilkę później rozlega się dzwonek do drzwi i cała trójka schodzi na dół.

Słyszę, jak Kristen woła:

– Otwórzcie, ja idę po drinki!

Koleżanka Triny ze studiów, Monique, ma na sobie sukienkę na ramiączkach w wymalowane na niej wielkie słoneczniki, pod nią podkoszulek, a do tego platformy, które wyglądają jak buty kosmonauty. Kendra z SoulCycle włożyła ogrodniczki z koszulką w różowe prążki i równie różową frotką we włosach. Mnóstwo z tych rzeczy noszą obecnie dzieciaki w szkole. Moda naprawdę zatacza koła.

Lata dziewięćdziesiąte to był dobry wybór, Trina jest zachwycona.

– Masz świetną sukienkę! – komplementuje mnie Kendra.

– Dziękuję! – mówię. – Retro.

Odskakuje z przerażeniem.

– *O matko*. Czy lata dziewięćdziesiąte to już retro?

Trina mówi:

– Tak, kochana. Ich dziewięćdziesiąte to nasze siedemdziesiąte.

Kendra się wzdryga.

– To przerażające. Czyżbyśmy były stare?

– Stetryczałe – mówi Trina, ale radośnie.

W drodze do baru karaoke dostaję esemesa od Petera – zdjęcie jego z tatą w garniturach, szeroko uśmiechniętych. Serce podskakuje mi na ten widok. Jak mam odejść od takiego chłopaka?

W barze mamy zarezerwowaną osobną salę. Kiedy przychodzi kelnerka, Margot zamawia margaritę z sokiem z granatu, co Trina zauważa, ale nic nie mówi. Co miałaby powiedzieć? Margot jest na studiach. W przyszłym miesiącu skończy dwadzieścia lat.

– Dobre? – pytam.

– Bardzo słodkie – mówi. – Chcesz spróbować?

Pewnie, że bym chciała. Peter napisał do mnie dwukrotnie z restauracji, pytając, jak mija mi wieczór, a żołądek zwinął mi się w supełek. Zerkam ukradkiem na Trinę, która śpiewa w duecie z Kristen. Nie powiedziała nic Margot, ale mam przeczucie, że mnie coś powie.

– W Szkocji można pić już od osiemnastki – mówi Margot.

Piję pospiesznie łyk, drink jest dobry, cierpki i lodowaty.

Tymczasem wszyscy przeglądają listę utworów, próbując zdecydować, którą piosenkę zaśpiewać. Zasada wieczoru dopuszcza jedynie muzykę z lat dziewięćdziesiątych. Mija trochę czasu, zanim ludzie się rozgrzeją, ale potem drinki zaczynają pojawiać się coraz szybciej, a dziewczyny wykrzykują numery piosenek na zapas.

Następna jest Michelle, przyjaciółka Triny.

– „There was a time when I was so broken-hearted…” – śpiewa.

– Lubię tę piosenkę – mówię. – Czyja jest?

Kristen klepie mnie z pobłażaniem po głowie.

– Aerosmith, mała. Aerosmith.

Wstają wszystkie i śpiewają Spice Girls.

Margot i ja śpiewamy *Wonderwall* Oasis. Wracam na miejsce bez tchu.

Kendra z SoulCycle kołysze się w takt wszystkich śpiewanych przez Trinę i Kristen kawałków, unosząc w powietrzu kieliszek martini. Jest jaskrawozielony.

– Co pijesz, Kendro? – pytam.

– Jabłkowe martini.

– Brzmi nieźle. Mogę spróbować?

– Jasne, pij! Jest tak owocowe, że nie czuje się nawet alkoholu.

Biorę maleńki łyczek. Jest słodkie. Smakuje jak landrynka.

Kiedy kończy się piosenka Kristen i Triny, padają na kanapę koło mnie, a Kendra podrywa się, żeby zaśpiewać coś Britney Spears.

Kristen bełkocze:

– Chcę tylko, żebyśmy się od siebie nie oddaliły, wiesz? Nie zrób się nudna. Nie stań się nagle mamą, dobrze? To znaczy wiem, że musisz być mamą, ale nie bądź, no wiesz, *mamą*-mamą.

– Nie będę mamą-mamą – mówi uspokajająco Trina. – Nie dałabym rady.

– Musisz obiecać, że nadal będziesz przychodziła na Winne środy.

– Obiecuję.

Kristen szlocha.

– Tak bardzo cię kocham, laska.

Trina też ma łzy w oczach.

– Ja ciebie też.

Martini Kendry stoi samotnie na stole. Kiedy nikt nie patrzy, biorę kolejny łyk, bo jest naprawdę smaczne. A potem kolejny. Właśnie kończę kieliszek, kiedy Trina mnie przyłapuje. Unosi brwi.

– Chyba bawiłaś się aż *nazbyt* dobrze podczas Tygodnia na plaży.

– Prawie nie piłam na wyjeździe, Trino! – protestuję i marszczę brwi. – Mówi się na wyjeździe czy na wyjaździe?

Trina wygląda na zaniepokojoną.

– Margot, czy twoja siostra się spiła?

Podnoszę ręce do góry.

– Dziewczyny, dziewczyny, ja nic nie spiłam!

Margot siada koło mnie i zagląda mi badawczo w oczy.

– Owszem.

W życiu nie byłam pijana. Czy teraz jestem? Czuję się wyluzowana. Czy tak czuje się pijany człowiek? Ma miękkie nogi i ręce jak z waty?

– Twój tata mnie zabije – jęczy Trina. – Właśnie odstawili Kitty do domu. Będą tu lada chwila. Laro Jean, wypij mnóstwo wody. Całą szklankę. Przyniosę następny dzbanek.

Kiedy wraca parę minut później, wieczór kawalerski już do nas dołączył. Posyła mi surowe spojrzenie. „Nie zachowuj się jak pijana", mówi bezgłośnie. Unoszę kciuki do góry. A potem podskakuję i zarzucam Peterowi ręce na szyję.

– Peter! – przekrzykuję muzykę.

Wygląda uroczo w swojej koszuli i krawacie. Tak uroczo, że mogłabym się rozpłakać. Chowam twarz w jego szyi jak wiewiórka.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Peter patrzy na mnie zdziwiony.

– Jesteś pijana?

– Nie, wypiłam tylko dwa łyczki. Dwa drinki.

– Trina ci pozwoliła?

– Nie – chichoczę. – Ukradłam je.

– Lepiej stąd chodźmy, zanim zobaczy cię tata – mówi Peter, rozglądając się wkoło.

Tata przegląda listę utworów z Margot, która posyła mi spojrzenie pod tytułem: „Weź się w garść".

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

– Wyjdźmy na parking, żebyś mogła zaczerpnąć trochę powietrza – mówi Peter, obejmując mnie i popychając w kierunku drzwi.

Wychodzimy na zewnątrz, a ja chwieję się nieco na nogach. Peter próbuje pohamować uśmiech.

– Jesteś pijana.

– Jestem klocka w te kiepski!

– Kiepska w te klocki. – Szczypie mnie w policzek.

– Tak. Klocka w te kiepski. To znaczy kiepska w te klocki.

Czemu to takie zabawne? Nie mogę przestać się śmiać. A potem widzę, jak na mnie patrzy, z tak ogromną czułością, i poważnieję. Nie mam już ochoty się śmiać. Mam ochotę płakać. Proszę, jak zorganizował wyjątkowy wieczór kawalerski dla taty. Proszę, jak mnie kocha, na tyle różnych sposobów. Muszę dać mu tyle samo miłości. Aż do tej chwili nie wiedziałam, co robić, ale już wiem.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Prostuję się nagle i przez przypadek trafiam Petera w obojczyk, przez co zaczyna kaszleć.

– Przepraszam. Oto, co chcę ci powiedzieć. Chcę, żebyś zrobił to, co powinieneś, i chcę sama zrobić to, co ja powinnam.

Na jego twarzy widnieje półuśmiech. Kręcąc głową, pyta:

– O czym ty mówisz, Covey?

– Mówię o tym, że nie powinniśmy być w związku… związku na odległość.

Uśmiech znika z jego twarzy.

– Co?

– Myślę, że musisz robić na UW to, co musisz, czyli grać w lacrosse, uczyć się, a ja muszę robić na UKP to, co muszę, a jeśli zostaniemy razem, wszystko się rozpadnie. Więc nie możemy. Po prostu nie możemy.

Mruga, a potem jego twarz kamienieje.

– Nie chcesz, żebyśmy zostali razem?

Kręcę głową, a ból malujący się na jego obliczu mnie otrzeźwia.

– Chcę, żebyś robił to, co powinieneś. Nie chcę, żebyś robił coś ze względu na mnie. Zapracowałeś na UW, Peterze. I tam właśnie musisz być. Nie w UKP.

Blednie.

– Rozmawiałaś z moją mamą?

– Tak. To znaczy nie…

Mięśnie na jego szczęce zaczynają drgać.

– Rozumiem. Nie mów nic więcej…

– Czekaj, posłuchaj mnie, Peterze…

– Nie, spoko. Tak dla twojej wiadomości, wspomniałem mamie o UKP tylko jako jednej z możliwości. Niczego nie postanowiłem. Tak tylko rzuciłem. Ale dobrze, jeśli nie chcesz, żebym się przenosił…

Zaczyna odchodzić, a ja łapię go za rękę, żeby go zatrzymać.

– Peterze, nie to chciałam powiedzieć! Mówię, że jeśli się przeniesiesz, jeśli zrezygnujesz ze wszystkiego, na co zapracowałeś na UW, w końcu mnie za to znienawidzisz.

– Daruj sobie, Laro Jean – mówi beznamiętnie. – Od dawna czułem, że to nadciąga. Żegnasz się ze mną, odkąd postanowiłaś pójść na UKP.

Puszczam jego rękę.

– Co to w ogóle znaczy?

– Po pierwsze, scrapbook. Powiedziałaś, że to na pamiątkę. Na co miałaby mi być pamiątka, Laro Jean?

– Nie to miałam na myśli! Długie miesiące pracowałam nad tym albumem. Zrzucasz całą odpowiedzialność na mnie, ale to ty mnie odpychałeś. Od Tygodnia na plaży!

– W porządku, porozmawiajmy o tym, co się wydarzyło tamtej nocy. – Czuję, że się czerwienię, gdy patrzy na mnie tak wyzywająco. – Tamtego wieczoru chciałaś uprawiać ze mną seks, jakbyś chciała położyć wisienkę na torcie. Jakbyś wkładała mnie do swojego… do swojego pudełka na kapelusze. Jakbym odegrał już swoją rolę w twojej pierwszej historii miłosnej, a teraz możesz przejść do następnego rozdziału.

Zaczyna mi się kręcić w głowie i chwieję się na nogach. Wydawało mi się, że tak dobrze rozumiem Petera.

– Przykro mi, że tak to odebrałeś, ale nie to miałam na myśli. Ani trochę.

– Wyraźnie to miałaś na myśli, bo właśnie to robisz. A nie?

Czy w jego słowach jest ukryta prawda, choćby w maleńkim stopniu? To prawda, że nie chciałam pierwszego razu z nikim innym. To prawda, że wydawało mi się właściwe, żeby zrobić to z Peterem, bo był pierwszym chłopcem, którego pokochałam. Nie chciałabym, żeby doszło do tego z jakimś chłopakiem, którego poznam na studiach. Tamten chłopak będzie mi obcy. Petera znam od dziecka. Czy próbowałam domknąć rozdział?

Nie. Zrobiłam to, bo chciałam to zrobić z nim. Ale skoro tak to widzi, to może tak będzie łatwiej.

Przełykam ślinę.

– Może masz rację. Może chciałam, żeby mój pierwszy raz był z tobą, żebym mogła zamknąć licealny rozdział. Nasz rozdział.

Zamiera. Widzę w jego oczach ból, a potem jego twarz zamyka się jak pusty dom z okiennicami. Odchodzi. Tym razem nie próbuję go zatrzymać. Przez ramię rzuca:

– Wszystko w porządku, Covey. Nie przejmuj się.

Gdy tylko znika, obracam się i wymiotuję wszystkim, co tego wieczoru wypiłam i zjadłam. Stoję zgięta w pół, zdyszana, kiedy Trina, tata i Margot wychodzą z baru. Tata do mnie podbiega.

– Laro Jean, co się dzieje? Dobrze się czujesz?

– Dobrze, dobrze – mamroczę, ocierając oczy i usta.

Oczy ma szeroko otwarte i zaniepokojone.

– Piłaś? – Spogląda oskarżycielsko na Trinę, która głaszcze mnie po plecach. – Trino, pozwoliłaś Larze Jean pić?

– Wypiła parę łyków martini z sokiem z granatu. Nic jej nie będzie.

– Nie wygląda na to!

Trina się prostuje, wciąż trzymając dłoń na moich plecach.

– Dan, Lara Jean jest już młodą kobietą. Nie dostrzegasz tego, bo wciąż widzisz w niej małą dziewczynkę, ale od czasu, kiedy ją poznałam, bardzo wyrosła. Potrafi o siebie zadbać.

Margot się wtrąca.

– Tato, dałam jej parę łyków swojego drinka… i tyle. Ona naprawdę nie ma głowy do alkoholu. Szczerze mówiąc, powinna nad tym popracować, zanim pójdzie na studia. Nie wiń Triny.

Tata patrzy na Margot, potem na Trinę i znów na Margot. Stoją ramię w ramię z Triną i w tej chwili tworzą zjednoczony front. Potem tata przenosi wzrok na mnie:

– Masz rację. To wszystko wina Lary Jean. Wsiadajcie do samochodu.

W drodze do domu musimy raz stanąć, żebym mogła znów zwymiotować. Chcę umrzeć, ale nie z powodu martini. Tylko miny Petera. Tego, jak światło w jego oczach zgasło. Zranienia – staje mi przed oczami, gdy opuszczam powieki. Tylko raz widziałam u niego taką minę: kiedy jego tata nie zjawił się na rozdaniu dyplomów. A teraz zrobił ją przeze mnie.

Zaczynam płakać w samochodzie. Od szlochu drżą mi ramiona.

– Nie płacz – mówi tata z westchnieniem. – Jesteś w tarapatach, ale nie aż tak wielkich.

– Nie o to chodzi. Zerwałam z Peterem. – Ledwie to z siebie wyduszam. – Tato, gdybyś widział jego minę. To było… straszne.

– Czemu z nim zerwałaś? To taki dobry chłopak – pyta zdumiony.

– Nie wiem – szlocham. – Teraz już nie wiem.

Zdejmuje jedną dłoń z kierownicy i ściska mnie za ramię.

– Już dobrze. Już dobrze.

– Ale… nie jest dobrze.

– Ale będzie – mówi, głaszcząc mnie po włosach.

Podjęłam dziś wieczorem właściwą decyzję. Wiem, że tak. Odejście od niego było właściwą decyzją.

Widzę przyszłość, Peterze. Są tam złamane serca. Nie zrobię tego. Lepiej się rozstać, póki wciąż patrzymy na siebie w określony sposób.

37

Budzę się w środku nocy zapłakana i pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to, że chciałabym wszystko cofnąć. Popełniłam ogromny błąd i chcę się wycofać. A potem płacz znów kołysze mnie do snu.

Rano ból rozłupuje mi głowę i teraz to ja wymiotuję w łazience jak dziewczyny podczas Tygodnia na plaży, tyle że nikt nie trzyma mi włosów. Czuję się po tym lepiej, ale leżę przez chwilę na podłodze, na wypadek gdyby przyszła kolejna fala mdłości. Zasypiam tam i budzę się, kiedy Kitty szarpie mnie za rękę.

– Przesuń się, muszę się wysiusiać – mówi, przechodząc nade mną.

– Pomóż mi się podnieść – mówię, a ona podciąga mnie do pionu.

Siada, żeby się wysiusiać, a ja ochlapuję twarz zimną wodą.

– Idź zjeść tosty – mówi Kitty. – Wchłoną alkohol z twojego żołądka.

Myję zęby i kuśtykam na dół do kuchni, gdzie tata przyrządza jajka, a Margot i Trina jedzą jogurt.

– Dzieńdoberek, mała – mówi Trina z szerokim uśmiechem.

– Wyglądasz, jakby przejechała po tobie ciężarówka – mówi Margot.

– Dostałabyś szlaban, gdyby nie ślub – mówi tata, nieudolnie próbując przybrać surowy ton. – Zjedz trochę jajecznicy.

Mdli mnie na samą myśl.

– Najpierw zjedz tosta – instruuje Margot. – Wchłonie alkohol.

– To powiedziała Kitty.

Trina celuje we mnie łyżeczką.

– A jak już wrzucisz coś do żołądka, możesz zażyć dwie aspiryny. Nigdy nie bierz ich na pusty żołądek. Zaraz poczujesz się lepiej.

– Nigdy więcej nie piję – przysięgam, a Margot i Trina wymieniają uśmieszki. – Poważnie.

Cały dzień spędzam w łóżku, z zaciągniętymi zasłonami. Tak bardzo chcę zadzwonić do Petera. Poprosić, żeby mi wybaczył. Nawet nie pamiętam wszystkiego, co powiedziałam. Pamiętam tylko sedno, ale wspomnienie się zatarło. Jedno, co dobrze pamiętam, czego nigdy nie zapomnę, to zbolały wyraz jego twarzy. Nienawidzę siebie za to, że pojawił się tam przeze mnie.

Poddaję się. Piszę do niego. Tylko trzy słowa.

Strasznie Cię przepraszam.

Widzę… na końcu tunelu. Czekam, a serce wali mi jak oszalałe. Ale odpowiedź nie nadchodzi. Próbuję zadzwonić, ale od razu włącza się poczta głosowa, więc się rozłączam. Może już usunął mnie z telefonu, jak zrobił to z tatą. Może po prostu… ze mną skończył.

38

Chris wyjeżdża jako pierwsza. Wpada w tygodniu i mówi:

– Nie mogę przyjść w weekend na ślub twojego taty. Wyjeżdżam jutro na Dominikanę.

– *Co?*

– Wiem. Przykro mi. – Chris nie wygląda, jakby jej było przykro, ma na twarzy promienny uśmiech. – Wariactwo. Mają etat w ekohotelu i nie ma mowy, żebym przepuściła taką okazję. Na Dominikanie też mówią po hiszpańsku, prawda?

– Tak. Ale myślałam, że lecisz do Kostaryki!

Wzruszając ramionami, odpowiada:

– Ta okazja zdarza się po to, żebym z niej skorzystała.

– Ale… nie mogę uwierzyć, że już wyjeżdżasz! Miałaś lecieć dopiero w sierpniu. Kiedy wracasz?

– Nie wiem. Chyba to właśnie jest w tym piękne. Mogę tam zostać na pół roku. A może pojawi się coś innego i wyjadę.

Mrugam ze zdziwieniem.

– A więc wyjeżdżasz na dobre?

– Nie *na dobre*. Na razie.

Coś w moim wnętrzu wie, że to naprawdę jest na dobre. Nie widzę szans, żeby Chris wróciła tu za rok, żeby pójść do college'u stanowego. To Chris, kot chodzący swoimi drogami, który pojawia się i znika z własnej woli. Zawsze wyląduje na swoich czterech kocich łapach.

– Nie rób takiej smutnej miny. Nic ci beze mnie nie będzie. Masz Kavinsky'ego.

Przez moment nie mogę złapać oddechu. Dźwięk jego nazwiska wbija mi nóż w serce.

– Wszyscy wkrótce wyjeżdżamy. Cieszę się, że nie zostanę w tyle.

Tak by się właśnie czuła – gdyby została tu, poszła do miejscowego college'u, pracowała w Applebee's. Czuję falę zadowolenia, że zamiast tego wychodzi naprzeciw przygodzie.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że już wyjeżdżasz.

Nie mówię jej, że zerwaliśmy z Peterem, że już go nie mam. Dziś nie chodzi o mnie i Petera, chodzi o Chris i jej ekscytującą przyszłość.

– Czy mogę przynajmniej przyjść pomóc ci się spakować?

– Już jestem spakowana! Zabieram tylko niezbędne rzeczy. Skórzaną kurtkę, bikini i trochę zioła.

– Czy nie powinnaś zabrać tenisówek i rękawic roboczych, i takich tam, na wszelki wypadek?

– Tenisówki włożę na drogę, a wszystko, czego mi będzie trzeba, kupię na miejscu. O to chodzi w przygodzie. Spakuj się lekko, a resztę rozkmiń po drodze.

Myślałam, że będziemy miały więcej czasu, ja i Chris, w moim pokoju, dzieląc się tajemnicami do późna w nocy i jedząc chipsy w łóżku. Chciałam scementować naszą przyjaźń, zanim wyjedzie: Lara Jean i Chrissy, jak za dawnych, dobrych czasów.

Wszystko dobiega końca.

39

W wieczór przed ślubem, kiedy moje ciasta stygną na kuchennym blacie, a wszyscy w domu ustawiają na zewnątrz krzesła ogrodowe, jadę do Chris, żeby się pożegnać.

Gdy tylko otwiera mi drzwi, mówi:

– Nie wpuszczę cię, jeśli zamierzasz płakać.

– Nic na to nie poradzę. Czuję, jakbym widziała cię ostatni raz w życiu.

Łza spływa mi po policzku. Ta chwila ma w sobie jakiś posmak ostateczności. Wiem to, po prostu wiem. Chris przeskakuje do kolejnego rozdziału. Nawet jeśli się jeszcze zobaczymy, nie będzie już tak samo. To niespokojny duch. Jestem szczęściarą, że miałam ją tak długo.

– Pewnie zobaczymy się w przyszłym tygodniu, kiedy wrócę z podkulonym ogonem do domu – żartuje, a w jej głosie pobrzmiewa nutka niepokoju.

Chris przy całej swojej krzykliwej brawurze jest zdenerwowana.

– Coś ty. Dopiero zaczynasz. Nadeszła ta chwila, Chris. – Podskakuję i ją przytulam. Próbuję nie płakać. – To się właśnie dzieje.

– Co takiego?

– Życie!

– Jesteś kiczowata – mówi, ale mogłabym przysiąc, że widzę w jej oczach łzy.

– Coś ci przyniosłam – oświadczam.

Wyjmuję prezent z torby i jej podaję.

Zdziera papier i otwiera pudełko. To nasze zdjęcie w oprawce w kształcie serca, nie większe niż ozdoba choinkowa. Jesteśmy na nim na plaży w identycznych kostiumach kąpielowych, mamy po dwanaście, może trzynaście lat.

– Powieś na ścianie tam, gdzie pojedziesz, żeby ludzie wiedzieli, że ktoś czeka na ciebie w domu.

Łzy napływają jej do oczu, ociera je wierzchem dłoni.

– O matko, jesteś straszna – mówi.

Mówi się, że najlepszych przyjaciół poznaje się na studiach i to z nimi utrzymuje się znajomości na całe życie, ale jestem pewna, że Chris też zostanie w moim życiu na zawsze. Należę do zbieraczy. Wszystko zachowuję na zawsze.

Wracam do domu. Trina wyszła do SoulCycle. Tata wciąż ustawia krzesła w ogrodzie, Margot prasuje nasze sukienki druhen, a Kitty wycina z papieru trójkąty do ozdobnego łańcucha, który zawiśnie nad stołem z deserami. Przystępuję do składania tortu weselnego – żółte ciasto z maślanośmietanowym kremem, tak jak obiecałam Trinie. Ciasto taty jest już gotowe, miętowo-czekoladowe. To moje drugie podejście do tortu – rezultat pierwszego zeskrobałam, bo nie wyrównałam warstw wystarczająco i kiedy całość złożyłam, ciasto wyglądało rozpaczliwie krzywo. Za drugim razem też wyszło odrobinę przechylone, ale gruba warstwa kremu zakrywa wszelkie niedociągnięcia, a przynajmniej tak sobie powtarzam.

– Dałaś taką porcję masy, że zafundujesz nam wszystkim cukrzycę – zauważa Kitty.

Przygryzam język i obracam ciasto, kładąc masę na wierzchu, żeby była gładka.

– Wygląda nieźle, prawda, Margot?

– Wygląda jak profesjonalny tort – zapewnia mnie, przejeżdżając parownicą wzdłuż krawędzi swojej sukienki.

Mijając Kitty, nie mogę się powstrzymać:

– PS ostatnie trzy trójkąty są krzywe.

Kitty ignoruje mnie i śpiewa sobie:

– Wstrząs cukrzycowy, *o-o baby*, dostaniemy wstrząsu cukrzycowego. – Na melodię starej piosenki.

To pewnie moja wina, bo puszczałam ją zawsze przy pieczeniu.

– Po raz ostatni jesteśmy sami – mówię, a Margot patrzy na mnie i się uśmiecha.

– Cieszę się, że nie będziemy już sami – mówi Kitty.

– Ja też – mówi Margot, a ja jestem całkiem pewna, że mówi to szczerze.

Rodziny się kurczą lub powiększają. Jedyne, co można tak naprawdę zrobić, to cieszyć się tym, cieszyć się sobą nawzajem tak długo, jak się siebie ma.

Nie mogę zasnąć, więc schodzę na dół zrobić sobie filiżankę herbaty na dobranoc, a kiedy nalewam wodę do czajnika, wyglądam przez okno i dostrzegam czerwone kółko papierosa żarzące się w ciemności. Trina pali przed domem! Rozważam, czy zrezygnować z herbacianego rytuału i wrócić do łóżka, zanim mnie zauważy, ale kiedy opróżniam czajnik, wraca do środka z puszką napoju grapefruitowego w dłoni.

– O! – mówi przestraszona.

– Nie mogłam spać – mówię w chwili, gdy ona woła:

– Nie mów o tym Kitty!

Obie się śmiejemy.

– Słowo daję, że to był pożegnalny papieros. Nie paliłam od miesięcy!

– Nie powiem Kitty.

– Jestem twoją dłużniczką – mówi Trina, wypuszczając powietrze.

– Masz ochotę na herbatę na dobranoc? – pytam. – Mama ją nam parzyła. Jest bardzo uspokajająca. Sprawi, że poczujesz się przyjemnie i przytulnie, i śpiąco.

– Brzmi cudnie.

Napełniam czajnik i stawiam na kuchence.

– Denerwujesz się ślubem?

– Nie denerwuję… tylko stresuję. Bardzo chcę, żebyśmy sobie dali radę… jak mąż i żona. – Z gardła wyrywa się jej chichot. – Żart zamierzony. Uwielbiam dobrą pointę. – Potem prostuje się i mówi: − Powiedz, co dzieje się z tobą i Peterem.

Zajmuję się nakładaniem miodu do kubków.

– O, nic takiego.

Ostatnie, czego Trina potrzebuje w noc przed ślubem, to wysłuchiwanie moich problemów.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Daj spokój, kobieto. Mów.

– Nie wiem. Chyba zerwaliśmy.

Wzruszam ramionami tak zamaszyście, żeby się nie rozpłakać.

– O, skarbie. Przynieś tu herbatę i usiądź ze mną na kanapie.

Kończę parzenie, zanoszę kubki na kanapę i siadam koło Triny, która wsunęła nogi pod siebie i okryła nas obie kocem.

– A teraz mi wszystko opowiedz – mówi.

– Chyba wszystko zaczęło się psuć, kiedy dostałam się na UKP. Planowaliśmy, że pójdę do Wilhelma i Marii, a potem się przeniosę, więc będziemy w związku na odległość tylko przez pierwszy rok. Ale UKP jest znacznie dalej, a kiedy tam pojechałam, zrozumiałam, że tam właśnie chcę być. Nie jedną nogą, rozumiesz? – Mieszam łyżeczką. – Chcę dać tej uczelni prawdziwą szansę.

– Myślę, że to tysiącprocentowo słuszne podejście. – Trina ogrzewa dłonie na kubku. –

I dlatego z nim zerwałaś.

– Nie, niezupełnie. Mama Petera powiedziała mi, że Peter mówi o przeniesieniu się na UKP w przyszłym roku. Chciała, żebym z nim zerwała, zanim on zmarnuje sobie przeze mnie życie.

– Cholera! Niezła z niej suka!

– Nie użyła dokładnie takich słów, ale o to jej chodziło. – Biorę łyk herbaty. – Ja też nie chciałabym, żeby się dla mnie przenosił… Mama zawsze powtarzała, żeby nie iść na studia, mając chłopaka, bo straci się dużo z pierwszego roku.

– Prawdę mówiąc, twoja mama nigdy nie poznała Petera Kavinsky'ego. Nie znała wszystkich faktów. Gdyby go poznała… − Trina gwiżdże cicho. – Mogłaby zaśpiewać inaczej.

Łzy napływają mi do oczu.

– Szczerze mówiąc, żałuję, że z nim zerwałam, i chciałabym to cofnąć!

Unosi moją brodę.

– To czemu tego nie zrobisz?

– Nie sądzę, żeby kiedykolwiek mi wybaczył, że go tak zraniłam. Nie dopuszcza do siebie łatwo ludzi. Podejrzewam, że już dla niego nie istnieję.

Trina próbuje ukryć uśmiech.

– Wątpię. Porozmawiasz z nim jutro na weselu. Kiedy zobaczy cię w tej sukience, wszystko pójdzie w niepamięć.

Pociągam nosem.

– Na pewno nie przyjdzie.

– Na pewno przyjdzie. Nie planuje się wieczoru kawalerskiego, żeby nie pojawić się potem na ślubie. Nie wspominając już o tym, że za tobą szaleje.

– A co, jeśli znów go zranię?

Otacza kubek dłońmi i popija.

– Nie możesz ochronić go przed zranieniem, kochanie, jakkolwiek byś się starała. Bezbronność, dopuszczanie do siebie, zranienie… to wszystko elementy miłości.

Pozwalam, żeby to do mnie dotarło.

– Trino, kiedy zorientowałaś się, że ty i tata to coś poważnego?

– Nie wiem… Chyba po prostu… się zdecydowałam.

– Na co?

– Na niego. Na nas. – Uśmiecha się do mnie. – Na to wszystko.

I pomyśleć, że jeszcze rok temu była tylko naszą sąsiadką, panią Rothschild. Siadałyśmy z Kitty na werandzie i obserwowałyśmy, jak pędzi rano do samochodu i oblewa się gorącą kawą. A teraz wychodzi za naszego tatę. Będzie naszą macochą i bardzo się z tego cieszę.

40

W powietrzu unosi się zapach kapryfolium i niekończących się letnich dni. To doskonały dzień na ślub. Chyba nie ma na świecie piękniejszego miejsca niż czerwcowa Wirginia. Wszystko kwitnie, wszystko się zieleni, wszystko jest słoneczne i pełne nadziei. Chyba też chciałabym urządzić ślub w domu.

Obudziliśmy się wcześnie i wydawało się, że będzie mnóstwo czasu, ale oczywiście biegamy wkoło jak kurczaki z odciętymi głowami. Trina lata po piętrze w szlafroku z beżowego jedwabiu, który kupiła jej Kristen. Dla nas, druhen, kupiła różowe z naszymi imionami wyhaftowanymi w złocie na kieszonkach. Na szlafroku Triny widnieje napis: „Panna młoda". Trzeba to oddać Kristen. Jest nieznośna, ale ma wyobraźnię. Wie, jak wszystko uprzyjemnić.

Zaprzyjaźniona z Triną fotografka robi nam zdjęcia w szlafrokach, a Trina siedzi pośrodku, niczym bardzo opalony łabędź. A potem przychodzi czas na ubieranie. Osiągnęłyśmy kompromis w sprawie smokingu Kitty – wkłada białą koszulę z krótkim rękawem, muchę w jaskrawą kratę i spodnie kończące się tuż nad kostkami. Włosy splotła w upiętą wsuwkami koronę z warkocza. Wygląda ślicznie. Wygląda tak… w stylu Kitty. Ja ustąpiłam i tylko wpięłam we włosy trochę gipsówki, ale nie włożyłam wianka. Zrezygnowałam też ze zwiewnych koszulek nocnych dla mnie i Margot. Zamiast tego mamy na sobie kwieciste suknie w stylu retro na lata pięćdziesiąte znalezione na Etsy – Margot jest kremowa w żółte stokrotki, moja ma różowe kwiaty i wiązane ramiączka. Moja musiała należeć do kogoś niskiego wzrostu, bo nawet nie trzeba jej było skracać, a kończy się na wysokości kolan, czyli tam, gdzie powinna.

Trina jest piękną panną młodą. Jej zęby i suknia odbijają się bielą na tle opalonej skóry.

– Czy nie wyglądam głupio? – Rzuca mi nerwowe spojrzenia. – Za staro na biel? W końcu jestem rozwódką.

Margot uprzedza mnie z odpowiedzią.

– Wyglądasz idealnie. Po prostu idealnie.

Moja starsza siostra zawsze sprawia wrażenie, jakby miała rację. Całe ciało Triny się rozluźnia w jednym wielkim oddechu ulgi.

– Dziękuję, Margot. – Głos jej się trzęsie. – Jestem po prostu taka… szczęśliwa.

– Nie płacz! – piszczy Kitty.

– Cii – mówię. – Nie krzycz. Trina potrzebuje spokoju.

Kitty jest dziś od rana kłębkiem nerwów. Jakby były jej urodziny, Boże Narodzenie i pierwszy dzień szkoły jednocześnie.

Trina wachluje się pod pachami.

– Pocę się. Chyba potrzebuję więcej dezodorantu. Kitty, śmierdzę?

Kitty się nachyla.

– Ani trochę.

Już zrobiłyśmy dziś setki zdjęć i zrobimy kolejne setki, ale wiem, że to będzie moim ulubionym. Trzy dziewczyny Song skupione wokół Triny, Margot ociera jej oczy chusteczką, Kitty stoi na stołeczku i poprawia jej włosy, a Trina mnie obejmuje. Uśmiechamy się promiennie. Coś się kończy, coś się zaczyna.

Od Petera nie było żadnych wieści. Za każdym razem, kiedy na ulicy pojawia się jakiś samochód, podchodzę do okna, żeby wyjrzeć, czy to on, ale nie. Nie przyjedzie i wcale się mu nie dziwię. Ale wciąż mam nadzieję, bo nie potrafię jej nie mieć.

Ogród na tyłach domu jest obwieszony lampkami choinkowymi i białymi papierowymi

lampionami. Co prawda nie ma ściany z róż, ale i tak wygląda uroczo. Wszystkie krzesła są ustawione, pośrodku biegnie chodnik, po którym przejdzie Trina. Witam się z pojawiającymi się gośćmi – jest ich niewielu, niespełna pięćdziesiąt osób. Idealna liczba na wesele w ogrodzie. Margot siedzi z babcią, babunią, tatą Triny i jej siostrą w pierwszym rzędzie, dotrzymując im towarzystwa, w czasie gdy ja witam się z sąsiadami, państwem Shah, ciocią Carrie i wujkiem Victorem, kuzynką Haven, która chwali moją sukienkę. Przez cały czas mam na oku podjazd, w oczekiwaniu na czarne audi, które nie nadjeżdża.

Kiedy zaczyna się *Lullaby* Dixie Chicks, Kitty, Margot i ja zajmujemy swoje miejsca. Tata wychodzi, staje po stronie pana młodego i wszyscy odwracamy wzrok w kierunku domu, z którego idzie do nas Trina. Wygląda olśniewająco.

Płaczemy w trakcie przysięgi, nawet Margot, która nigdy nie płacze. Zdecydowali się na tradycyjną wersję, a kiedy wielebny Choi, pastor z kościoła babci, mówi: „Możesz pocałować pannę młodą", tata pali cegłę, ale całuję Trinę z rozmachem. Wszyscy klaszczą. Kitty wydaje okrzyki. Jamie Fox-Pickle szczeka.

Taniec ojca z córkami był pomysłem Triny. Powiedziała, że ona już to robiła i nie czuje potrzeby, żeby to powtarzać, i że dużo ważniejsze będzie, jeśli to my zatańczymy z tatą. Przećwiczyliśmy to na początku tygodnia na parkiecie, który tata wynajął.

Zaplanowaliśmy, że Margot pójdzie na pierwszy ogień, potem ja odbiję tatę, a potem Kitty. Piosenka, którą tata wybrał, to *Isn't She Lovely*, którą Stevie Wonder napisał dla swojej córki, kiedy się urodziła.

Stoimy z Kitty z boku, klaszcząc do rytmu. Wiem, że już cieszy się na chwilę, kiedy odbije mi tatę.

Zanim tata wypuszcza Margot, przyciąga ją do siebie i szepcze jej coś do ucha, a jej wilgotnieją oczy. Nie spytam, co jej powiedział, to chwila tylko dla nich.

Przećwiczyliśmy z tatą parę kroków. Gościom najbardziej podoba się, kiedy idziemy tanecznym krokiem ramię w ramię, jednocześnie tańczymy *shimmy*.

– Jestem z ciebie taki dumny – mówi. – Moja środkowa dziewczynko.

Teraz mnie oczy zachodzą łzami. Całuję go w policzek i przekazuję Kitty. Tata wywija z nią, właśnie gdy wchodzi harmonijka.

Schodzę z parkietu i wtedy go dostrzegam. Peter, w garniturze, stoi z boku, przy dereniu. Wygląda tak przystojnie, że ledwo to mogę znieść. Przechodzę przez ogród, a on nie spuszcza ze mnie wzroku. Serce wali mi jak młotem. Czy przyjechał dla mnie? Czy tylko dlatego, że obiecał tacie?

Staję przed nim i mówię:

– Przyszedłeś.

Peter odwraca wzrok.

– Oczywiście, że przyszedłem.

Odzywam się cicho:

– Chciałabym cofnąć to, co powiedziałam tamtego wieczoru. Nawet nie wszystko pamiętam.

Spuszczając wzrok, mówi:

– Ale powiedziałaś prawdę, tak? Więc dobrze, że to wtedy powiedziałaś, bo ktoś musiał, a ty miałaś rację.

– Z czym? – szepczę.

– Z UKP. Na temat mojego przeniesienia. – Podnosi głowę, spojrzenie ma zranione. – Ale powinnaś była mi powiedzieć, że mama z tobą rozmawiała.

Biorę drżący oddech.

– Ty powinieneś był mi powiedzieć, że rozważasz przeniesienie się! Powinieneś był mi powiedzieć, jak się czujesz, kropka. Po zakończeniu szkoły zamknąłeś się w sobie. Nie chciałeś mnie wpuścić. Wciąż powtarzałeś, że wszystko będzie dobrze.

– Bo byłem kurewsko przerażony, dobrze? – wybucha.

Rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt nie słyszał, ale muzyka gra głośno, wszyscy tańczą, nikt na nas nie patrzy i dość prawdopodobne, że jesteśmy tu sami.

– Czego się tak bałeś? – szepczę.

Zaciska dłonie w pięści. Kiedy się wreszcie odzywa, głos ma schrypnięty, jakby dawno go nie używał.

– Bałem się, że pojedziesz na UKP, zorientujesz się, że nie jestem tego wszystkiego wart, i odejdziesz.

Robię krok w jego stronę. Kładę dłoń na jego ramieniu. Nie odsuwa się ode mnie.

– Poza moją rodziną jesteś dla mnie najbardziej wyjątkową osobą na świecie. Część z tego, co wtedy powiedziałam, była prawdą, ale nie to, że chciałam stracić z tobą dziewictwo, żeby zamknąć nasz rozdział. Chciałam, żebyś to był ty, bo cię kocham.

Peter obejmuje mnie w pasie jedną ręką i przyciąga do siebie, po czym patrząc na mnie, mówi żarliwie:

– Żadne z nas nie chce zrywać. Więc czemu mielibyśmy to robić? Z powodu jakichś bzdur, które nagadała moja mama? Bo twoja siostra tak postąpiła? Nie jesteś taka jak twoja siostra, Laro Jean. Nie jesteśmy tacy jak Margot i Sanderson ani nikt inny. Jesteśmy tobą i mną. I owszem, będzie ciężko. Ale Laro Jean, do żadnej innej dziewczyny nie będę nigdy czuł tego, co czuję do ciebie.

Mówi to z przekonaniem, jakie może mieć jedynie nastoletni chłopak, ale ja nigdy nie kochałam go bardziej niż w tej właśnie chwili.

Leci *Lovin' in My Baby's Eyes*, Peter bierze mnie za rękę i prowadzi na trawę.

Nigdy nie tańczyliśmy do tego rodzaju muzyki. To piosenka z gatunku tych, do których trzeba się razem kołysać, patrzeć sobie w oczy i się uśmiechać. Czuję się inaczej, jakbyśmy stali się doroślejszą wersją Petera i Lary Jean.

Po drugiej stronie parkietu Trina, Kitty i Margot tańczą w kółku z babcią pośrodku. Haven tańczy z tatą. Zerka na mnie i mówi bezgłośnie: „Jest uroczy". Peter, nie tata. To prawda. Jest bardzo, bardzo uroczy.

Nie zapomnę dzisiejszego wieczoru, póki żyję. Któregoś dnia, jeśli będę miała wystarczająco dużo szczęścia, opowiem jakiejś młodej dziewczynie wszystkie swoje historie, tak jak Stormy opowiedziała swoje mnie. I będę je mogła przeżyć na nowo.

Kiedy będę stara i siwa, spojrzę wstecz na ten wieczór i będę go pamiętała takim, jaki był.

Jest.

Wciąż tu jesteśmy. Przyszłość jeszcze nie nadeszła.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy goście już wyszli, krzesła zostały poskładane, a resztki pochowane do lodówki, idę do pokoju, żeby się przebrać.

Na łóżku leży mój rocznik. Przewracam na koniec i oto on, wpis Petera.

Tyle że to nie jest wpis, tylko umowa.

Poprawiony kontrakt Lary Jean i Petera

Peter będzie raz na tydzień pisał do Lary Jean list.

Prawdziwy, na papierze, nie e-mail.

Lara Jean będzie raz dziennie dzwoniła do Petera.

Najlepiej tuż przed snem, zanim się położy.

Lara Jean zawiesi na ścianie

wybrane przez Petera zdjęcie.

Peter będzie trzymał na biurku scrapbook,

żeby zainteresowane osoby wiedziały, że jest zajęty.

Peter i Lara Jean będą sobie zawsze mówili

prawdę, nawet jeśli to trudne.

Peter będzie kochał Larę Jean

z całego serca, zawsze.

41

Na wieczór przed moim wyjazdem na studia prognoza pogody zapowiada deszcz Perseidów. Ma być dobrze widoczny. Jedziemy z Peterem nad jezioro, żeby go obserwować. Kitty nie mówi tego głośno, ale też chce pojechać, marzy o tym. Jest napięta jak struna, bo chce, a nie może spytać. W każdej innej sytuacji bym się zgodziła.

Kiedy się z nią żegnam, jej usta wyginają się na sekundę w rozczarowaniu, ale ukrywa to. Na pewno trudno czasem być tą najmłodszą, tą, która zostaje w tyle.

W samochodzie aż mnie mdli od wyrzutów sumienia, że tak chciwie spędzam czas z Peterem. Ale tak mało nam go już zostało… Jestem beznadziejną starszą siostrą. Margot by ją ze sobą wzięła.

– O czym myślisz? – pyta mnie Peter.

– O niczym – mówię.

Za bardzo mi wstyd, żeby przyznać się głośno, że powinnam była zaprosić Kitty.

Jak wrócę do domu na jesienną przerwę, zrobimy coś we trójkę. Zabierzemy ją z Peterem na nocny seans w kinie samochodowym, pojedzie w piżamie, a ja ułożę na tylnym siedzeniu koc, na wypadek gdyby zasnęła. Ale dziś wieczorem chcę być z Peterem sam na sam, ten jeden raz. Nie ma co rozmyślać o poczuciu winy i rujnować wieczoru, skoro już zachowałam się samolubnie. A jeśli mam być ze sobą naprawdę szczera, zrobiłabym to ponownie. Tak jestem zachłanna w kwestii ostatnich chwil, jakie mi zostały z Peterem. Chcę, by jego wzrok spoczywał wyłącznie na mnie. Chcę rozmawiać tylko z nim. Żebyśmy jeszcze przez chwilę byli tylko ja i on. Któregoś dnia Kitty to zrozumie. Któregoś dnia pokocha chłopaka i będzie go chciała mieć tylko dla siebie, a nie dzielić się jego uwagą z innymi.

– Powinniśmy byli zabrać Kitty – wybucham nagle.

– Wiem – mówi. – Ja też nie czuję się z tym dobrze. Myślisz, że jest zła?

– Pewnie smutna.

Ale żadne z nas nie proponuje, żeby po nią zawrócić. Milczymy, a potem oboje wybuchamy śmiechem, z zażenowania i też z ulgi.

– Weźmiemy ją następnym razem – zapewnia Peter.

– Następnym razem – powtarzam.

Łapię go za rękę, wsuwam swoje palce między jego i czuję pociechę w świadomości, że dziś wieczór on czuje się dokładnie tak jak ja i nie ma między nami dystansu.

Rozkładamy koc i kładziemy się obok siebie. Księżyc wygląda jak lodowiec na granatowym tle nocy. Dotąd nie zauważyłam jeszcze nic nadzwyczajnego. Wygląda to dla mnie na zwykłe nocne niebo.

– Może trzeba było pojechać w góry – mówi Peter, odwracając twarz, żeby na mnie spojrzeć.

– Nie, jest idealnie – mówię. – Czytałam, że obserwowanie gwiazd i tak polega głównie na czekaniu, niezależnie od miejsca.

– Mamy całą noc – mówi, przyciągając mnie bliżej do siebie.

Czasem żałuję, że nie poznaliśmy się, mając po dwadzieścia siedem lat. Dwadzieścia siedem wygląda na dobry wiek, żeby spotkać osobę, z którą spędzi się resztę życia. W wieku dwudziestu siedmiu lat jest się jeszcze młodym, ale na wyraźnej drodze do bycia tym, kim się chce być.

Ale potem myślę, że nie, za nic nie oddałabym czasu z Peterem, kiedy mieliśmy po

dwanaście, trzynaście, szesnaście, siedemnaście lat. Mój pierwszy pocałunek, mój pierwszy chłopak na niby, mój pierwszy chłopak naprawdę. Pierwszy chłopak, który kupił mi biżuterię. Stormy powiedziałaby, że to najbardziej znacząca chwila ze wszystkich. Powiedziała mi, że tak chłopiec pokazuje, że jesteś jego. Myślę, że w naszym wypadku było na odwrót. Tak dowiedziałam się, że on jest mój.

Nie chcę zapomnieć żadnej z tych rzeczy. Sposobu, w jaki patrzy na mnie w tej właśnie chwili. Jak dreszcze wciąż przebiegają po moich plecach, kiedy mnie całuje, za każdym razem. Chcę to wszystko zatrzymać blisko siebie.

– Pierwszy apel w szóstej klasie.

Podnoszę wzrok.

– Hmm?

– Tam po raz pierwszy cię zobaczyłem. Siedziałaś w rzędzie przede mną. Pomyślałem, że jesteś słodka.

Śmieję się.

– Dobra, dobra.

To takie urzekające, że Peter wymyśla takie rzeczy, żeby było romantycznie.

Mówi dalej.

– Miałaś bardzo długie włosy i opaskę z kokardą. Zawsze podobały mi się twoje włosy, nawet wtedy.

– Dobra, Peterze – mówię, wyciągając rękę i klepiąc go po policzku.

Ignoruje mnie.

– Na plecaku miałaś swoje imię wypisane brokatowymi literami. Nigdy wcześniej nie słyszałem imienia Lara Jean.

Szczęka mi opada. Osobiście przyklejałam te litery gorącym klejem! Całe wieki zajęło mi ustawienie ich w miarę prosto. Zupełnie zapomniałam o tamtym plecaku. Był dla mnie bardzo cenny.

– Dyrektor zaczął wywoływać na podium losowo wybrane osoby, żeby zagrały o nagrody. Wszyscy podnosili ręce, ale twoje włosy zahaczyły się o krzesło i próbowałaś je rozplątać, więc nie zostałaś wybrana. Pamiętam, że przyszło mi do głowy, że może powinienem ci pomóc, ale potem pomyślałem, że to byłoby dziwne.

– Jak to wszystko pamiętasz? – pytam ze zdumieniem.

Wzrusza z uśmiechem ramionami.

– Nie wiem. Jakoś tak.

Kitty zawsze powtarza, jak ważne są historie początków.

Co odpowiemy, kiedy ludzie na studiach spytają, jak się poznaliśmy? Krótka wersja to: że razem dorastaliśmy. Ale to bardziej pasuje do historii mnie i Josha. Licealna miłość? To historia Petera i Gen. A jaka jest nasza?

Powiem chyba, że wszystko zaczęło się od listu miłosnego.

– Przeżyłam śliczne chwile – zakończyła zachwycona – i czuję, że stanowić one będą epokę w moim życiu. Najmilsze jednak ze wszystkiego – to powrót do domu.

– L.M. Montgomery,
Ania z Zielonego Wzgórza
tłum. Rozalia Bernsteinowa

Podziękowania

Nie sądziłam, że napiszę jeszcze jeden tom o Larze Jean, mam więc szczęście, że mogę po raz ostatni podziękować wszystkim, którzy mi w tym czasie pomagali. Z całego serca pragnę podziękować mojej agentce Emily van Beek oraz ekipie z Folio, mojej redaktorce Zareen Jaffery i rodzinie z S&S, a w szczególności Justinowi Chandzie, Anne Zafian, Chrissy Noh, Lucy Cummins, Mekishy Telfer, KeriLee Horan, Audrey Gibbons, Katy Hershberger, Candace Greene, Michelle Leo i Dorothy Gribbin. Dziękuję też mojej agentce filmowej Michelle Weiner, specjalistce od promocji Brianne Halverson oraz mojemu asystentowi Danowi Johnsonowi. Chciałabym również podziękować Jeannine Lalonde z sekcji przyjęć oraz Vincentowi Briedisowi z sekcji sportowej Uniwersytetu Wirginii. Dziękuję przyjaciołom i koleżankom po fachu za przeczytanie tekstu, fantastyczne uwagi i wsparcie na wszystkich etapach – Siobhan Vivian, Adele Griffin, Jennifer E. Smith, Melissie Walker i Annie Carey. Bez Was nie dałabym rady.

Na koniec dziękuję moim czytelnikom. Gdyby nie Wy, nie napisałabym tej książki. Zrobiłam to naprawdę dla Was. Mam ogromną nadzieję, że jesteście zadowoleni z tego, jak zakończyła się historia Lary Jean. Tym razem już naprawdę się z nią rozstaję. Będzie jednak żyła dalej w moim sercu, bo na drodze życia jest wiele zakrętów.

Wasza na zawsze

Jenny

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30 Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35 Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40 Rozdział 41 Podziękowania Karta redakcyjna

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Always and Forever

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Monika Kardasz

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Douglas Lyle Thompson

Cypyright © 2017 by Jenny Han

Published by arrangement with Folio

Literary Management, LLC and GRAAL Literary Agency.

Jacket hand-lettering copyright © 2017 by Nancy Howell

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Matylda Biernacka, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2019

ISBN 978-83-66436-79-4



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece

Wydawnictwo Kobiece

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

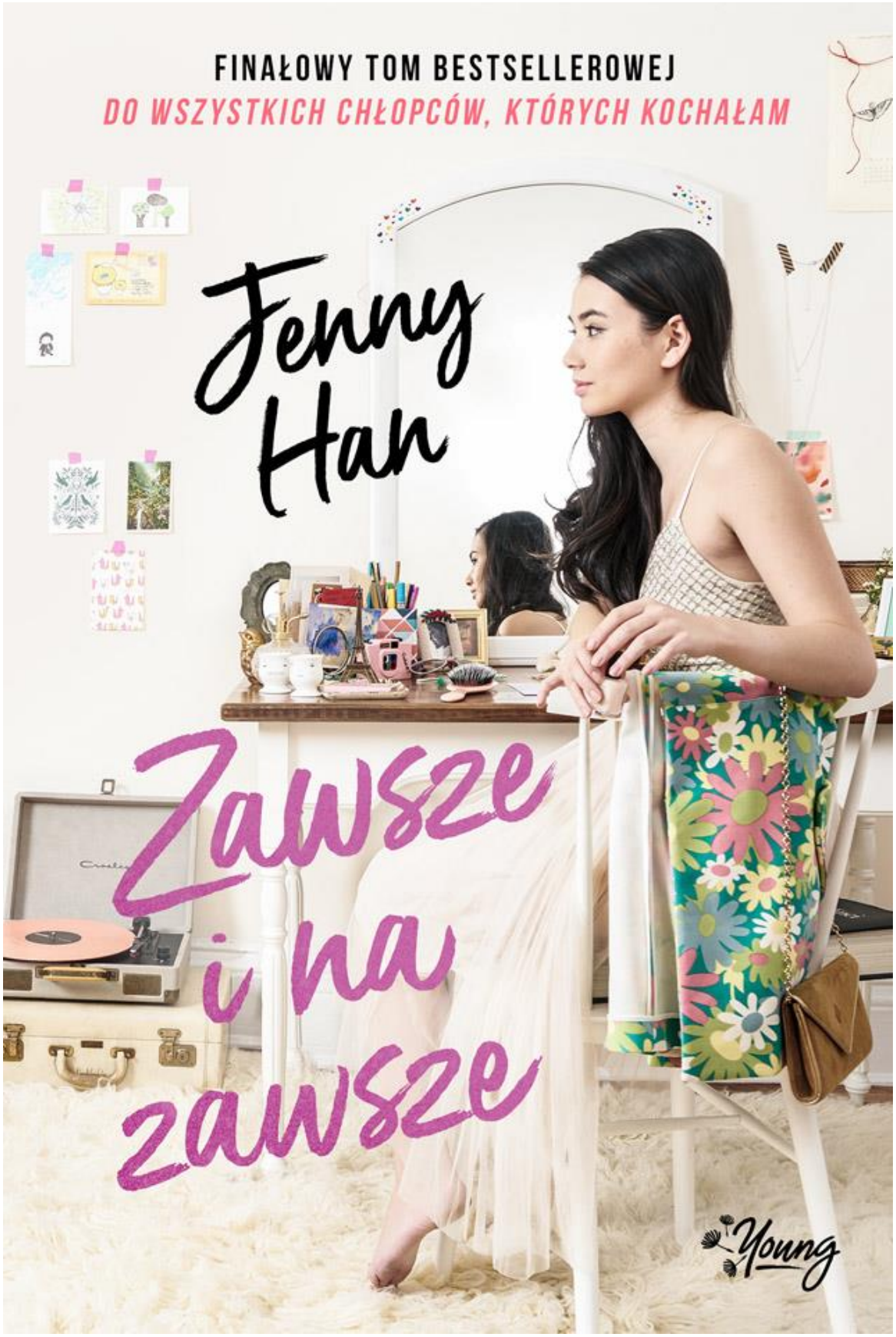
Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

FINAŁOWY TOM BESTSELLEROWEJ

DO WSZYSTKICH CHŁOPCÓW, KTÓRYCH KOCHAŁAM



Jenny Han

Zawsze i na zawsze

Young